

Od autorki

Niekiedy autor waha się, pisząc książkę, która okazuje się trudna, a nawet dla niego bolesna. Taka właśnie była dla mnie ta powieść. Korzystam więc z okazji, by podziękować za wsparcie pewnym szczególnie bliskim mi osobom.

Mojemu bratu Kentowi i siostrze Laurze, którzy pomagali mi w chwilach smutku i nadal to robią.

Benjaminowi i Tucker, którzy codziennie dokonywali cudów. I moim przybranym rodzinom: Hannahom i Shieldsom, którzy z odwagą i nadzieją potrafili przeżyć w tym roku tak wiele dramatów. Anno, Sharon i Burcie, ta książka jest dla Was.

Prolog

Lipiec 1894, gdzieś w Teksasie

Mad Doga dosięgnął pierwszy cios - prawy sierpowy prosto w szczękę - po którym zachwiał się i ciężko oparł o liny. W ustach poczuł ostry, metaliczny smak krwi. Pomruk aprobaty przemknął przez tłum. Mad Dog potrząsnął głową, zamrugał i odzyskał ostrość widzenia. Tłum wpatrywał się w niego. Setki twarzy - jasne plamy na tle morza ciemnych ubrań.

Widzowie zamarli w oczekiwaniu. Zamknął oczy i nasłuchiwał. Wiedział, co teraz nastąpi. Czekał na to; było mu to potrzebne. Zaczęło się powoli. Najpierw pojedynczy głos, nieśmiało oklaski jednej pary dłoni. Ktoś się dołączył, potem następny i następny, aż suche teksańskie powietrze rozbrzmiało potężnym,

entuzjastycznym rykiem. Pulsujący chór głosów skandował

- Mad Dog, Mad Dog, Mad Dog... - Wściekły Pies. Pod takim imieniem znany był w całym Teksasie.

Krew zaczęła żywiej krążyć mu w żyłach. Oddech stał się szybszy. Na Boga, jak on to uwielbiał.

Odepchnął się od lin i ruszył w stronę środka prowizorycznego ringu, wywołując wśród widzów szmer oczekiwania.

Grzbietem dłoni otarł kropelkę krwi z kącika ust i obrzucił przeciwnika ironicznym uśmiechem. Tym samym lekceważącym uśmiechem, którym z doskonałym skutkiem posługiwał się już wcześniej setki razy. - Tylko na tyle cię stać, Sue?

Silnie zbudowany, owłosiony mężczyzna spojrzał na niego i zacisnął potężne dłonie w pięści.

- Na imię mam Stew, ty gówniany chojraku.

- Stew? Od Stewarta? - Mad Dog zerknął na widzów, którzy jak na komendę pochylili się do przodu w oczekiwaniu. - Coś takiego! Po tym twoim ciosie byłem pewny, że masz na imię Susan.

Tłum wyhuchnął śmiechem.

- Ty bezczelny draniu...! - Stew zaatakował.

Mad Dog wykonał zgrabny unik, odskoczył na lewo, a potem błyskawicznie znalazł się za plecami przeciwnika. Stew znieruchomiał. Rozejrzał się w prawo i lewo z wyrazem niedowierzenia na wykrzywionej złością twarzy.

- Hej, Stew! - zawołał Mad Dog, a kiedy jego przeciwnik odwrócił się gwałtownie, uderzył. Mocno.

Stew zachwiał się i oparł o liny, przytrzymując się ich dla odzyskania równowagi. Mad Dog przyjrzał się swojej pięści i potrząsnął głową.

- Do licha, to boli, prawda, Sue?

Widzowie znów roześmiali się, rozległy się okrzyki zachęty. - Och, ty... - Stew odepchnął się od lin i rzucił w kierunku przeciwnika.

Mad Dog przyjął postawę obronną. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Odparł atak, odczekał pełną napięcia sekundę, a potem zadał cios prosto w szczękę Stew. W ciszy rozległo się głośne plaśnięcie, gdy pięść trafiła w cel.

Stew jęknął z bólu. Wyraz komicznego niemal zaskoczenia pojawił się na jego szerokiej twarzy, zanim runął na ziemię.

Tłum głośnym rykiem wyraził swój entuzjazm.

Mad Dog oderwał wzrok od nieruchomej sylwetki przeciwnika i uśmiechnął się do ludzi otaczających ring. Uniósł prawą dłoń zaciśniętą w pięść, potem wziął ręcznik i otarł twarz.

Poczuł czyjaś rękę na ramieniu i usłyszał ochryply męski głos:

- Dobra robota, chłopcze. Jak zawsze.

Mad Dog opuścił ręcznik. Chytry Joe, organizator walki, uśmiechał się i patrzył na niego wodnistymi szarymi oczami.

Dzięki, Joe. - Bokser odrzucił ręcznik w róg ringu

i poklepał mężczyznę po plecach. - Gdzie mój zarobek?

- Mam przy sobie. - Joe sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek banknotów. - Sto pięćdziesiąt dwa dolary. Powinno ci wystarczyć do następnego sezonu. Jeśli będziesz rozważny.

- Czy słyszałeś, żebym kiedyś był rozważny? - odparł

Mad Dog. Schował pieniądze do kieszeni, nie trując się nawet ich przeliczeniem.

- Nigdy. - Joe się roześmiał.

Zwycięzca poszedł do rogu ringu, podniósł kapelusz, worek podróżny, buty i butelkę tequili. Cały swój dobytek.

Wyciągnął korek z butelki i wypił spory łyk trunku, po czym wytarł dłonią nieogolony policzek i opadające długie włosy.

- Spotkamy się w maju, w Rochester? - zapytał Joe, podchodząc do niego na tyle szybko, na ile pozwalało mu jego kalekie ciało. Mad Dog pociągnął jeszcze jeden głęboki łyk i się uśmiechnął. W Rochester odbywały się pierwsze walki w sezonie i te lubił najbardziej. Poza tym mieszkała tam szczególnie miła wdowa. Od szesnastu lat, zawsze w maju, odwiedził to miasto. Weszło mu to już w nawyk.

- A co by mnie mogło powstrzymać?

- Na pewno nie on- odparł Joe, zerkając przez ramię na leżącego nieruchomo, nadal nieprzytomnego Stewarta Redmana.

- Tylko pamiętaj, Joe. Jeśli chodzi o przeciwników, których mi znajdujesz...

- Tak? - Joe się skrzywił.

- Są doskonali. Trzymaj tak dalej.

Joe uśmiechnął się.

- Zajrzę do domu weteranów w Rochester - powiedział.

- No właśnie. Tak zrób.

Mad Dog skierował wzrok na rzednący już tłum. Łąkę, porośniętą pozółkłą od słońca trawą, zaścielały papiery i śmieci. W

oddali widać było kolorowe namioty, rozbrzmiewała , muzyka i śmiechy. Wystarczyło mu parę sekund, by ją odnaleźć. Stała na uboczu, zwrócona w stronę ringu. Długie kręcone blond włosy, podświetlone słońcem, opadały jej na ramiona. Skandalicznie głęboko wycięty dekolt odsłaniał godne uwagi wdzięki, które Mad Dog dobrze pamiętał z ostatniego pobytu w tym miasteczku.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Bardzo lubił, gdy po walce czekała na niego ładna kobieta, nawet jeśli nie pamiętał jej imienia. Pomachał jej ręką, a ona odpowiedziała na powitanie i wolno Tuszyła w jego stronę, ponętnie kołysząc biodrami.

Mad Dog zarzucił worek na ramię, włożył kapelusz i buty.

- Muszę już iść, Joe. Zobaczymy się w przyszłym roku - powiedział.

Przeskoczył przez liny i znalazł się na trawniku. Kobieta podbiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Zamknął oczy. Na Boga, jak ona pachnie, pomyślał. Jak gorąca, zmysłowa noc. Jak namiętność. Kochał kobiety. Wszystkie, ale szczególnie te zachowujące się swobodnie, lubiące oglądać jego walki. Sporo go kosztowały, ale były tego warte. Żartowały z nim, całowały i bez zbytniego skrępowania rozbierały się dla niego. Kiedy je opuszczał, uśmiechały się i machały mu ręką. Żegnały go dokładnie tak, jak lubił.

Z uśmiechem patrzył w niebieskie, pełne obietnic oczy kobiety. Przez moment żałował nawet, że nie pamięta jej imienia -Susannah, może Sunshine... jakieś imię zaczynające się na S, ale za żadne skarby nie mógł go sobie przypomnieć. Oczywiście, nie miało to znaczenia. Ona z pewnością nie oczekiwała, że je zapamięta. To jest najlepsze u tego typu kobiet. Nie oczekują niczego poza złotymi monetami i chwilą rozrywki.

- Mad Dog? - wyszeptała jego imię dobrze wyćwiczonym uwodzicielskim głosem, który zgodnie z zamierzeniem miał pobudzić wspomnienia. - Zostaniesz tu na dłużej?

- Nie zaryzykuję, kochanie - szepnął, patrząc na jasną skórę jej piersi. - Nie zaryzykuję.

Stan Waszyngton, wrzesień 1894

Mad Dog oparł się plecami o ścianę wagonu towarowego. Zapomniany na chwilę artykuł o bezdomnych, który akurat pisał, leżał obok niego. Wiatr muskał jego twarz, mierzwił włosy i szarpał kartkami notatnika. Metaliczny stukot kół przenosił się wibracjami na ciało. Gwizd lokomotywy zagłuszył na chwilę irytujący hałas. Przenikliwy dźwięk wisiał przez chwilę w powietrzu, potem rozpląnął się w kłębach pary wyrzuconej z parowozu. Zazgrzytały hamulce, pociąg zwolnił.

Kolejne miasto, pomyślał Mad Dog. Te słowa niosły ze sobą znajomy, magiczny nastrój, przypominający powab nierozpakowanego prezentu.

Sięgnął po poszarzały, połatany worek podróżny, rzucony w róg wagonu. Nie było w nim prawie nic. Podniszczona zmiana bielizny, śpiwór i parę notatników - to wszystko, co posiadał. Wszystko, czego potrzebował.

Poza jedzeniem i pieniędzmi.

Żałował teraz, że nic nie zaoszczędził z sumy zarobionej za ostatnią walkę. Choćby tyle, żeby zorganizować sobie jakieś miejsce w Meksyku, kupić parę butelek tequili i znaleźć kobietę, która ogrzewałaby go w czasie zimy...

Zima.

Oparł głowę o zardzewiałą metalową ścianę i zamknął oczy. Chryste, jakże nienawidził tego słowa. Zawsze go przygnębiało. Jeszcze trwała jesień; niemal indiańskie lato. To prawda, ale słońce nie grzało już tak mocno, jego ciepłe promienie nie mogły zwieść. Zbyt długo krążył po tym kraju, by dać się oszukać matce naturze. Nadchodziła zima. Okres, kiedy świat stawał się chłodny, pola świeciły pustką, a znalezienie pracy stawało się prawie niemożliwe. Zima. Pora roku, kiedy bezdomnych, bezrobotnych włóczęgów - takich jak Mad Dog - znajduje się martwych na poboczach dróg, potem grzebie się ich w bezimiennych grobach, zgodnie z decyzją urzędników, którzy nie wiedzą, co to znaczy być bezdomnym, samotnym, głodnym i przepełnionym rozpaczą. Wiedział, że musi znaleźć pracę już teraz, zanim skończą się zbiory, kiedy można się jeszcze gdzieś zatrudnić. Wiedział, że do wiosny przyszłego roku nie odbędą się żadne festyny, na których mógłby pięściami zarobić potrzebne mu pieniądze. Nie miał wyboru. Musi postarać się o prawdziwą pracę. Znów rozległ się gwizd pociągu. Trzy krótkie ostre dźwięki. Mad Dog wcisnął notatnik z niedokończonym artykułem do torby i się podniósł. Stojąc w otwartych drzwiach wagonu, patrzył na szaro-brązowy krajobraz. Wzbijany wiatrem kurz drażnił mu oczy, oklejał usta. Zsunął głębiej na czoło podniszczony kapelusz i wyskoczył. Zetknięcie z ziemią było zbyt gwałtowne. Poczul ból w plecach i drżenie kolan. Mruknął coś ze złością, niezdarnie się podniósł i otrzepał lewisy z kurzu. Do licha. Wolność jest niekiedy bolesna.

Powoli ruszył w stronę miasteczka o nazwie Lonesome Creek. Wokół, niemal po horyzont, rozciągały się zielone pola, w które zamieniono po nawodnieniu istniejącą tu dawniej prerię. W oddali wyrastały szaroniebieskie wzgórza, sięgające nieba tak błękitnego, że aż raniącego oczy.

Chłodny poranny wiatr targał mu włosy i długie, dawno nieprzycinane wąsy. Wcisnął dłonie głęboko w kieszenie, poszukując odrobiny ciepła.

Z zadowoleniem zauważył, że o tej porze uliczki miasta są niemal puste. Wiedział od dawna, że szanujący się mieszczenie z niechęcią patrzają na takich jak on włóczęgów. Nie potrafiały zrozumieć człowieka, który nie chce odgradzić się od świata białym parkanem ani nie podejmuje stałej pracy.

Chcą, żeby świat był czysty, godny szacunku, przewidywalny.

Nie miał im tego za złe, nie osądzał ich. Prawdę mówiąc, nie interesował się nimi. Bez słowa mijali ich na ulicy i kierował się ku pachnącym rumem mrocznym zakątkom, o których istnieniu tacy jak oni nawet nie chcieli wiedzieć. Ku tym miejscom, gdzie ludzie śmiali się, bawili.

Szeroka piaszczysta droga, przy której stały pierwsze domy przedmieścia, wtopiła się wkrótce w główną ulicę miasteczka -

Main Street. Rzędy drewnianych oszalowanych budynków ciągnęły się po obu stronach ulicy. Po szerokich, również drewnianych chodnikach spacerowali zajęci rozmową nieliczni przechodnie.

Uwagę Mad Doga przyciągnął duży, wyróżniający się spośród innych szyld: OBIADY DOMOWE. Uśmiechnął się, poprawił zwisający z ramienia worek, wszedł na chodnik i popchnął wahadłowe drzwi prowadzące do wnętrza restauracji. Zapach cynamonowych bułeczek i smażonego boczku sprawił, że napłynęła mu ślina do ust.

Ostrożnie, rozglądając się, wszedł do sali jadalnej. Obrusy na stolikach, w biało-czerwona kratę, były czyste i wyprasowane. Niewątpliwie to właśnie tutaj odbywały się uroczyste rodzinne przyjęcia. Lśniące lampy w kształcie kuli, zawieszane w równych odstępach na belkach sufitu, rzuciły ciepłe światło na debową podłogę. Sala była przytulna i elegancka. Mad Dog nie wąpił, że za chwilę wyrzuci go stąd na ulicę. Musiał się spieszyć. Szybkim krokiem ruszył do rogu sali i zatrzymał się przed przypiętymi do drewnianej boazerii kartkami. Ogłoszenia były takie jakich oczekiwał, jakich szukał i z jakich korzystał od piętnastu lat: "Potrzebny człowiek do zrywania jabłek. Praca cieżka, ale stała, "Skład paszy zatrudni pracownika - abstynenta", "Ranczo Suttona poszukuje mężczyzny do kopania rowów nawigacyjnych - dobre wynagrodzenie.

Ogłoszenia nie zainteresowały go zbyt. Był już gotów zerwać na chybił trafił jedno z nich gdy jego uwagę zwróciła kartka przyklejona nieco na uboczu, na prawo od pozostałych. Papier był pożółkły od słońca, ogłoszenie widocznie wisiało tu od dłuższego czasu. Ostrożnie wygładził je i zaczął czytać:

Potrzebny mężczyzna do pracy w niewielkim sadzie profesora Erasntusa Throckmorta. Mieszkanie, wyzwienie i skromne wynagrodzenie w zamian za uczciwą pracę. Zapewniam dobre jedzenie i czysta posciel. Blizsze informacje - Epoch Farm, rog ulic Palouse i Messosoic.

P.S. Dobrze widziana umiejętność prowadzenia konwersacji

Mad Dog uśmiechnął się na myśl o czystej poscieli. Rozmawiać też potrafił. Do diabła to wymarzona praca, pomysłał.

Zerwał skrawek papieru, wsunął go do kieszeni i szybko opuścił restaurację. Farma musiała być daleko od miasta, ale nie przejął się tym. Jedyne, o czym mógł myśleć, to ta cholerna, czysta posciel.

Jacob Vanderstay przestraszył się, widząc nadchodzącego Mad Doga. Tym razem, śledząc go, znalazł się zbyt blisko. Do licha!

Chłopiec przywarł do ściany obok wejścia do sklepu Harrimana i naciągnął czapkę aż po oczy, rozpaczliwie starając się być niewidoczny. Serce biło mu szybko. Wstrzymał oddech i modlił się w myślach: Boże, spraw, żeby mnie nie zauważył. Proszę cię...

Mad Dog przeszedł obok, nie zerkając nawet w jego stronę. Jake doznał w równym stopniu uczucia ulgi, jak i rozczarowania.

Mad Dog nie zauważył go... znów.

Chłopiec odepchnął się od ściany i poprawił czapkę na głowie. Brudnymi palcami otarł pot z twarzy i odsunął opadający na czoło kosmyk rudych włosów. Na Boga, jak on miał już tego dość. Ukrywania się, żywienia byle czym, spania na chłodzie. Chciał mieć to już za sobą.

Najpierw jednak musiał wreszcie odważyć się stanąć twarzą w twarz z Mad Dogiem, a moment ten wydawał mu się teraz równie odległy jak przed czterema miesiącami, kiedy zaczął wędrować w ślad za nim.

Odczekał chwilę, póki Mad Dog nie oddalił się na bezpieczną odległość, potem zarzucił worek na ramię i ruszył za nim.

Marian Throckmorton cofnęła się o krok i krytycznym wzrokiem oceniła rezultat swojej pracy. Nawoskowane półki

nad biurkiem ojca lśniły czystością. Starannie ułożone pisma i papiery tworzyły na ciemnej powierzchni drewna regularny wzór przypominający szachownicę. Pośrodku biurka stał kryształowy kałamarz, obok pojemnik na pióra i suszka. Wzdłuż krawędzi półek ustawione były skamieliny. Wszystko znajdowało się w idealnym porządku.

Marian zastanawiała się jednak, czy nie mogłaby zrobić tego lepiej, zrobić w ogóle coś, co sprawiłoby, że ojciec doceniłby jej wysiłki.

Westchnęła. To się nigdy nie zdarzy, pomyślała. Jego wcale to nie obchodzi, nawet nie zauważy, ile wysiłku wkładam w to, by utrzymać jego kolekcję w idealnym stanie. Dawniej robiła to jej matka, ale teraz, kiedy odeszła, na Mariach spadł obowiązek wprowadzania ładu w życie Rassa. Przy jego kapryśnym, niepraktycznym usposobieniu nie było to zadanie łatwe.

Próbowała wytłumaczyć sobie, że to, iż ojciec nie dostrzega jej wysiłków, nie ma żadnego znaczenia. Bądź co bądź, miała już trzydzieści cztery lata i mogłaby zaniechać prób przypodobania się ojcu w sytuacji, gdy on wcale tego nie oczekiwał.

Podeszła znów do biurka i wyciągnęła szufladę. Znalazła w niej stertę bezładnie wrzuconych, częściowo zużytych gumek do wycierania. Zaczęła je układać, gdy usłyszała jakiś hałas dobiegający z ogrodu. Zamknęła szufladę, podeszła do okna i rozsunęła zasłonki.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno. Ogród warzywny tworzył brązową plamę z wyraźnymi kępami zieleni, ciągnącymi wzdłuż szklarni. Rzędy drzew owocowych biegły daleko w głąb pastwiska aż do ogrodzenia z drutu kolczastego. Ich symetrię przełamывała tylko podniszczona drewniana stodoła i nieliczne budynki gospodarcze. Pomalowany na biało drewniany płot ograniczał dobrze utrzymane, porośnięte trawą podwórze, obsadzone na brzegach kwiatami. Tuż przy bramie kłęczął na ziemi ojciec, zajęty -jak przypuszczała- wykopywaniem następnej skamieliny.

Nagle zobaczyła mężczyznę, który wyłonił się spod pokrytej listowiem jabłoni i zmierzał w stronę ojca.

Mariah krzyknęła cicho i przycisnęła dłonie do szyby. Po chwili odwróciła się od okna i zrobiła to, co powinna zrobić każda szanująca się kobieta na widok obcego mężczyzny, który wdarł się na teren jej posiadłości. Zbiegła na dół do sieni i sięgnęła po wiszącą na ścianie strzelbę.

Mad Dog stał pod wonnym baldachimem jabłoni, osłonięty nisko opadającymi gałęziami. Lekki wietrzyk poruszał liśćmi, przynosząc delikatny zapach owoców. Zsunął kapelusz na tył głowy i spomiędzy listowia przyglądał się otoczeniu. Miał przed sobą spokojną niewielką farmę. Do przysadzistego piętrowego, pomalowanego na biało domu, z obrośniętym winoroślą gankiem, prowadziła obsadzona kwiatami żwirowa ścieżka. Szeroka

dwuosobowa huśtawka, zawieszona na ganku, kołysała się, łagodnie popychana niewidzialną ręką południowego wiatru. Wszystko mówiło o tym, że ten budynek jest prawdziwym domem. Mad Dog poczuł się niepewnie. Nie był przyzwyczajony do tego rodzaju miejsc. W każdym miasteczku, do którego trafił w czasie długich wędrówek, zawsze znajdował dla siebie kąt do spania, zwykle w rozwalającym się domu lub opuszczonej farmie na skraju miasta, gdzie gromadzili się tacy jak on bezdomni włóczędzy, szukający dorywczej pracy przy kopaniu rowów czy żniwach. Jakimś cudem ci ludzie odnajdywali się wzajemnie i gromadzili w brudnych ruderach. W takich miejscach Mad Dog czuł się dobrze.

Nie było tam jednak czystej pościeli. Na samą myśl o takich luksusach uśmiechnął się.

- Co mówiłaś, Greto?

Mad Dog zerknął w stronę, z której dobiegał męski głos. Dopiero teraz zauważył starszego człowieka, przykucniętego w odległości nie większej niż dwanaście metrów. Mężczyzna trzymał w silnych, przypominających szpony palcach niewielki szpadel. Pasma rzadkich siwych włosów opadły mu na czoło. Wypłowiła kretonowa koszula zwisała luźno z ramion i odsłaniała zapadniętą klatkę piersiową. Krople potu lśniły na jego szyi.

- Przypomina szkielet ptaka - mruknął starszy człowiek. -

Co o tym sądzisz, Greto?

Mad Dog rozejrzył się. Na starannie utrzymanym podwórku nie było nikogo poza tym siwowłosym mężczyzną.

- Szuka pan kogoś? - zapytał.

Starszy człowiek podniósł głowę, zobaczył Mad Doga i zamrugał zaskoczony.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Nazywają mnie Mad Dog

- Mad Dog? Wściekły pies? Indianin? - Siwowłosy mężczyzna spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Mad Dog uśmiechnął się. Zabawne. Niebieskooki, jasnowłosy Indianin, pomyślał.

- Bokser.

Mężczyzna pokiwał głową. Wydawało się, że zrozumiał, w co Mad Dog nie uwierzył. Odłożył szpadel i wstał. Zesztywniałe stawy zatrzeszczały przy tym, jak gdyby w proteście.

- Jestem profesorem Erasmusem Throckmortonem. - Podał przybyszowi rękę i dodał: - Może pan zwracać się do mnie Rass. Czym mogę panu służyć?

-

- Szukam jakiejś roboty.
- Naprawdę? Szuka pan pracy? - Profesor ściągnął krzaczaste brwi nad zaskakująco błękitnymi oczami.
- Na pewien czas - odparł Mad Dog i wzruszył ramionami.
- To niespodzianka... Nie jestem pewny... - Rass uważnie przyglądał się przybyszowi.
- Pan zostawił ogłoszenie w restauracji, prawda?
- Uhm - mruknął profesor, nadal przyglądając się przybyszowi.
Mad Dog poczuł się niepewnie. Był przyzwyczajony do sytuacji, kiedy ogłoszeniodawca rezygnuje z jego usług. Ludzi takich jak on zatrudnia się w ostateczności.
- Jesteś żonaty?
- O, nie. - Mad Dog się roześmiał.
Rass przyglądał mu się jeszcze przez chwilę w skupieniu.
- Płaca wynosi osiem dolarów tygodniowo, do tego pokój i wyżywienie. Prawdopodobnie oczekiwałeś więcej...
- W zupełności wystarczy. - Mad Dog się uśmiechnął.
- Ach tak. - Rass z wahaniem odwrócił się w stronę domu. - Chodź ze mną- dokończył.
Ruszyli ścieżką do domu. Tuż przed wejściem Rass rzucił szpadel na ziemię. Mad Dog schylił się, żeby go podnieść, ale profesor go powstrzymał.
- Nie przejmuj się. Zostawiam narzędzia gdzie popadnie, dzięki temu moja córka ma jakieś zajęcie.
- Córka?
Gdzieś z głębi domu dobiegł ich stłumiony okrzyk, a potem odgłos kroków. Starszy mężczyzna westchnął. To właśnie ona. Spiesz mi z pomocą. ...
- Dlaczego...
Z hukiem otworzyły się drzwi wejściowe. Pojawiła się

w nich wysoka postać w brązach. Mad Dog dostrzegł błysk metalu i odruchowo wysunął się do przodu, by osłonić Rassai;

- Nie dotykaj go! - rozległ się piskliwy okrzyk.

Zanim Mad Dog zdążył cokolwiek powiedzieć, poczuł silne uderzenie w głowę. Był to najmocniejszy cios, jaki kiedykolwiek otrzymał. Zachwiał się, a potem upadł.

Leżał wyciągnięty na rabacie z daliami. Po chwili ogarnęła go ciemność.

Kiedy się ocknął, był sam.

Czy ty kompletnie oszalałeś?

- Ależ Mariah... - Rass uniósł zniekształconą reumatyzmem rękę.

- Przychodzisz tutaj, spokojny jak gdyby nigdy *nic*, i mówisz mi, że wynająłeś tego...

Przez otwarte drzwi spojrzała na mężczyznę rozciągniętego na jej ukochanych, wypielęgnowanych fioletowych daliach. Opierał się na łokciu i dłonią odgarniał opadające mu na oczy włosy. Wzrok miał jeszcze nieprzytomny, ale Mariah pewna była, że za chwilę intruz dojdzie do siebie.

- Wynająłeś tego... typa, żeby mi pomagał w prowadzeniu farmy, i uważasz, że w ten sposób mnie uszczęśliwisz? - zapytała, siląc się na spokojny ton.

Rass westchnął ciężko.

- Już od dawna nie oczekuję, że potrafisz być szczęśliwa.

Mariah poczuła przykre ukłucie w sercu. Dlaczego, zastanawiała się - jak setki razy wcześniej - każde słowo ojca rani ją tak bardzo. Ciężko pracowała, prowadząc farmę, tak ciężko jak mężczyzna. Rezultaty nie były złe, ale Rass uważał widać, że to za mało. Za jej plecami wynajął kogoś, kto miał

ją zastąpić. Próbował ją odsunąć, dać do zrozumienia, że nie radzi sobie zbyt dobrze.

- Nie pozwolę mu tutaj zostać - powiedziała. Profesor podszedł bliżej i popatrzył na nią ze smutkiem.
- Zbyt długo jesteśmy sami, Mariah.

Odwróciła się, próbując uniknąć jego wzroku. Domyślała się, co zechce jej jeszcze powiedzieć, i wołała tego nie słyszeć.

- Nie tak znów długo...
- Mama odeszła. Ty powinnaś mieć własne życie.

- Nie chcę tego. - Zaciśnęła dłonie w pięści. - Nie pozwolę, żebyś wprowadził obcego człowieka do mojego domu.

- To jest mój dom.

Mariah odczuła te słowa jak policzek. Zdawała sobie sprawę, że przegrała. Ojciec zatrudnił już tego mężczyznę, a zdania nigdy nie zmieniał. Pomyślała, że widocznie popełnia jakieś błędy. Zapewne uważa, że nie potrafię samodzielnie prowadzić domu. Mój Boże, przecież tak się starałam, by był ze mnie dumny, tyle wysiłku wkładałam w to, by zapomniał o moich błędach z przeszłości. Dlaczego nie odniosło skutku?

- Spójrz na niego - powiedział Rass.
- Nie.
- Spójrz, proszę.

Niechętnie odwróciła się w stronę wejścia i zerknęła na przybysza. Siedział już, z wyraźnym wysiłkiem starając się oprzytomnieć. Miał na sobie zniszczone, brudne ubranie. Wydawało jej się, że czuje jego przykry zapach.

Był młodszy, niż początkowo sądziła. Miał może trzydzieści pięć, sześć lat, ale wyglądał na zniszczonego życiem. Zauważyła jego wychudłą twarz, świadczącą o wielu dniach spędzonych na drogach i o ilości wypitego alkoholu. Sumiaste,

ZAGUBIENI

opadające wąsy przysłaniały mu usta, a brodę i policzki pokrywał zarost. Widocznie mężczyzna nie golił się od kilku dni. Włosy miał potargane i zbyt długie, spłowiałe na słońcu, tak że miały kolor żyta. Wytarty kołnierz białej niegdyś koszuli odsłaniał owłosioną pierś.

Widok ten ożywił w pamięci Mariah obrazy, setki ukrytych pragnień, o których od dawna chciała zapomnieć. Zaszło jej w ustach, puls stał się szybszy.

Wróciła wrokiem do twarzy nieznajomego i napotkała spojrzenie pary cynowoszarych oczu. To nieruchome, twarde spojrzenie pozbawiło ją resztek pewności siebie. On miał oczy Stephena.

Oddychała z najwyższym trudem. Chciała oderwać wzrok od twarzy przybysza, ale jego oczy trzymały ją w obezwładniającym hipnotycznym uścisku. Lęk ścisnął jej serce.

Opanuj się, nie pozwól mu na to. skarciła się w myślach.

Zamknęła oczy i w milczeniu policzyła do pięciu. Po chwili oddychała już swobodnie. Kiedy poczuła się lepiej, znów popatrzyła na nieznajomego.

Myliłam się, pomyślała. Nie jest do niego podobny. Oczy Stephena były brązowe, wesołe, a te są szare i zimne. Tylko spojrzenie było podobne. Obojętne, chłodne spojrzenie mężczyzny, który nigdy długo nie przebywa w jednym miejscu.

Zamiast irracjonalnego lęku przed przybyszem poczuła do niego odrazę. Pogardzała takimi typami. Nieodpowiedzialnymi, leniwymi włóczęgami. Przed laty, kiedy była młodą naiwną dziewczyną, uległa urokowi mężczyzny podobnego do niego, ale to się już nigdy nie powtórzy.

- Zaufaj mi - powiedział cicho Rass.

- Dobrze. Tym razem ci zaufam - mruknęła, po czym, zerknęła na przybysza. - Ale nie jemu.

Mad Dog dotknął palcami guza, który zaczął wyrastać mu na głowie. Chryste, od kogo tak oberwałem... i czym? Obuchem? - zastanawiał się. Potem sobie przypomniał. Ta brązowa zjawia walnęła go kolbą strzelby.

Potrząsnął głową i spróbował wstać. Pierwsza próba nie powiodła się. Opadł znów na kwietnik, rozgniatając następny rząd fioletowych kwiatów. Poczul ich słodką woń i zrobiło mu się niedobrze. Zamknął oczy, przycisnął dłoń do żołądka i próbował opanować mdłości.

- *Źle się czujesz?*

Mad Dog otworzył oczy. Rass pochylał się nad nim z ojcowskim uśmiechem na pomarszczonej twarzy.

- Nigdy nie czułem się lepiej - odparł Mad Dog z wymuszonym uśmiechem.

Profesor ukląkł i podał mu chusteczkę.

Mad Dog spojrział na skrawek haftowanego lnianego płótna, niewiele większy od pocztówki. Pomyślał, że jego pracodawca chyba nigdy nie miał kataru.

- Weź, to ci powinno pomóc - powiedział Rass. Jego twarz rozjaśniła się, jak gdyby wpadł na znakomity *pomył*. -*Mariah!* - zawołał. - Daj mu kawałek mięsa.

- Może zaczekać do kolacji - odburknęła córka.

- Nie do jedzenia. Okład z surowego mięsa jest dobry na opuchnięcia - wyjaśnił Rass.

Stojąca w drzwiach kobieta nie poruszyła się. Mad Dog uniośł się na łokciach, aby lepiej jej się przyjrzeć. Nie odzyskał jeszcze ostrości widzenia, ale to, co zobaczył, było raczej zniechęcające. Kobieta przypominała dużą ponurą sowę. Od czubka starannie uczesanej fryzury aż po końce pantofli była kompletnie brązowa. Brązowe włosy, brązowe oczy, suknia, fartuch.

Stała sztywna i groźna jak posąg. Głowę trzymała wysoko, plecy miała wyprostowane, usta zaciśnięte. Jej twarz sprawiała

wrażenie wyrzeźbionej w kamieniu. Żadnych zmarszczek wokół oczu czy ust, wskazujących na skłonność do śmiechu. Gdy napotkał wreszcie jej spojrzenie, zaskoczył go wyraz żywej niechęci w oczach kobiety.

- Takie przyglądanie się jest co najmniej niegrzeczne - powiedziała oschle. - Pana maniery świetnie pasują do stroju.

- To samo można powiedzieć o pani - odparł Mad Dog, wzruszając ramionami,

- Mariah! - odezwał się ostrym tonem Rass. - Daj temu człowiekowi kawałek mięsa. Przynajmniej tyle powinnaś zrobić po tym, jak powaliłaś go ciosem w głowę.

Prychnęła ze złością. Przez chwilę Mad Dog myślał, że kobieta zlekceważy polecenie ojca, ale nagle odwróciła się i weszła do domu. Rass uśmiechnął się przepaszająco.

- Ona jest raczej...

Gwałtowna? Nieobliczalna? Wojownicza? - Mad Dog próbował znaleźć odpowiednie określenie.

- ...uparta - dokończył profesor, wstając. - Znajdę ci jakieś lekarstwo. Obawiam się, że będzie cię mocno boleć głowa.

- Dziękuję, Rass.

- Nie musisz dziękować, synu. Zaraz tu wrócę. - Stary człowiek machnął ręką i po chwili zniknął w drzwiach domu.

Po chwili pojawiła się Mariah. W dłoni, pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, trzymała niewielki kawałek surowego mięsa w taki sposób, jak gdyby to był zdechły szczur. Unosząc nieznacznie spódnicę, zeszła ze schodków ganku i zatrzymała się przy nogach Mad Doga. Powiodła wzrokiem wzdłuż rozciągniętego na kwietniku ciała mężczyzny. Jej spojrzenie zatrzymało się na dziurawych podeszwach kowbojskich butów. Skrzywiła się i podała mu mięso.

- Proszę.

Demonstracyjny wyraz obrzydzenia na twarzy kobiety

wydał mu się zabawny. Zupełnie jak gdyby oczekiwała, że się przejmie tym, co ona o nim myśli, a on przecież nigdy nie przywiązywał wagi do opinii pewnych siebie, ograniczonych starych panien. Usiadł i uśmiechnął się do niej ironicznie.

- Dziwnie mały ten kawałek mięsa.
- Bo i guz jest dziwnie mały - odparła. Mad Dog roześmiał się.

- Widocznie wojowniczy wróbelek w ostatniej chwili przed zadaniem ciosu zapanował nad swoim temperamentem - powiedział i powoli podniósł się z ziemi.

Mariah chciała się cofnąć, ale przeszkodził jej najniższy stopień schodów. Skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła intruzowi w oczy.

Jak na kobietę była wysoka, a dzięki wyprostowanej sylwetce wydawała się jeszcze wyższa. Czubek jej głowy sięgał Mad Dogowi do brody, a miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Pojedyncze pasma kręconych włosów opadały jej na policzki. Domyślał się, że musi ją to irytować. Przyglądając się jej z bliska, doszedł do wniosku, że mylił się, porównując ją do wróbla. W niej było... coś więcej.

Cały wygląd tej kobiety świadczył o twardym charakterze. W jej twarzy, o nieco wysuniętym podbródku i wyraźnych kościach policzkowych, nie można było się doszukać śladów łagodności. Surowości dodawały jej wąskie bezbarwne usta, tworzące cienką, wyrażającą zawziętość linię. Z pewnością nie była piękna, może tylko ładna, ale Mad Dog dostrzegał w niej coś interesującego, coś, co mimo surowych, regularnych rysów nadawało jej twarzy atrakcyjny wygląd. Gdyby się uśmiechnęła, byłaby z pewnością ładna.

No i te oczy. Gdy pierwszy raz na nią spojrział, wydawały mu się brązowe, ale teraz, gdy przyjrzał im się bliżej, zauważył, że mają niezwyklej odcień syropu klonowego i ocienione są

gęstymi czarnymi rzęsami. W zestawieniu z bladą cerą wydawały się ogromne i palające dziwnym blaskiem.

- Zamierza pan wpatrywać się tak we mnie przez cały dzień.
- Znany jestem z tego, że ładnej kobiecie potrafię się długo przyglądać - odparł, wzruszając ramionami.

Zesztywniała jeszcze bardziej, jeśli w ogóle było to możliwe.

- Nie wątpię, że pan potrafi. Czemu wobec tego nie poszuka pan sobie jakiegoś, innego obiektu? W pobliskim miasteczku na pewno znajdzie się ktoś w pańskim guście.

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

- Nazywają mnie Mad Dog.
- Wściekły Pies? Pozwala pan na to? - zapytała, patrząc na jego dłoń, jakby to był odrażający ślimak.

- Gorzej. Podoba mi się to. - Roześmiał się.

- A jakie ma pan nazwisko? Może Kieł?

- Nie. Stone.

Odniósł wrażenie, że nazwisko też się jej nie spodobało.

Prychnęła i przechyliła głowę.

- Jaka była treść ogłoszenia? - zapytała.

- Poszukiwany jest pracownik. Mieszkanie i wyżywienie w zamian za lekką pracę fizyczną.

- Ojciec wywiesił je bez mojej wiedzy i zgody. Skoro jednak zgłosił się pan, nie mam wyboru, tylko muszę znaleźć dla pana jakąś pracę.

- Coś takiego! Wielkie dzięki.

- Swoje ironiczne komentarze może pan zachować dla siebie, panie Stone.

- Dobrze, jeśli i pani zachowa.

Przyglądała mu się przez chwilę z wyraźną dezaprobatą.

- W chacie dla pracowników jest bałagan, ale nie sądzę, żeby to panu przeszkadzało.

- Tyle złośliwości i to ze strony chrześcijanki, kobiety takiej jak pani?

Zignorowała całkowicie jego uwagę.

- Pokój zostanie sprzątnięty, a pościel będzie wymieniana co sobotę. Jak zwykle.

- Na razie mogę spać w swoim śpiworze - powiedział, obojętnie wzruszając ramionami, chociaż poczuł się nieco zawiedziony.

Po raz pierwszy kobieta się uśmiechnęła, ale w taki sposób, że wyraz jej twarzy wydał mu się jeszcze bardziej chłodny.

- Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że nie doczeka pan do tego terminu, panie Stone.

- Rozumiem, że na to pani liczy.

- Właśnie tak. - Ruchem głowy wskazała mały domek, stojący w pobliżu bramy. - To jest chata dla pracowników. Może pan zostawić tam swoje rzeczy, a za dziesięć minut proszę tu przyjść, to dam panu jakieś zajęcie.

- Chce pani, żebym już zabrał się do roboty? - zapytał, unosząc brwi.

- O tak, panie Stone. Przecież szukał pan pracy - przerwała na moment dla większego efektu - więc znalazł ją pan.

Mad Dog z zadowoleniem patrzył na niewielki, pomalowany na biało domek. Nacisnął klamkę, otworzył wąskie drzwi i wszedł do wnętrza. Zawiasy skrzypnęły głośno, drzwi stuknęły o ścianę, wzbijając tumany kurzu. W smudze światła wpadającego przez niewielkie okno widział tańczące w powietrzu pyłki.

Zakasłał i przymrużył oczy.

Pomieszczenie było niewielkie i zaniedbane. Wąska prycza stojąca przy ścianie nakryta była niebieskim wełnianym

kocem, opadającym niemal do podłogi. Dwie poszarzałe poduszki leżały oparte o metalową ramę. Rolę stolika przy łóżku pełniła odwrócona do góry dnem skrzynka. Stała na niej zakurzona lampa i leżało pudełko zapalek. Przy przeciwległej ścianie ustawiona była komoda, niebezpiecznie przechylona na bok. Na ścianie nad nią wisiało owalne lustro. W izbie było jedno okno, przysłonięte mocno podniszczoną zasłonką, przez którą wdzierały się do środka promienie słońca. Podłoga z szerokich desek nosiła ślady wieloletniego używania. W rogu znajdował się przysadzisty, pękaty piec.

Do licha. Całkiem fajnie, pomyślał. Wreszcie trochę prywatności.

Nie będą go tu śledzić żadne wścibskie oczy. Nikt nie obudzi go w środku nocy, żaden oberżysta nie zażąda zapłaty. Będzie mógł zostawić swój worek na podłodze i mieć pewność, że jego zawartość nie zniknie.

Cisnął go w róg pokoju i usiadł na łóżku. Zaskrzyphiało pod jego ciężarem. Położył się z rękami pod głową i patrzył na belkowany sufit.

Bez szczególnego powodu jego myśli powędrowały do Marian Throckmorton.

Pedantyczna, przyzwoita, zarozumiała Mariah.

Należała do tego typu kobiet, od których trzymał się z daleka. Nie znaczy to, że one chciałyby mieć cokolwiek wspólnego z mężczyzną zwanym Mad Dogiem. Zaliczała się zapewne do tych, które szybko przechodzą obok, nie patrząc nawet na brudnego włóczęgę. Nabral pewności, że tak właśnie jest, gdy przypomniał sobie jej sztywny sposób poruszania się i starannie upięty kok na karku. I ten brązowy kolor...

Na Boga, czy ona nigdy nie patrzyła w lustro? Ten koszmarny kolor sprawiał, że wyglądała jak... upiór.

Zrobiło mu się żal tej kobiety. Włosy miała zaczesane tak

ciasno, że pewnie wywoływało to nieustanny ból głowy. I ile czasu musiała poświęcić, żeby je ułożyć w ten sposób i pospinać. Życie jest zbyt krótkie, by je tak marnować.

I zbyt krótkie, żeby poświęcić się pracy.

Westchnął i uniósł się na łokciach. Otrząsnął kurz z butów, powoli wstał i ruszył w stronę drzwi.

Chryste, jakże on nienawidził pracy na farmie!

Mariah stała na ganku i patrzyła na zbliżającego się mężczyznę. Jej twarz wyrażała dezaprobatę.

Wszystko w tym człowieku, zaczynając od obtartych czubków kowbojskich butów, a na obszarpanym rondzie kapelusza kończąc, budziło jej sprzeciw. Szedł wolno, najwyraźniej celowo, dłonie wcisnął w kieszenie spodni. Sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy nie troszczy się, by przybyć gdzieś na czas, albo -co wydawało się trafniejsze -takiego, któremu wcale nie zależy na dotarciu dokądkolwiek. Przy tym patrzył na nią niemal bezczelnie. Czuliła, jak pod jego spojrzeniem cierpieje jej skóra na twarzy.

Zachowanie tego mężczyzny było zniewagą dla wszystkich pracujących ludzi. Skrzyżowała ramiona i wzrokiem usiłowała zmusić go do przyśpieszenia kroku.

Mad Dog zwolnił.

- Wyczuwam wyraźną rezerwę w pani zachowaniu wobec mnie, panno Throckmorton - powiedział, zatrzymując się przed domem. Niedbale oparł nogę na najniższym stopniu schodów.

Mariah zacisnęła zęby i rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

- Jestem zaskoczona, że zna pan takie słowo jak rezerwa, panie Stone.

- Czy ono przypadkiem nie oznacza miejsca, w którym żyją Indianie? - Uśmiechnął się ironicznie i zsunął kapelusz na tył głowy.

Mariah westchnęła. Zasłużyłam na to, pomyślała, po co w ogóle zaczynałam z nim rozmowę. Schyliła się i podniosła stojący na podłodze koszyk. Potem z wysoko uniesioną głową zeszła ze schodów i wyminęła Mad Doga. Nie miała ochoty na niego patrzeć.

- Proszę iść za mną - poleciała.

Odczekał parę sekund i ruszył.

Słyszała za sobą odgłos jego kroków, szelest miażdżonych butami zeschniętych jesiennych liści. Nie mogła uwierzyć, że ojciec wprowadził tego... włóczęgę w ich życie. Do ich domu. Zaciśnęła zęby i zakłęła w myślach. Muszę się go pozbyć. Natychmiast, postanowiła. Miała nawet całkiem dobry plan. Ten włóczęga jest człowiekiem niemającym żadnych zobowiązań, mężczyzną, który nigdy nie zatrzymuje się na dłużej w jednym miejscu, zwłaszcza jeśli musiałby ciężko pracować.

Wystarczy więc zmusić go do ciężkiej pracy - wyjątkowo ciężkiej - i zniknie stąd jeszcze dzisiaj.

Pod ogromnym orzechem rosnącym na tyłach pralni Mariah zatrzymała się raptownie i odwróciła, gotowa do podjęcia walki.

Mad Dog wpadł na nią, tak że upuściła koszyk i zamachała rękami, ratując się przed upadkiem. W mgnieniu oka Mad Dog objął ją ramionami i przycisnął do siebie.

- Spokojnie - mruknął.

Jego spojrzenie niemal ją sparaliżowało. Wstrzymała oddech, widząc twarz pełną radości i ciepła, oczy budzące zaufanie. Takie oczy kiedyś już ją zwiodły.

Cofnęła się gwałtownie, byle znaleźć się dalej od niego.

Proszę mnie nigdy więcej nie dotykać.

- Trzeba było zachować stosowną odległość. Kiedy kobieta rzuca się na mnie, nie mogę jej nie objąć.

- Nie rzuciłam się na pana.

- No dobrze, wpadła pani na mnie.

Mariah poczuła, że traci pewność siebie. Niezrozumiałe uczucie lęku wywołało ucisk w okolicach serca. Wiedziała, że jej reakcja na obecność pana Stone'a jest absolutnie niewłaściwa. Miała go przecież ignorować, a nie wdawać się w słowne potyczki.

Przygryzła dolną wargę i się odwróciła, starając skupić się na zielonych kulkach, które leżały rozrzucone na trawie ujej stóp. Po chwili, kiedy już trochę się opanowała, schyliła się i podniosła kilka z ziemi.

- To są orzechy -powiedziała, pokazując je Mad Dogowi.

- Nie jestem tym zaskoczony.

Zignorowała jego uwagę.

- Chcę, żeby zerwał ich pan jak najwięcej, potem wyłuskał je z miękkiej łupiny i zebrał do koszyka.

- Nie wydaje mi się to trudne.

- Dla mężczyzny tak... zręcznego jak pan jest to łatwe zadanie.

Skinęła głową w jego stronę, uniosła nieco spódnicę i ruszyła w kierunku domu. Walczyła ze sobą, by się nie obejrzeć i zobaczyć, co on robi.

Świetnie, pomyślała, łuskaj te orzechy przez dziesięć godzin, a potem powiesz mi, czy zostaniesz tu do rana.

Dobrze się śpi, panie Stone?

Ostry dźwięk głosu wdarł się w błogą ciemność jego snu.

Mad Dog skrzywił się i uchylił nieco powieki. Zauważył

wpatrzone w niego dwoje brązowych oczu. Nie były przyjazne, co zresztą wydało mu się oczywiste.

- O, panna Throckmorton - rzucił całkiem już rozbudzony, unosząc się na łokciach.

Kobieta, szeleszcząc suknią, podeszła do koszyka i zaczerpnęła garść obranych orzechów, potem odwróciła się w jego stronę z wyrazem bezganicznego oburzenia na bladej twarzy.

- I pan uważa, że to są obrane orzechy? - Wyciągnęła dłoń. Na brązowej skorupce jednego z orzechów widać było ślad zielonej łuski.

- A co miałem z tym zrobić? Wygryźć to zielone? - powiedział ze złością.

- Proszę się do mnie zwracać grzeczniej, panie Stone.

Roześmiał się.

- Staralem się, jak mogłem. A że się zdrzemnąłem... Nie spałem od wielu godzin... no i jestem kontuzjowany. -Dotknął guza na głowie.

Wzrok Mariah powędrował za jego ręką, potem wrócił do twarzy.

- Rozumiem, że ma pan dość tej pracy i zamierza odejść - rzekła.

Mad Dog zrozumiał nagle, o co jej chodzi. Zrobiła to celowo; wiedziała, że łuskanie orzechów to przykre zajęcie, a niewątpliwie domyśliła się, że on należy do mężczyzn, którzy nie lubią ciężko pracować.

Powinno go to zirytować, ale - o dziwo - postępowanie tej kobiety wzbudziło w nim pewne uznanie. Pomysł był dobry. Po takim dniu powinien zrezygnować z obiecanego przez profesora zarobku i natychmiast się stąd wynieść,

Nawet czysta pościel nie była warta takiej udręki. Palce miał takie, jak gdyby przetoczyło się po nich koło od wozu; bolały go mięśnie rąk. Tak. powinien się stąd wynieść, lecz

ZAGUBIENI

postanowił najpierw podrażnić się nieco z tą brązową starą panną.

- A dokąd miałbym pójść? - zapytał.
- Dokądkolwiek.

Podniósł się leniwie i podszedł do kobiety. Nie poruszyła się, nie cofnęła, chociaż najwyraźniej miała na to ochotę. Zauważył, że niespokojnie drżą chrapki jej nosa i nieznacznie odchyliła się do tyłu. Wyczuwał jej lęk i to go podnieciło, zupełnie jak na ringu. Nagle poczuł się mniej zmęczony.

- A jeśli spodoba mi się tutaj?
- Ja... zapłacę panu.

Mad Dog zsunął kapelusz na tył głowy i przyjrzał się jej uważnie. Jego wzrok powędrował od bladej twarzy ku zaokrągleniom, które próbowała ukryć pod brązową suknią. Nie mógł nie zauważyć, że ma całkiem zgrabną sylwetkę.

- W jaki sposób? - zapytał, wracając wzrokiem do twarzy kobiety.
- Pieniędźmi - odparła, patrząc na niego z nieskrywaną nienawiścią.
- Z drobnych oszczędności, przechowywanych na wszelki wypadek?

- Szesnaście dolarów. W gotówce.

Mad Dog uśmiechnął się i unióśł brwi. O, to całkiem nieoczekiwany zarobek. Szesnaście dolarów, tak prawie za nic? Ta suma wystarczyłaby mu na jakiś czas.

- Widzę, że jest pan zainteresowany tą propozycją - powiedziała Mariah z triumfującym uśmiechem. - Ludzie pańskiego pokroju nie nadają się do pracy na farmie.

Do licha, nie pozwolę na to, pomyślał. To jest już wyzwanie. Nie pozwolę, żeby triumfowała. To prawda, że chciał odejść, naprawdę miał na to ochotę, ale teraz było to już niemożliwe. Zawsze szczylił się tym, że nie unika walki, a poza tym nigdy się nie godził, by ktoś dyktował mu, dokąd ma pójść.

- Nie, nie - rzekł łagodnie. - Zostanę, żeby zapracować na swoje wynagrodzenie.

- Ale... - Uśmiech zniknął z twarzy kobiety.

- Nie ma mowy. Zostaję.

- Trudno, skoro wybrał pan to miejsce, żeby uczciwie pracować.

- Gdzieś trzeba to robić.

Podniosła koszyk, wrzuciła do niego leżący obok młotek i z kwaśnym uśmiechem powiedziała:

- Kolacja będzie za godzinę. Jedzenie znajdzie pan na ganku.

- Nie zaprasza mnie pani do stołu?

- Nie widzę powodu. - Mariah skrzywiła się.

- Niezbyt to uprzejme z pani strony. Zaczynam się czuć jak niepożądany gość.

Uniosła głowę, mocniej przycisnęła koszyk do boku i szeleszcząc spódnicą, ruszyła w stronę domu.

- A ja myślę, że jest pan naiwny - rzuciła, przechodząc obok niego.

Mad Dog roześmiał się.

Mariah patrzyła na gotujące się w rosolu klopsy i walczyła z nieodpartą niemal ochotą, by cisnąć żelaznym garnkiem o ścianę kuchni.

Opanowała się i zaczęła wyjmować z wywaru mięsne kulki. Potem wlała do rosolu rozrobioną z wodą mąkę i pomieszała gęstniejący sos. Wyprostowała się, gdy usłyszała odgłos kroków ojca na schodach.

- Dobry wieczór, Mariah.

Ułożyła klopsy na dwóch talerzach, poląła je sosem i odwróciła się do ojca,

- Dobry wieczór.

ZAGUHIENI

- Coś tu bardzo apetycznie pachnie - powiedział Rass.
- Klopsy w sosie pieprzowym.
- Świetnie. - Profesor patrzył przez chwilę na stół, po czym uniósł brwi. - Nie widzę nakrycia dla młodego pana Stone'a.
On jest tak samo młody jak ja, chciała powiedzieć z ironią, ale ugryzła się w język.
- Nie będzie jadł z nami. Wystawiłam mu na ganek kurczaka na zimno.
- Dlaczego nie chciał jeść z nami?
Mariah podeszła do stołu i napełniła dwie szklanki mlekiem.
- Może chce poćwiczyć posługiwanie się widelcem - mruknęła.
- Marian, nie jest to zbyt uprzejme z twojej strony.
- Ty za to wykazujesz dość uprzejmości za nas dwoje.
Rass odłożył sztućce. Zabrzęczały lekko, ale w zapadłej ciszy ten dźwięk wydał się głośny. Mariah znieruchomiała. Czują na sobie wzrok ojca. Tylko spokojnie, bez emocji, pomyślała.
- Zmiany są naturalnym składnikiem życia - rzekł starszy pan.
- Tak samo naturalnym jak kłopoty?"
- Przybycie Mad Doga na pewno nie jest dla nas kłopotem.
- Nie widziałeś go, jak łuskał orzechy.
- Daj mu szansę - powiedział łagodnie Rass.
Mariah odwróciła się do ojca; jej przymrużone oczy pałały gniewem.
- Już raz to zrobiłam. Powinieneś o tym pomyśleć, zanim zaproponowałeś mi coś takiego.
Rass ze smutkiem opuścił głowę.
- Ach, Mariah... - westchnął. - Przecież nie jesteś już szesnastoletnią dziewczyną.
Jego córka, czując, że traci cierpliwość, wstała i zacisnęła mocno dłonie na krawędzi stołu, by opanować ich drżenie.

KRISTIN HANNAH

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać.
- Wiem, że nie chcesz. Nigdy nie chciałaś.

Wbiła wzrok w sześciofajerkowy piec, który był radością i dumą jej matki.

- I nigdy nie będę chciała - dodała. Pragnęła, by jej słowa zabrzmiały mocno i pewnie, ale przypominały raczej żalostną prośbę.

- W porządku. Siadaj do kolacji.

Uspokoila się i powoli usiadła przy stole.

- Tylko nie wspominaj więcej o panu Stonie. Wolałabym spokojnie dokończyć posiłek.

Zapadła cisza zakłócana jedynie pobrzękiwaniem sztućców o porcelanę. Wreszcie Rass odsunął w połowie tylko opróżniony talerz i opadł na oparcie krzesła.

- Dobra kolacja - powiedział cicho.

Mariah spojrziała na ojca, zaskoczona ponurym brzmieniem jego głosu. Tego wieczoru był wyjątkowo smutny. Jego błyszczące dawniej oczy stały się jakby zamglone. Zapewne znów wspomina zmarłą żonę, pomyślała.

Miała ochotę go dotknąć, powiedzieć, że rozumie ten smutek, ale już od lat nie potrafiła się zdobyć na taki gest. Nawet nie wiedziała, jakich użyć słów. Tak się składało, że ilekroć chciała wyrazić ojcu współczucie, wykonywała jakiś niezręczny gest albo mówiła coś niewłaściwego. Co gorsza, nie uświadamiała sobie w pełni, jak bardzo po śmierci matki ona i ojciec oddalają się od siebie.

Rass odsunął krzesło i wstał od stołu.

- Pójdę teraz do swojego pokoju - powiedział. - Trochę poczytam. Jestem mniej więcej w połowie tego traktatu profesora Mittlbauma.

- Widocznie jest bardzo ciekawy.

Uśmiechnął się, ale nie był to tak radosny uśmiech jak w dawnych czasach.

ZAGUBIENI

- Znalazłem w nim parę dowodów na potwierdzenie mojej teorii, że szczyt Pike'a jest miejscem, w którym powinno się zacząć kopać.

- To świetnie.

- No właśnie. - Starszy pan westchnął. - Może któregoś dnia wybierzemy się tam razem.

Mariah zauważyła, że ojciec bardzo się stara, żeby jego słowa zabrzmiały optymistycznie. Bez rezultatu. Nic zresztą dziwnego. Słyszała to zdanie niejedną raz i zawsze raniło jej serce, a jej reakcja przynosiła mu kolejne rozczarowanie. Oboje przecież wiedzieli, że nie wybierze się z nim do Kolorado. Od wielu lat nie opuszczała farmy.

Rass powoli ruszył w stronę drzwi.

- Dobranoc - powiedział. - Zobaczymy się rano.

Mariah uśmiechnęła się.

- Dla pana Stone'a mam sporą listę zadań na jutrzejszy dzień. Jeśli jeszcze tutaj będzie.

- Z pewnością będzie.

- Wątpię, ale jeżeli się nie mylisz, to będziemy musieli zadbać, żeby zapracował na swoje wynagrodzenie. Niezależnie od tego, jak długo tu pozostanie.

- Przy czym chcesz go jutro zatrudnić?

- Jeszcze nie wiem. Trzeba by pomalować ganek, no i można już rozpocząć zbieranie jabłek.

- Jabłka..., Twoją metodą?

- Nie widzę nic złego w moim sposobie segregowania zrywanych jabłek.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem. - Dobranoc.

- Czekam na ciebie dwadzieścia po piątej.

- Dwadzieścia po piątej! Boże, jak ja nienawidzę tych farmerskich godzin.

Mariah uśmiechnęła się, słysząc tę powtarzaną dzień w dzień

skargę. Gdy tylko ojciec wyszedł z kuchni, wstała i zajęła się sprzątaniami ze stołu.

„Może któregoś dnia wybierzemy się tam razem”, powtórzyła w myślach zdanie wypowiedziane przez ojca.

Podeszła do okna i spojrzała na tonące w mroku podwórze. W bladym świetle księżyca rysowała się biała linia drewnianego płotu otaczającego farmę. Płot.

Zamknęła oczy, ale to nie pomogło. Nadal widziała ogrodzenie, wciąż nie mogła odsunąć od siebie bolesnej myśli o przeszłości ani irracjonalnego lęku.

Niegdyś, dawno temu, nie bała się opuszczać farmy. Śmiejąc się, swobodnie wybiegała poza bramę. Miała wtedy szesnaście lat, była pełna życia, marzeń. Nie bała się niczego.

Dlaczego zaczęłam znów o tym myśleć? - zastanowiła się. Przecież już od lat nie wracałam do tych wspomnień. Czemu zjawily się teraz?

Wiedziała. To z powodu tego mężczyzny. To on przypomniał jej przeszłość, o której chciała zapomnieć. Zaciśnęła dłoń na krawędzi porcelanowego zlewu i znów spojrzała w okno. Tak, to przez niego pojawiły się niechciane uczucia, myśli o tym, o czym powinna zapomnieć.

- Do licha z nim! - szepnęła.

Od siedemnastu lat robiła wszystko, by życie jej stało się spokojne i bezpieczne, a serce i dusza utraciły dawną wrażliwość. A teraz przybłąkał się ten mężczyzna i to mogło wszystko zmienić.

Nie, nie pozwoli na to. Odzyskanie wewnętrznej równowagi kosztowało ją zbyt wiele trudu, żeby teraz zburzył ten stan jakiś nic niewarty włóczęga. . Wiedziała, że musi się go pozbyć.

ZAGUBIENI

Mad Dog odstawił talerz, wstał i się przeciągnął. Chłodne jesienne powietrze niesło zapach gnijących owoców i zeschniętych liści. Na aksamitnym niebie lśniły miliony gwiazd.

Czuł się znakomicie. Miał pełny żołądek, wygodne miejsce do spania, możliwość umycia się. Nie mógł sobie życzyć niczego więcej.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch na skraju sadu. Powoli opuścił ręce. Potężne drzewa owocowe wyciągały pokryte liśćmi konary ku gwiaździstemu niebu. W oddali widział czarną sylwetkę pokrytej stromym dachem stodoły.

Wydawało mu się, że znów się coś przesunęło; wyczuwał to raczej, niż widział. Ściągnął brwi i przymrużonymi oczami wpatrywał się w ciemność, jednak nic nie dostrzegł. Żadnego ruchu. Nawet najbliższy powiew wiatru nie poruszał liśćmi drzew.

Po chwili się odprężył. Zbyt wiele nocy spędził na drogach, wypatrując najmniejszych oznak niebezpieczeństwa, dlatego teraz wyobraził sobie zagrożenie tam, gdzie panował absolutny spokój. Podniósł pusty talerz i podszedł do drzwi wejściowych. Ostrożnie nacisnął klamkę i wszedł do sieni, rozjaśnionej smugą światła padającego z otwartych drzwi kuchni.

Mariah stała przy kuchennym zlewie i wyglądała przez okno, pogrążona w myślach i, jak mu się zdawało, bliska łez. Nie zauważyła, gdy stanął w otwartych drzwiach.

Na co ona patrzy? - pomyślał. Za oknem nie dostrzegł nic poza tonącymi w mroku rozległymi polami i drewnianym płotem. Sztynna sylwetka kobiety nabrała nieco miękkości, przygarbiła się. Kilka luźnych kosmyków włosów, które uwolniły się z koka, opadło jej na kark. Dłonie zacisnęła na obrzeżu zlewu.

Przypominała mu kobietę, którą znalazł w młodości, Ette Barnes. Etta straciła na wojnie męża i nigdy potem nie była

już taka sama. Jej cera straciła kolor, a oczy blask. Czasami, bez powodu, miała łzy w oczach.

Porównanie wydało mu się jednak bezsensowne. Mariah Throckmorton była oschłą, pewną siebie starą panną. Cóż złego mogło się jej przydarzyć, skoro całe życie spędziła na tej bezpiecznej farmie? Jakie problemy mogło nieść jej spokojne, uregulowane życie? Najwyżej przedwcześnie zwiędła petunia na kwietniku. Odchrząknął dyskretnie.

Drgnęła i odwróciła się w *jego* stronę.

-Pan Stone!

-Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

- Nie szkodzi. - Nerwowym ruchem odgarnęła włosy opadające na twarz. - Zamyśliłam się. Prawdę mówiąc, szkoda na to czasu - dodała, uśmiechając się niewyraźnie. - Nie jestem tego pewny. Ja lubię sobie pomarzyć.

Po tych słowach w wyrazie jej twarzy zaszła nagła zmiana. Mad Dog odniósł wrażenie, jak gdyby temperatura w kuchni spadła o kilka stopni. Patrzyli na siebie w milczeniu. Nie wiedział, co ma teraz powiedzieć. Oczy kobiety straciły łagodny wyraz, ale widział go przecież przez moment, i to, go zaintrygowało.

Śniadanie jest o piątej dwadzieścia- powiedziała Mariah. - Proszę się nie spóźnić.

-Piąta dwadzieścia? Hm, hm... - Uśmiechnął się. - Nie kwadrans po piątej czy o wpół do szóstej. Jak w wojsku.

- Jeśli nie podoba się to panu... - Przerwała i spojrzała na niego. - Zna pan drogę do miasta.

- Och, to była taka przyjacielska uwaga.

-Nie potrzebuję takich przyjaciół jak pan - oświadczyła, zadzierając nosa.

- Nie jestem pewny - odparł. - Kto wie, czy nie jestem akurat tym, którego pani potrzebuje.

- Proszę już iść do siebie, panie Stone. Czeka pana ciężki dzień.

Głos jej brzmiał chłodno i zdecydowanie, ale Mad Dog wyczuwał w nim ukryte emocje. Jak gdyby z trudem usiłowała zachować spokój, jakby coś ukrywała.

- Dobranoc, panno Throckmortoff Zobaczymy się o piątej dziewiętnaście.

- Dobranoc, panie Stone. Mam nadzieję, że więcej pana nie zobaczę.

Jake stał przy płocie i patrzył na tonącą w półmroku farmę. Z komina górującego nad domem mieszkalnym wydobywała się smuga dymu. Czuł jego ostrą woń. Z pomalowanymi na biało ścianami kontrastowały kwadraty okien, z których zapraszająco sączyło się czerwonożłote światło.

Poczuł bolesny ucisk w piersi. Ten dom przypominał mu inne miejsce, inny czas. Wtedy nigdy nie był głodny, samotny i zmarznięty, a wszystkie drzwi były przed nim otwarte.

Zamknął oczy. Czuł zbierające się pod powiekami łzy. Jakże nienawidził tego, co robi, tego, kim się stał.

Mamujesz czas, Jacob, przekonywał się w myślach. Nie możesz zmusić kogoś, by się tobą zajął...

Bardzo chciał posłuchać tego głosu rozsądku, ale nie mógł okłamywać siebie. Wiedział przecież, dlaczego podąża krok w krok za Mad Dogiem, chociaż zdawał sobie sprawę, że jego marzenia mogą się nigdy nie spełnić, że znów zostanie zraniony. Usiłował od dawna wmówić w siebie, że nie powinien wierzyć w cuda i szczęśliwe zakończenie, ale bez skutku. Matka, a później dziadek setki razy przekonywali go, że powinien spojrzeć prawdzie w oczy, ale i to nie pomogło. Gdzieś w głębi serca słyszał głos, który mówił mu, żeby się nie poddawał.

Teraz jednak, po wielu chłodnych nocach i upalnych dniach spędzonych na drogach, marzenia nieco wyblakły.

Spojrzał znów na budynek mieszkalny. Pragnął zamieszkać w takim miejscu jak to, chciałby, żeby ktoś mu powiedział, że na niego czeka, że cieszy się z jego przybycia.

Zacisnął oczy. Próbował przekonywać siebie, że musi zachowywać się jak dorosły mężczyzna. Był jednak samotny, głodny i zalękniony. Chciał przestać się bać, że zachoruje i umrze w samotności, że wpadnie pod pociąg lub gdy nadejdą mrozy, umrze gdzieś z głodu i zimna. Pragnął mieć obok siebie kogoś bliskiego, kto odgarnie opadające mu na oczy zbyt długie włosy albo położy mu dłoń na czole, gdy on poczuje się źle.

Brakowało mu matki.

Gorące łzy popłynęły mu po policzkach. Miał już dość udawania, że jest silny. Wystarczało mu odwagi, by podążyć za Mad Dogiem, ale brakowało, by zacząć działać.

Pochylił głowę i odwrócił się od domu, który wzbudził w nim zbyt wiele wspomnień. Gdzieś w oddali zaryczała krowa. Skradając się w ciemnościach, ruszył w kierunku stodoły. Liście szeleściły pod jego stopami, ale wokół panowała cisza i spokój.

Przechodząc pod jabłonią, zerwał parę dojrzałych owoców i wrzucił je do worka. Po chwili znalazł się we wnętrzu stodoły, po omacku znalazł drabinę, wspiął się na stryszek i położył na stercie siana.

Zamknął oczy i się uśmiechnął. Poczul się jak u siebie. Od czterech miesięcy, odkąd ruszył za Mad Dogiem, nie spał na takim miękkim pościeli. Przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo, ale głód nie pozwolił mu zasnąć. Usiadł i wyjął z worka zerwane w sadzie jabłka. Łapczywie zjadł trzy, potem położył się i próbował zasnąć.

Skurec żołądka przyszedł nagle. Jake podpełzł do niewielkiego okienka, otworzył je i wystawił głowę na zewnątrz. Wymiotował, dopóki całkiem nie opróżnił żołądka. Drżąc, zamknął okienko i znów położył się na sianie skulony w kłębek. Łzy płynące z oczu mieszały się z potem na jego twarzy.

Boże, jakże miał dość tego...

Zamknął oczy i modlił się o noc bez koszmarów. Musiał się wyspać, gdyż jutro wszystko zacznie się od nowa. Mad Dog na pewno opuści tę cudowną małą farmę i znów będzie szukał sobie miejsca w wypełnionych dymem spelunkach, w najgorszych dzielnicach miasta. A on pójdzie za nim.

Nie miał przecież dokąd pójść.

Rass spojrzął na swoje cenne okazy, ustawione w równym szeregu na półce wiszącej nad biurkiem. Mariah znów tu była, pomyślał.

Pokręcił głową i podszedł do okna. Odchylił koronkową firanę i wyjrzał na zewnątrz. Rozległe pola - jego pola - pastwiska i sad nabrały już barw jesieni. Nadciągał zmierzch. Na bezkresnym, ciemnoniebieskim niebie zabłysły pierwsze lśniące jak diamenty gwiazdy. Jego wzrok spoczął na moment na grobie Grety, widocznym jako jasnoszara plama na tle ciemnej zieleni łąki, potem na dłużej zatrzymał się na chacie dla pracowników, wyróżniającej się w mroku bielą ścian.

Pomyślał o mieszkającym w niej mężczyźnie. Nie przyznałby się do tego przed córką, ale nie mógł pozbyć się uczucia niepewności, zwątpienia.

Trudno powiedzieć, co myślał, przypinając ogłoszenie do ściany w restauracji, ale wiedział, czego oczekiwał.

Miał nadzieję znaleźć męża dla Mariah. Kogoś, kto zatroszczy się o nią, kiedy jego zabraknie. I oto zjawił się nieodpowiedzialny włóczęga, człowiek o beztroskim usposobieniu, wyglądający na takiego, który nigdzie nie zagrzewa

miejsca. W pierwszej chwili Rass miał ochotę poinformować go, że miejsce jest już zajęte, nawet otworzył usta, żeby wypowiedzieć te słowa, ale potem spojrzął mu w oczy, tak głęboko, jak uczyła go Greta. I tam, poza zawadiackim uśmiechem, dostrzegł wyraz tego samego osamotnienia, który widywał w oczach córki, a ostatnio również w swoich.

W jakimś sensie wszyscy troje jesteście do siebie podobni. Ta zaskakująca myśl pojawiła się niemal równocześnie z delikatnym powiewem wiatru, który przyniósł słodki zapach lawendy - ulubiony zapach jego zmarłej żony. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, zaprosił mężczyznę do domu.

Teraz jednak nie był pewny, czy podjął słuszną decyzję. Westchnął i oparł czoło o chłodną szybę.

- Jak mam postąpić, Greto? Muszę przecież zatroszczyć się o jej przyszłość - szepnął.

Na moment wstrzymał oddech, jak gdyby czekał na odpowiedź. Nie usłyszał jej. Był sam w pustym pokoju. Nie było nikogo, kto mógłby rozważyć jego pomysł, udzielić rady, której tak rozpaczliwie oczekiwał. Był sam, jak co dzień od ośmiu miesięcy, od dnia śmierci Greta.

Cofnął się od okna; firanka opadła na swoje miejsce. W domu panowała przygnębiająca cisza, zamilkło echo rozmów i śmiechów, które kiedyś rozbrzmiewały w jego ścianach. Bez Greta przestał to być prawdziwy dom, Rass nawet nie wiedział, w jaki sposób do tego doszło. Zdawał sobie tylko sprawę, że brakuje mu tego, czym ten dom był dawniej. Po odejściu Greta Mariah i on stali się sobie obcy. Słuchali swoich słów, nie słysząc ich, rozmawiali, nie porozumiewając się ze sobą.

Odnosił wrażenie, że cokolwiek powie, przyjmowane jest przez nią źle. Odczuwał to, obserwując jej reakcję: wyraz twarzy, przymrużenie oczu, ton głosu. Natychmiast wiedział,

że powiedział coś niewłaściwego, ale nic na to nie mógł poradzić. Zdawała mu się niekiedy taka... daleka. I tak łatwo było ją zranić.

Ach, Mariah, pomyślał z żalem. Na razie byli jeszcze razem, ale któregoś dnia ona zostanie sama w tym obszernym domu. Nie będzie miała nikogo, z kim mogłaby zamienić parę słów.

Zbyt długo pozwalał jej ukrywać się tutaj. Przed laty, kiedy wiodła do domu upokorzona i zdruzgotana uczuciowo, powinien odmówić udzielenia jej schronienia, powinien ją zmusić, by powróciła do realnego świata, nie pozwolić, by tu leczyła swoje rany. I on, i Greta byli zbyt łagodni, zbyt wyrozumiali i dlatego Mariah nigdy się nie uleczyła.

W jakimś momencie zdawało im się, że córka dochodzi do siebie. Zaczęła się uśmiechać, raźniej poruszać. Nie stała się tak radosna jak dawniej, ale przynajmniej sprawiała wrażenie pogodzonej z losem. Potem zauważyli jej niechęć do opuszczania farmy. Początkowo było to przedmiotem żartów; Mariah nie może otworzyć bramy, Mariah nie może pójść do miasta. Greta i Rass śmiali się głośno, potem coraz ciszej, a wreszcie przestali się śmiać.

Teraz wiedział, że źle pokierowali całą sprawą. Nie powinni pozwolić pozostać jej w bezpiecznej przestrzeni otoczonej białym drewnianym płotem. Powinni wypchnąć ją za ogrodzenie.

A jednak ustąpili. Pozwolili jej, by postępowała tak, jak sama tego chciała, usprawiedliwiając się tym, że tak wiele straciła, tak bardzo cierpiała.

Tak dalej być nie może, postanowił. Teraz stawka jest zbyt wysoka. Wiedział, że musi być twardy i nieustępliwy, by przełamać upór córki. Już zbyt długo była pogrążona w żałobie. Nadszedł czas, żeby coś zmienić.

Być może Mad Dog nie był najlepszym wyborem, ale

ZAGUBIENI

w jakiś sposób zakłócił uporządkowany tryb życia Mariah. Nie mogła go zignorować. Może przybysz sprawi, że zacznie się śmiać, że będzie przez niego płakać albo krzyczeć ze złości. Rass nie troszczył się o to. Byle tylko spowodował, że zacznie cokolwiek odczuwać.

Rass postanowił, niezależnie od tego, co się zdarzy, co powie jej Mad Dog, jak bardzo ją dotknie, nie ingerować, nie chronić córki.

Tym razem sama musi się o siebie troszczyć.

Dokładnie o piątej zadzwonił budzik. Mariah już nie spała; siedziała wyprostowana na krawędzi łóżka i patrzyła przed siebie. W pokoju był ciemno. Ciszę zakłócał tylko szmer jej oddechu.

Rozpoczyna się drugi dzień obecności na farmie człowieka, który nazywa się Mad Dog. Straszne. Westchnęła z irytacją i wstała. Wsunęła stopy w pantofle, podeszła do umywalki, napełniła wodą porcelanową miednicę, umyła twarz i wyszorowała zęby. Nie posługując się grzebieniem, zebrała włosy w grube pasmo i zawiązała w kok opadający na kark. Tylko pojedyncze kosmyki wymknęły się jej wprawnym dłoniom.

Myślami wróciła do poprzedniego dnia. Popelniła wczoraj błąd i nie powinna go dzisiaj powtórzyć. Pozwoliła, by Mad Dog jej dotknął. Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Było to niewybaczalne i głupie. Wyrzucała sobie, że dała mu się zaskoczyć, przestraszyć. Bądź co bądź, wydorosła w ciągu tych lat, które minęły od dnia, gdy uległa dziewczęcemu zauroczeniu Stephenem. Nie mogła pozwolić, by znów ktoś zranił ją tak jak on, a zwłaszcza tego rodzaju włóczęga, próżniak i zapewne kłamca. Nie ulegnie żadnym uwodzicielskim słowom, gestom czy uśmiechom.

Nie, nie budzi we mnie lęku, przekonywała się. Po prostu irytuje mnie jego obecność. To nie jest miejsce dla takiego mężczyzny jak on.

Łuskanie orzechów nie poskutkowało, postanowiła więc spróbować czegoś innego. Będzie mu dawać coraz gorsze zadania, aż wreszcie sam odejdzie. Na dzisiejszy dzień miała już gotowy plan.

Uśmiechnęła się na myśl o nim, podeszła do szafy, otworzyła drzwi z oprawionym w nich lustrem i sięgnęła po omacku do wnętrza. Nie miało znaczenia, jaką suknię wyjmie. Od powrotu do domu nosiła wyłącznie brązowe stroje. W tym kolorze czuła się bezpieczna. Nikt nie zauważa kobiet tak nieatrakcyjnie ubranych.

Trafiła na suknię w kolorze kawy i zawiązała na niej fartuszek. Na głowę włożyła czepek w biało-brązowe pasy i wyszła z sypialni. Idąc w stronę schodów, zapukała do pokoju ojca, żeby go obudzić.

Po chwili w kuchennym piecu płonął już ogień, a kawa zaczynała wrzeć. Zdjęła z półki ciężką żelazną patelnię i postawiła na płycie. Czekając, aż się rozgrzeje, wyjęła z chłodzonej lodem szafki ugotowane na twardo jajka i zapakowała je wraz z chlebem i paroma marynowanymi ogórkami do wyłożonego serwetką koszyka.

Wchodząc na ganek, niemal wpadła na czekającego tam już Mad Doga. Tuż przed oczami miała jego nagą owłosioną pierś. Poczwała, jak rumieniec oblewa jej szyję i policzki.

- Panna Throckmorton-powiedział, przeciągając słowa. -Cóż za miła niespodzianka.

Uniosła głowę, żeby tylko nie patrzeć na jego nagą pierś, i napotkała wzrokiem ciepłe, przyjazne spojrzenie szarych oczu. Uśmiechał się do niej. Wyciągnęła rękę i podała mu koszyk.

ZAGUBIENI

- Pańskie śniadanie.
- Dziękuję.

W chłodzie jesiennego poranka jego głos zabrzmiał ciepło... uwodzicielsko. Niespodziewanie ciałem Mariah wstrząsnął dreszcz.

- Zmarzła pani?
- Nie-odburknęła zirytowana jego spostrzegawczością. -Nie jest mi zimno, a zresztą gdyby nawet tak było, to nie pańska sprawa. - Skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na niego surowo. - Proszę się ubrać i przyjść tutaj za godzinę. Pracę na farmie zaczyna się wcześniej.
- Tego właśnie najbardziej nie lubię. - Mad Dog się roześmiał.
- Przypuszczam, że wymyśliła pani dla mnie jakieś szczególnie miłe zajęcie.
- Owszem- odparła z satysfakcją.
- Jakie?
- Czyszczenie chlewu - powiedziała z uśmiechem.

U czwartej po południu Mad Dog miał już pewność, że był okłamywany. Wszyscy zawsze mówili, że świnie to czyste, zmyślne zwierzęta. Teraz, po ponad ośmiu godzinach grzebania się w ich odchodach, nie wątpił, że został oszukany. Świnie to najbardziej tępe i najbrudniejsze zwierzęta na świecie.

Wbił widły w stertę nawozu i oparł się na drewnianym trzonku. Zrobiła to celowo, pomyślał. Chce mnie zadrzeć. Nasunął kapelusz na oczy, chroniąc twarz przed gorącymi promieniami słońca, i na moment zamknął oczy. Zastanawiał się, czy człowiek może się zdrzemnąć, stojąc.

Nagle tłusta maciora wpadła na niego z rozpędem i podcięła mu nogi. Mad Dog zachwiał się, buty uwięzione w gęstym nawozie uniemożliwiły mu odskoczenie w bok. Upadł twarzą

do ziemi. Kiedy podniósł głowę, zobaczył parę sznurowanych, ozdobionych koronką bucików.

- Może pomóc, panie Stone?

Mad Dog zacisnął zęby, podparł się ręką o stertę gnoju i usiadł. Panna Throckmorton nachylała się nad nim jak jakiś brązowy drapieżny ptak. Stała za niskim płotkiem odgradzającym wybieg dla zwierząt, drobnymi białymi dłońmi podparta pod boki. Pasiasty czepek osłaniał jej twarz, ale nic nie mogło ukryć ironicznego uśmiechu. Oczy kobiety błyszczały rozbawieniem.

Znów triumfowała.

Mag Dog błyskawicznie wychylił się do przodu, oblepioną brudem dłonią schwycił ją za rękę i wstał.

- Och, panno Throckmorton, tak bardzo potrzebna mi była pomocna dłoń.

Na twarzy Mariah odmalował się wyraz przerażenia i obrzydzenia. Przez chwilę patrzyła na swoją zabrudzoną rękę i suknię, a potem spojrzała na mężczyznę i triumfujący uśmiech zniknął bez śladu. Jej oczy płonęły gniewem.

- Powinam była wiedzieć...

- Oczywiście, że powinna pani. - Uśmiechnął się i zsunął kapelusz na tył głowy.

- Skończył pan pracę?

Mad Dog skinął głową i wskazał ręką chlew.

- Nawóz jest usunięty i wyrzucony na stertę, koryta czyste, woda w poidle wymieniona i teraz te cholerne prosiaki są różowe jak pupa niemowlęcia.

- No... nieźle... - skrzywiła się z dezaprobatą.

- A co najważniejsze, nadal tutaj jestem. - Klasnął w dłonie rozpryskując gnój, który na nich pozostał.

Mariah cofnęła się, ale o sekundę za późno. Drobinę brudu przyłgnęły do jej sukni

- Przepraszam. - Mad Dog się uśmiechnął. - Powinna pani trzymać się z dala od miejsca, gdzie pracuję.

- Nie sędę, żeby było jeszcze następne.
- Wyprowadzanie pani z błędu wejdzie mi chyba w nawyk.

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego z niechęcią. Próbował strząsnąć nawóz ze swoich spodni, ale bez większego rezultatu.

- Do licha, cuchnę jak... prosię.

- Nie ma się czym przejmować. Nie zauważyłam większej różnicy. Kolacja będzie czekać na pana na ganku za dwadzieścia minut. Proszę się nie spóźnić.

Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i odeszła.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Szła wyprostowana, z rękami przyciśniętymi do boków. Nie musiał widzieć jej twarzy, żeby wiedzieć, w jakim jest nastroju. Twarz miała zapewne ściągniętą, usta zaciśnięte. Wyglądała jak duży drapieżny ptak... ale jej biodra pod brązową suknią kołysały się całkiem ponętnie...

Zdjął kapelusz i wolno poszedł w stronę pompy. Umył się w zimnej wodzie i na ile było to możliwe, oczyścił ubranie. Żałował, że nie ma brzytwy, którą zgubił w Abiienie, bo chętnie by się ogolił.

Wyjął upraną koszulę i w zamyśleniu patrzył na czysty, zadbane dom mieszkalny. Nadal nie potrafił zrozumieć, dlaczego tu przebywa. Było to sprzeczne z jego naturą -pracować ciężko jak zwykły wyrobnik, czyścić chlewy... Powinien być już w drodze do najbliższego miasteczka, do Sonory. Tylko czy tam znalazłby równie ciekawą rozrywkę jak drażnienie się z tą sztywną starą panną?

Tak, dokuczanie tej kobiecie, drażnienie jej ambicji wydawało mu się coraz bardziej zabawne. Okazała się zaskakująco trudnym przeciwnikiem. O godnych podziwu zawziętości i uporze.

Mad Dog wszedł na ganek i zatrzymał się przed drzwiami

wejściowymi. Zanim zdążył zapukać, otworzyły się i stanął w nich Rass.

- Jesteś tu, synu. Właśnie szedłem po ciebie.

Mad Dog jeszcze raz wyjął koszulę i włożył ją na siebie. Wilgotna tkanina przylgnęła do jego ciała.

- Nie ma potrzeby, profesorze. Przyszedłem tylko, żeby zabrać swoją kolację.

- Zabrać? Zjesz z nami w domu. Mariah z pewnością zaprosiła cię...

Młody mężczyzna się uśmiechnął. Zdawało mu się, że słyszy, jak córka gospodarza zgrzyta zębami.

- Nie. Widocznie zapomniała o tym wspomnieć.

- Wejź, proszę. - Rass cofnął się do wnętrza domu.

Mad Dog poszedł za nim. Z wyłożonej ciemną boazerią sieni, oświetlonej gazową lampą, prowadziły na górę schody. Po prawej znajdował się salon, przytulny pokój o ścianach pomalowanych na kolor herbacianych róż, umeblowany mahoniowymi sprzętami. Na ścianach wisiały rodzinne portrety.

Rass skierował się na lewo i wszedł do kuchni. Było to obszerne, kwadratowe pomieszczenie z drewnianą podłogą. Pośrodku stał duży owalny stół. Lewą ścianę zajmował potężny kuchenny piec i zlew pod przysłoniętym żółtą firanką oknem, z którego widać było ganek i podwórze. W kącie stała niewielka skrzynka z lodem, przeznaczona do przechowywania produktów. Ściany pokrywała tapeta w żółte i różowe pasy.

Mariah spojrzała na mężczyznę i ściągnęła brwi.

- Dobry wieczór - powiedział Mad Dog, zdejmując ka pelusz.

Milczała, stojąc bez ruchu i patrząc na niego.

- Zapomniałaś zaprosić Mad Doga na kolację, ale ja pamiętałem. - Profesor uśmiechnął się do córki.

ZAGUBIENI

- Cieszę się - mruknęła.

Rass niespokojnie patrzył to na Marian, to na Mad Doga.

Milczenie przedłużało się.

- Siadajcie - powiedziała wreszcie Marian i odwróciła się w stronę pieca.

Podczas gdy obaj mężczyźni zajmowali miejsca przy stole, napełniła talerze i usiadła naprzeciwko nich.

Mad Dog popatrzył na stojący przed nim talerz i poczuł się dziwnie niezręcznie. Czuł na sobie wzrok kobiety. Niewątpliwie spodziewała się, że za chwilę zobaczy go jedzącego palcami. I prawdopodobnie się nie zawiedzie. Nie wiedział nic o manierach obowiązujących przy stole. Nie pamiętał, by w dzieciństwie kiedykolwiek przy nim siedział, nie miał matki, która nauczyłaby go dobrych manier. Potem, gdy wyruszył w drogę, było podobnie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz spożył normalny posiłek, siedząc na krześle przy zastawionym stole.

Spuścił głowę, unikając wzroku Mariah i Rassa. Powoli, mając nadzieję, że nie robi nic niestosownego, wziął w rękę widelec i rzucił okiem na współbiedniaków. Mariah rozgniała widełcem kartofle, a Rass, posługując się łyżką, zgarniał całą potrawę na jedną nieapetyczną stertę.

Odetchnął z ulgą. Nie patrzyli na niego, nie obchodziły ich jego maniery. Zakłopotanie zniknęło. Wziął do ręki nóż i pomagając sobie widełcem, odkroił kawałek pieczonego mięsa.

- Skąd pochodzisz, synu? - zapytał gospodarz, nie przejmując się tym, że ma pełne usta.

Mad Dog przełknął kawałek smacznego ziemniaka, zanim odpowiedział:

-Z Chicago.

- Masz tam jakichś bliskich?

- Nie.

- Żadnej rodziny?
- Matka zmarła, gdy byłem małym chłopcem.
- To smutne. A co z ojcem?
- Któregoś dnia wyszedł po paczkę tytoniu i już nie wrócił.

Słyszałem, że nie żyje.

Pochwyił spojrzenie Mariah, lecz natychmiast opuściła wzrok.

- Bardzo... Bardzo mi przykro - mruknęła.
- Nie ma powodu. Był pijakiem, który nigdy nie podjął się jakiegś przyzwoitej pracy.

Uniosła głowę, ich spojrzenia znów się spotkały, ale żadne nie odezwało się ani słowem. Mad Dog poczuł nagle pewien rodzaj więzi z tą kobietą, jak gdyby rozumiała, co to znaczy zostać porzuconą. Było to absurdalne.

Do końca posiłku wszyscy milczeli. Wreszcie Mariah zebrała talerze, zaniosiła je do zlewu i odkręciła kran. Woda z szumem rozpryskiwała się o naczynia umieszczone w metalowym koszu.

- Panie Stone - zaczęła Mariah, nie odwracając się. -Jutro będzie pranie. Może pan zostawić swoje rzeczy na ganku.

- A jeśli nie mam nic do prania?

Otarła dłonie o fartuch i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy.

- Ma pan.
- Wobec tego zostawię, jeśli już chce pani uprać moją bieliznę... -Przerwał, widząc, że kobieta się czerwieni, choć nie był pewny, czy z zakłopotania, czy z gniewu.

Po chwili Mariah spokojnym głosem powiedziała:

- Panie Stone, jutro od rana pozwolę panu pracować przy zbiorze jabłek w sadzie.

Zmarszczył brwi. „Pozwolę panu”. Zupełnie jak gdyby oferowała mu coś, na co nie zasługiwał.

ZAGUBIENI

- To jest trudna praca, ale myślę, że jeśli pan się postara, wszystko pójdzie dobrze. Zbiory trwają tydzień. Możemy je zacząć już teraz, póki pan jeszcze tutaj jest.

Pomyślał, że zapewne uważa go za człowieka mocno ograniczonego.

- Trudna praca... zrywanie jabłek?

- Nie jest to aż tak łatwe, jak się wydaje, panie Stone. Zacznie pan od tego, że wyjmie pan z piwnicy pięć skrzynek. Są wyraźnie opisane: czerwone, częściowo czerwone, żółte, zielone, odpady. Zaniesie je pan do sadu nad strumieniem i zacznie zrywać i sortować jabłka. Co godzina będę sprawdzać, jak panu to idzie. Czy to jasne?

- Chce pani, żebym je zrywał, sortował i wrzucał do odpowiednich pojemników?

- Właśnie tak. - Mariah rozpromieniła się, jak gdyby powątpiewała, czy Mad Dog potrafi to zrozumieć.

- Czy pani przechowuje je w różnych warunkach w zależności od koloru? - zapytał.

Pytanie wyraźnie ją zaskoczyło; przestała się uśmiechać.

- Sprzedaje pani te jabłka w różnych cenach?

- Nie.

- Więc po co je segregować? Nie słyszałem, żeby któryś sadownik tak postępował, a zrywałem owoce od wybrzeża do wybrzeża.

- Nie obchodzi mnie, co robią inni sadownicy - odparła Mariah, wyraźnie zirytowana. - Ja zawsze zbieram owoce w ten sposób. Jeśli to panu nie odpowiada, to...

- Ależ nie, mogę tak pracować. - Roześmiał się i wstał. - Byłem tylko ciekawy i uzyskałem wyjaśnienie.

- Czyżby?

- Oczywiście. Pani lubi, żeby we wszystkim panował ład i porządek. - Zatknął kciuki za pasek spodni i podszedł do kobiety. - Nic dziwnego, że ma pani taki problem ze mną.

- Proszę mi uwierzyć, panie Stone, ja nie mam z panem żadnych problemów.

Uśmiechnął się i przysunął nieco bliżej, tak że widział drobne piegi na jej nosie, wyglądające jak okruchy cynamonu, oraz czerwono-złote plamki w brązowych oczach.

- Wobec tego możemy całkiem dobrze współpracować.
- Myli się pan, panie Stone. Nie będziemy współpracować.



Ciepłe promienie porannego słońca z trudem przebijały się przez gęste listowie jabłoni, tworząc nieliczne drgające cętki na trawie, zasłanej opadłymi liśćmi i gnijącymi owocami.

Mad Dog przyglądał się Marian, która stała na najniższym szczeblu drabiny i sprawdzała, czy owoce są dość dojrzałe, ze skrupulatnością generała dokonującego przeglądu wojsk na linii frontu. Było w niej coś, co pobudzało jego uwagę. Nawet teraz, na chwiejnej drewnianej drabinie, stała sztywno jak marmurowy posąg, z uniesioną lekko głową.

Powściągliwość, może nawet surowość - oto co zwracało jego uwagę. Nigdy nie spotkał człowieka, nie mówiąc już o sobie, okazującego taką powściągliwość. Wszyscy, których znał, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, pili zbyt dużo, mówili zbyt dużo, poruszali się zbyt gwałtownie i... umierali zbyt młodo.

Mariah Throckmorton była inna. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie tańczyła, nie piła alkoholu, nie zachowywała się swobodnie, a przecież dawno minęła jej pierwsza młodość. Była tak cholernie opanowana. A jednak mimo tej surowości

Mad Dog dostrzegał w tej kobiecie coś łagodnego, miękkiego, co go zaskakiwało. Choćby ubiegłego wieczoru, kiedy zobaczył ją stojącą przy zlewie, gdy zamyślona wpatrywała się w odległe wzgórze. Wyglądała jakoś... inaczej. Przez krótką chwilę zastanawiał się wówczas, co kryje się pod brązową suknią starej panny. Sprawiała wrażenie kobiety, która przeżyła poważny dramat.

Patrzył na nią, zastanawiając się, kim jest naprawdę. Czy jest kobietą z tajemniczą przeszłością, czy dokładnie taką, na jaką wygląda: zgorzkniałą starą panną, nieznoszącą, gdy ktoś zakłóca jej uporządkowane życie.

Co najdziwniejsze, z jakichś niezrozumiałych, nielogicznych względów, wydawała mu się pociągająca. Wiedział, że nie wchodzi tu w grę normalne powody - pełna sylwetka, zachęcające spojrzenia - ale coś subtelniejszego, nieskończenie bardziej intrygującego. Ona była dla niego zagadką, wyzwaniem. Nie mógł oprzeć się chęci, by skruszyć skorupę, pod którą się ukrywa, i zobaczyć ją taką, jaka naprawdę jest. Pragnął tego choćby po to, żeby się przekonać, czy zdoła tego dokonać.

Wiedząc, że zirytuje tym pannę Throckmorton, roześmiał się cicho.

Odwróciła się w jego stronę i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Ciekawe, co pana tak rozbawiło, panie Stone?

- Po prostu lubię patrzeć, jak kobieta pracuje, panno Throckmorton.

- Nie wątpię, że przyglądanie się komuś, kto pracuje, to dla pana coś nowego.

Uśmiechnął się pod wąsem. Najwyraźniej chwytła przynętę, pomyślał. Niechętnie, co oczywiste, ale jednak reagowała na jego słowa.

- Chyba ma pani rację - przyznał.

- Jak przypuszczałam - odezwała się po chwili - jabłka

ZAGUBIENI

na tym drzewie są wystarczająco dojrzałe... Naturalnie do przechowywania. Można je zrywać.

- Też tak sądzę - zgodził się.
- Niektóre gatunki są najsmaczniejsze, jeśli przechowa się je odpowiednio przez pewien czas.

- Ta zasada sprawdza się również w odniesieniu do kobiet - powiedział, patrząc na nią znacząco.

Mariah nie mrugnęła nawet okiem; tylko surowo spojrzała na zuchwałego mężczyznę.

- Ciekawe spostrzeżenie, panie Stone. Teraz wolałabym jednak, żeby całą uwagę skoncentrował pan na pracy, którą ma pan wykonać. Rozumie pan to słowo, prawda? Praca. Musi pan pracować cały dzień, jeśli chce pan zjeść kolację. Chyba że, pana zdaniem, nadszedł już czas, żeby nas opuścić.

- Och, panno Throckmorton, nie chciałbym pani rozczarować.

- Proszę mi uwierzyć, panie Stone, to jest niemożliwe.

Podszedł do niej blisko, stanowczo za blisko. Teraz, kiedy stała na drabinie, byli jednakowego wzrostu. Nie odchyliła się do tyłu, chociaż wyczuł, że ma na to ochotę.

- Jest pan gotowy do pracy? - zapytała, starając się unikać jego wzroku.

- Tak, jestem gotowy. - Westchnął, ściągnął koszulę przez głowę i rzucił ją na trawę.

Szeroko otwartymi oczami Mariah patrzyła przez sekundę, może dwie, na jego nagą pierś, potem szybko odwróciła wzrok.

- Pro...proszę włożyć koszulę, panie Stone.

Widział pulsowanie żył na jej szyi. Wyraźnie się bała widział to w jej oczach, rozpoznawał po nagłym ściągnięciu brwi. Nie poruszyła się jednak, nie oparła o drabinę. Patrzyła mu prosto w oczy.

Boi się... mnie, pomyślał. Nieoczekiwanie poczuł się zakłopotany, zawstydzony. Milczeli. Gdzieś w gałęziach drzewa zaćwierkał ptak, wiatr poruszył fałdy jej sukni.

Mad Dog chciał ją przeprosić, ale słowa utknęły mu w gardle. Gdy podniósł koszulę i ją włożył, usłyszał westchnienie ulgi.

- No więc proszę powiedzieć, co mam robić.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, wreszcie odwróciła się w stronę jabłoni.

- Chwyta pan jabłko, o w ten sposób: pomiędzy kciukiem a środkowym palcem. Potem odrywa je pan, lekko nim pokręcając. Dojrzały owoc łatwo odrywa się od gałęzi. Jeśli musiałby pan użyć siły, to trzeba go tam zostawić. Jest niedojrzały.

- Jak z dziewczyną - palnął, nie zastanawiając się. Mariah drgnęła gwałtownie i znieruchomiała.

- Nie miałem na myśli...

Powoli, z kamienną twarzą, odwróciła się w jego stronę i spojrziała wzrokiem, w którym nie było ani śladu emocji.

- Wydaje się panu, jak sędzę, że jest pan bardzo dowcipny. Nie wątpię, że dziwki z Abilene zachwycają się panem, ale *tutaj*, w Lonesome Creek, sprawy przedstawiają się nieco inaczej.

- Doprawdy? Ciekawe jak?

Zignorowała jego pytanie, wzięła do ręki kolejne jabłko, po czym skinęła głową.

- Wyglądają na dojrzałe, panie Stone. Może pan przystąpić do pracy.

Godzinę później Mariah była wreszcie gotowa do rozpoczęcia prania. Wlała do balii ostatnie wiadro gorącej wody i porcję płynnego mydła. Gdy na powierzchni zmęt-

niałej, parującej wody utworzyła się piana, przysunęła bliżej wiklinowy kosz, wypełniony brudnymi ubraniami, potem wrzuciła do niej jego zawartość.

Czekając, aż bielizna namoknie, zerknęła w stronę sadu. Mad Dog był w odległości nie większej niż osiemnaście metrów, do połowy ukryty za konarami ogromnej jabłoni. Nieprzerwanie pracował od ponad dwóch godzin. Po raz pierwszy miała okazję zobaczyć go zajętego. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Przede wszystkim dziwiło ją, że nadal jest tutaj. Ludzie tacy jak on nigdzie nie zatrzymują się na dłużej, dlaczego więc zdecydował się pozostać na farmie już trzeci dzień?

On tymczasem zszedł z drabiny, zobaczył Marian i pomachał do niej ręką. Bez zastanowienia odwzajemniła ten gest i dopiero wtedy uświadomiła sobie, co zrobiła. Szybko opuściła rękę i wsunęła dłoń do kieszeni fartucha. Do licha, co mnie skłoniło, żeby tak łatwo zapomnieć o jego bezczelnym zachowaniu i odpowiedzieć na ten poufały gest, pomyślała.

Wzdrygnęła się na myśl o tym, co zdarzyło się w sadzie. Wszystko początkowo szło całkiem dobrze. Wyjaśniła mu, czego od niego oczekuje, ignorowała jego żartobliwe uwagi, postępowała tak, jak postanowiła.

Dopóki nie zdjął koszuli.

Jeszcze teraz poczuła dreszcz niepokoju na wspomnienie tej sceny. Nie powinnam patrzeć na niego, należało natychmiast się odwrócić. A jednak nie była w stanie się poruszyć. Zamarła jak królik zahipnotyzowany wzrokiem jastrzębia. Czowała pulsowanie krwi w żyłach, przyśpieszony oddech. Zdawała sobie sprawę, że w tamtej chwili pragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć jego gładkiego, opalonego ciała.

Z wysiłkiem odsunęła od siebie ten obraz i chwyciła drewniane mieszadło. Mocno zacisnęła na nim dłonie, by

opanować ich drżenie, i wcisnęła pod wodę unosząc się na powierzchni halkę.

W jakiś niezrozumiały sposób Mad Dog obudził w niej dawne uczucia, które przez wiele lat usiłowała stłumić. Lęk i rozpacz ścisnęły jej serce, gdy ta prawda dotarła do jej świadomości. Tyle wysiłku włożyła w uwolnienie się od wszelkich namiętności, że niemal zapomniała o ich istnieniu. Dopóki nie przypomniał jej o nich Mad Dog Stone swymi rzucanymi od niechcenia uwagami. A może naga piersią?

Dlaczego? - zastanawiała się, ale było to próżne pytanie. Wiedziała dlaczego.

Prawda była boleśnie oczywista. Nawet dla niej. Nie potrafiła zapanować nad swoją zmysłową naturą. Ona drzemała tylko w spokojnej atmosferze położonej na uboczu farmy, czekając na przebudzenie. I właśnie Mad Dog, włóczęga, wagabunda, próżniak dokonał tego.

Westchnęła i zerknęła na kosz, w którym przyniosła garderobę przeznaczoną do prania. Na dnie leżała brudna szara koszula.

Ociągając się, sięgnęła po nią i poczuła pod palcami dotknięcie szorstkiej tkaniny. Zapach męskiego potu mieszał się z wonią pary unoszącej się nad balią. Mariah nie potrafiła się powstrzymać. Zamknęła oczy i trzymając koszulę blisko twarzy, wdychała jej ostry drażniący zapach. Od wielu lat nie zetknęła się z niczym obcym, nieoczekiwanym i nie mogła zaprzeczyć, że w tym momencie poczuła się oszołomiona.

Zdawało jej się, że zapadła w niezwykle sen. Jak gdyby mężczyzna pracujący w sadzie był jej mężczyzną. Na sekundę zapomniała o doznanym w przeszłości zawodzie, upokorzeniu i wyobraziła sobie przyszłość, o jakiej nigdy nawet nie śniła. Przyszłość, w której jest kimś innym niż zdziwaczałą starą panną, ukrywającą się przed światem.

ZAGUBIENI

- Zamierza pani wachać wszystkie moje ubrania?

Mariah znieruchomiała. Rumieniec pokrył jej szyję i policzki, a uczucie upokorzenia paliło ją w piersi. Opanowała się jednak i powoli odwróciła w stronę intruza.

- Ma pan do mnie jakąś sprawę?

- Czy jest to retoryczne pytanie?

Uniosła brwi.

- Takie słowa nie pasują do pana, panie Stone.

- Należę do ludzi, którzy lubią sprawiać niespodzianki -odparł z uśmiechem. Pokazał jej trzymane w ręce jabłko. -Czerwone czy prawie czerwone?

Mariah doświadczonym okiem spojrzała na owoc.

- Czerwone - stwierdziła zdecydowanie.

- Na pewno?

Patrzyła na niego przez chwilę spod opuszczonych powiek. Nagle zrozumiała.

- Panie Stone, pan zdaje się prowadzić ze mną jakąś grę.

- Panno Throckmorton, jestem pewny, że pani natychmiast by się zorientowała, gdybym odważył się na coś takiego - rzekł z uśmiechem.

Nie mogła przejść do porządku dziennego nad tą zupełnie niestosowną odpowiedzią.

- Czyżby chciał mi pan dać do zrozumienia, że w przyszłości zamierza pan podjąć jakąś grę?

- Nie znam pani na tyle dobrze, żeby przewidzieć, co zdarzy się w przyszłości.

Odgarnęła dłonią wilgotne włosy, opadające jej na czoło, i spróbowała się uśmiechnąć.

-Zadziwiająca szczerłość - mruknęła.

- Zawsze jestem szczerzy.

Mariah zacisnęła wargi. Słyszała już kiedyś takie słowa, i to od mężczyzny podobnego do tego, który stał przed nią. Mad Dog tymczasem wzruszył ramionami, jak gdyby

wcale nie zależało mu na tym, żeby mu uwierzyła, i to właśnie sprawiło, że uwierzyła.

- Zawsze mówi pan prawdę? Nawet jeśli sprawia to komuś ból albo traci pan w opinii ludzi?

- Prawda czasem boli. Takie jest życie.

- Wobec tego jest pan niebezpiecznym człowiekiem, panie Stone.

- Tylko wtedy, kiedy ktoś czegoś się po mnie spodziewa. Na szczęście nikt ode mnie niczego nie oczekuje. A czy pani, panno Throckmorton, jest szczerą?

W pierwszym momencie chciała powiedzieć, że tak, ale nagle pomyślała o sobie jako o zaniedbanej starej pannie w brązowym stroju, ukrywającej się za pomalowanym na biało drewnianym płotem.

- Nie - rzuciła i to ciche wyznanie zaskoczyło ją. - Sądzę, że nie.

Uśmiechnął się i odszedł. Po chwili zatrzymał się przy pompie i odwrócił w jej stronę.

- Mariah?

- Słucham?

- Prawdziwy kłamca odpowiedziałby „tak”.

Roześmiała się; nie potrafiła się powstrzymać.

Mad Dog nałożył kapelusz i odszedł bez słowa, a ona patrzyła za nim przez jakiś czas. Dopiero później uświadomiła sobie, że zwrócił się do niej po imieniu.

Rass ukląkł i położył dłoń na gładkim, chłodnym granitowym nagrobku Grety,

Westchnąwszy, oparł się o pień dębu osłaniającego przed słońcem grób żony. Nad jego głową szeleściły poruszane lekkim wietrzykiem kolorowe liście. Co pewien czas któryś z nich, tańcząc w powietrzu, opadał na ziemię. Promienie

ZAGUBIENI

słońca przebijające się przez listowie tworzyły na trawie drgający złoty wzór.

- Witaj, Greto - szepnął.

Nagły podmuch wiatru pieszczotliwie potargał mu włosy. Czuł obecność żony w powiewie wiatru tak samo jak w promieniach słońca, w deszczu, w ciszy. Była tu z nim, siedziała niewidoczna.

Spoczął na ławeczce i patrzył na farmę. Mariah stała przy balii ustawionej przed pralnią. Pusty wiklinowy kosz leżał na ziemi u jej stóp. Po lewej widać było rozpięte sznury do suszenia bielizny. Wkrótce zawisną na nich powiewające na wietrze kolorowe ubrania.

Ciągle to samo, jak w każdą sobotę, od siedemnastu lat... Ach, Greto, co my mamy z nią zrobić? - powiedział w myślach. Nagle złapał go atak kaszlu. Kiedy minął, profesor znów oparł się o pień drzewa. Och Boże, jaki jestem znużony, pomyślał. I ten upiorny ból w lewym boku... Starość to przekleństwo.

Jego uwagę zwrócił jakiś ruch na podwórzu.

To Mad Dog szedł w stronę Mariah. Zatrzymał się przy balii i wyciągnął rękę, w której trzymał jabłko. Po chwili Rass usłyszał nieoczekiwany dźwięk. To był śmiech Mariah!

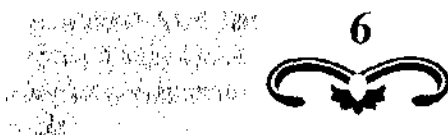
- Słyszałaś, kochanie - powiedział cicho profesor, prostując się. - Ona się roześmiała. Nasza mała dziewczynka się śmieje.

Nagle powróciły wspomnienia z dawnych lat, cenne wspomnienia o dzieciństwie córki, śmiała się niemal nieustannie. Tak bardzo cieszyło ją życie, była taka ruchliwa i radosna. Trzymanie w ryzach upartej dziewczynki kosztowało Gretę wiele wysiłku.

A teraz znów się śmieje, po raz pierwszy od lat. , Rass zamyslił się. Może mimo wszystko postąpiłem słusz-

nie? Może obecność Mad Doga jest właśnie tym, czego ona potrzebuje? Roześmiała się przecież!

Pokręcił głową. Zapewne nie było to trzęsienie ziemi ani nawet zapowiedź większych zmian, ale, na Boga, z pewnością coś się zaczęło.



Mariah wyjęła, białą teraz, koszulę Mad Doga i zawiesiła ją na sznurze pomiędzy dwoma słupkami. Duże kropie wody odrywały się od rękawów i spadały na trawę.

Cofnęła się o krok i patrzyła przez chwilę na powiewające na wietrze pranie. Powoli rozprostowała obolałe plecy. Czuła się straszliwie zmęczona. Sobota była dla niej najgorszym dniem tygodnia. Noszenie wiader z gorącą wodą, napełnianie balii, pranie, płukanie, krochmalenie, wyżymanie. Na tym jeszcze nie koniec. W poniedziałek wiele godzin spędzi nad gorącym żelazkiem. Już sama myśl o prasowaniu sprawiła, że zrobiło jej się gorąco.

Zanurzyła dłonie w chłodnej czystej wodzie i oplukała nią twarz. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła Mad Doga, stojącego naprzeciwko niej. Wyglądał na równie zmęczonego jak ona.

- Boże - powiedział, ocierając czoło rękawem. - Co za dzień. Gorąco jak w piekle.

Mariah zdobyła się na słaby uśmiech.

- Zrywanie jabłek to ciężka praca

- Nie cięższa niż pranie. Drżącymi palcami odgarnęła z twarzy włosy.

Była zbyt zmęczona, by prowadzić rozmowę, więc skinęła tylko głową.

O Boże, jak dobrze zrobiłaby mi kąpiel w strumieniu, gdyby tak popływać trochę, pomyślała.

- Jeśli już nie ma pani dla mnie nic do roboty, to pójdę się na chwilę położyć - rzekł mężczyzna.

- Naprawdę?

Znów otarł spocone czoło.

- Chyba że pozwoli mi pani wziąć prawdziwą kąpiel.

- Tak, chyba że...

Mariah ucieszyła się. Nie potrafiłaby obmyślić lepszego planu.

- Oczywiście, panie Stone. Pysznic i chwila odpoczynku dobrze panu zrobi. - W nagłym przypływie energii ruszyła w stronę domu. Z sieni weszła prosto do łazienki. Przez chwilę była sama. Wyjęła z szafki dwa grube tureckie ręczniki. Gdy sięgnęła po mydło, usłyszała za sobą męskie kroki. Nic nie powiedział, ale czuła na sobie jego wzrok. Znieruchomiała na moment, wiedziała, że musi jakoś wytłumaczyć to, że wyjęła dwa ręczniki.

Mad Dog patrzył na Mariah, grzebiącą w szafce z ręcznikami i pomrukującą cicho.

- Czy coś jest nie w porządku, panno Throckmorton?

Wyprostowała się i odwróciła w jego stronę.

- jak się panu podoba łazienka?

Dopiero teraz rzucił okiem na pomieszczenie, w którym się znalazł.

- No, nie powiem...- Przerwał i zaczął się rozglądać, zaskoczony rozmiarami tego pomieszczenia. Słyszał, oczywiście cie, że są domy z dużymi pokojami kąpielowymi, ale takie bywały tylko na wschodzie. Nigdy ich zresztą nie widział.

Ta łazienka była ogromna, tak duża jak sypialnia. Górną część ścian pokrywała jasnozielona tapeta, dolną mahoniowa

boazeria. Podłoga, wyłożona ceramicznymi płytkami w kolorze burgunda, lśniła jak wyszlifowana powierzchnia ogromnego rubinu. Pośrodku leżał orientalny dywan ze złotymi frędzlami. Światło owalnych lamp rozjaśniało ciemną boazerię i odbijało się od gładkiej podłogi.

A wanna! Mad Dog gwizdnął z uznaniem. Jakie dalekie to było od miejskich hydrantów, z jakich zazwyczaj korzystał. Wanna z prysznicem obudowana była rzeźbionym mahoniem. W ciemnym obramowaniu porcelana lśniła jak otwarta muszla - czysta, gładka, zapraszająca.

- Wiem, że to wewnątrz jest nieco ekstrawaganckie... ale moja matka uwielbiała tę łazienkę,

Łagodny ton głosu Mariah skłonił Mad Doga do zadania pytania. Jednak przez moment milczał, szukając odpowiednich słów.

- Ona jest...

- Zmarła minionej zimy - powiedziała cicho.

- Przykro mi... - mruknął i natychmiast pożałował, że użył takich banalnych słów.

Mariah potrząsnęła głową spojrzawszy na mężczyznę. Chociaż chciała to ukryć, zauważył smutek w jej oczach.

- Brzytwa ojca jest w górnej szufladzie komody - powie działa. - Ja... chciałabym, żeby pan z niej skorzystał, ale oczywiście, nie musi pan.

Przyglądał się jej z niedowierzaniem. Poprosiła go, nie żądała, nie kazała, tylko poprosiła. To coś nowego!

- Dziękuję, skorzystam.

Mariah wręczyła mu ręcznik i kostkę mydła.

- Wobec tego zostawiam pana tutaj - powiedziała i ruszyła ku drzwiom.

- Proszę zaczekać...

Powoli odwróciła się w jego stronę.

- Słucham?

Nie miał nic do powiedzenia. Zatrzymał ją, nie zastanawiając się, po co to robi. Spojrzał na ręcznik, który przyciskała do piersi, i znalazł sposób na wybrnięcie z sytuacji.

- Może najpierw pani chce wziąć prysznic?

- Nie. - Roześmiała się. - Nie, dziękuję. Zaczekam. - Czuła na sobie jego przenikliwy wzrok, ogarnęło ją zakłopotanie. - Pójdę już.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wyszła z łazienki, zamykając za sobą drzwi. W pustej sieni zatrzymała się na moment, oparła o ścianę, zamknęła oczy i się uśmiechnęła.

Kiedy z ręcznikiem w dłoni wybiegła z domu, z przyjemnością zauważyła, że słońce mocno jeszcze przygrzewa. Przy stodole zatrzymała się i obejrzała. Ani Mad Doga, ani ojca nigdzie nie dostrzegła.

Wciąż się uśmiechając, ruszyła przez pastwisko w stronę strumienia obrośniętego zieloną trawą.

Jak daleko sięgała pamięcią, to miejsce było jej azylem. Jako dziecko, pełna radości i energii, przybiegała tutaj bawić się, pluskać w wodzie, śmiać się, krzyczeć - czuć się wolną. Teraz, dla dorosłej już kobiety, miejsce to stało się ucieczką od monotonii codziennego życia, od siebie, samotnej beznamietnej kobiety, jaką starała się być.

Przez dłuższą chwilę stała na brzegu, rozkoszując się ledwie wyczuwalnymi muśnięciami wiatru i ciepłem promieni słonecznych. Odbierała je niemal jak dotknięcia. Wstrząsnął nią dreszcz. Ileż to dni minęło od chwili, gdy ktoś jej dotykał. Lata...

Zamknęła oczy, próbując nie zastanawiać się na tym, usiłując stłumić smutek, który zawsze towarzyszył takim myślom.

Przekroczyła strumień tam, gdzie był płytki, a potem ruszyła w stronę swego ulubionego miejsca, głębokiego rozlewiska przy przeciwległym brzegu. Gdy powoli wyciąg-

nęła spinki z koka, włosy swobodnie opadły jej na plecy i ramiona. Potem zdjęła brązową suknię i rzuciła ją na trawę. Wiatr przyciskał cienką białą halkę do jej ciała. Rozsznurowała płócienne buty, zdjęła pończochy i odrzuciła je na bok.

Powoli, z rękami przyciśniętymi do boków, weszła do wody. Mokra halka przylegała do pokrytego gęsią skórka ciała. Odchyliła głowę do tyłu. Krople wody spływały po jej czole, policzkach i gromadziły się na wargach Mariah. Czowała ich świeżość i przez krótką chwilę wyobrażała sobie, że są to usta kochanka.

Obok niej, na powierzchni wody, unosiła się lina zamocowana tu dla bezpieczeństwa. Uchwyciła się jej, palcami wyczuwając szorstkie sploty. Potem oderwała nogi od dna i leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Wyczuwała ruch wody, muśnięcia wiatru na wilgotnej twarzy. Powietrze wydawało jej się czyste, chłodniejsze. Odetchnęła głęboko.

Mad Dog ostrożnie, pod osłoną jabłoni, skradał się za Mariah. Wiedział, że nie powinien jej śledzić - nie miał prawa, ale nie potrafił się powstrzymać. Tak dziwnie zachowywała się w łazience... Wyczuwał, że coś ukrywa, i musiał się dowiedzieć, co kobieta taka jak Mariah Throckmorton ma do ukrycia.

Szum strumienia stawał się coraz głośniejszy. Przy ostatniej samotnie rosnącej jabłoni Mad Dog zatrzymał się.

Mariah stała na brzegu w miejscu, gdzie w zakolu strumienia woda była głęboka, spokojna. Za nią rósł stary dąb; łagodny wiatr poruszał jego liście.

Zamknęła oczy i uniosła ręce. Jedną po drugiej *wyjmowała* spinki z koka. Po chwili gęste ciemne włosy opadły jej na ramiona. W blasku słońca nabrały barwy mahoniu. Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się, potem sięgnęła rękami do tyłu.

Mad Dog znieruchomiał; zaschło mu w gardle, serce biło jak oszalałe. Cofnął się o krok. Nie powinien znaleźć się tutaj, nie wolno mu było zakłócać jej prywatności. Luźna brązowa suknia zsunęła się z ciała kobiety. Nogą odsunęła ją na bok.

Zamarł, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu. Wstrzymał oddech. Ręce zaczęły mu drżeć, więc wsunął dłonie w kieszenie spodni.

Mariah tymczasem otworzyła oczy.

Schował się za pniem drzewa, bo wydawało mu się, że go zauważyła. W milczeniu czekał, aż kobieta podejdzie i wymierzy mu policzek. Po dłuższym wahaniu wychylił się zza drzewa. W pierwszej chwili nie zauważył jej. Wysunął się nieco dalej i wtedy znów ją zobaczył. Stała w wodzie. Miała na sobie tylko kremową luźną halkę i długie majtki w tym samym kolorze. Cienka tkanina przylegała do nagiego ciała.

Mad Dog zareagował na ten widok silnym podnieceniem. Nie mógł uwierzyć w zmianę, jaka zaszła w tej kobiecie. Odprężona, bez wyrazu napięcia na twarzy, była niemal piękna. Surowe rysy zdawały się klasycznie wyczelowane.

Zanurzyła się tak, że widział tylko jej białą szyję, twarz i włosy unoszone na wodzie. Odchyliła głowę do tyłu, by je zwilżyć, i znów się wyprostowała. Krople wody spływały jej po policzkach. Włosy miały teraz kolor mocnej kawy, co podkreślało biel twarzy i niewiarygodną różowość warg. A oczy... Na Boga, oczy Mariah lśniły jak wy szlifowane diamenty.

Sięgnęła ręką za siebie, uchwyciła się czegoś i po chwili jej ciało pływało na powierzchni wody. Leżała nieruchomo jak księżniczka z bajki, poruszana tylko spokojnym falowaniem nurtu. Jej drobne piersi unosiły się w rytmie oddechu, twarde sutki rysowały się wyraźnie pod mokrą tkaniną.

Mad Dog nie mógł oderwać od niej wzroku. W postaci unoszącej się na powierzchni wody nie było ani śladu sztywnej,

surowej starej panny. Jej miejsce zajęła kobieta zmysłowa i pociągająca, budząca pożądanie.

Przez moment wyobraził sobie, że idzie ku niej. Gdy zamknął oczy, zdawało mu się, że czuje dotknięcie jej delikatnej skóry, a pod palcami twardość sutek.

Nagle zapragnął poznać Mariah taką, jaka jest naprawdę, zobaczyć, co kryje się pod maską, w której ukazywała się Rassowi i innym ludziom. Chciał widzieć w niej nie starą pannę, ale tę właśnie kobietę, która półnaga unosi się na powierzchni wody, kobietę, która zapewne ma za sobą trudną przeszłość i być może ukrywa jakąś tajemnicę.

Uśmiechnął się. Kto by pomyślał, że ta śliczna spokojna farma kryje w sobie takie sekrety? Było to nadzwyczaj intrygujące. Im dłużej tu przebywał, tym bardziej *chciał* poznać prawdę.

Odepchnął się od drzewa i ruszył w stronę domu. Zanim dotarł do ganku, miał już ściśle określony cel. Zamierzał zajrzeć pod maskę Mariah Throckmorton i poznać jej prawdziwą twarz.

Uśmiechnął się do siebie

Jake zobaczył Mad Doga skradającego się przez sad za ubraną na brązowo kobietą. Odczekał dłuższą chwilę, może zbyt długą, dopóki Mad Dog nie skrył się za drzewami nad strumieniem.

To był dobry moment. Rozglądając się, Jake przebiegł przez podwórze i wszedł na schody ganku. Przy drzwiach rozejrzał się jeszcze raz i je otworzył. Zawiasy zaskrzypiały głośno. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał przez chwilę. Nikt się nie odezwał, nikt nie nadchodził.

Ostrożnie wślizgnął się do wnętrza domu. Kierując się nęcącym zapachem potraw, od których ślina napływała mu

do ust, odnalazł kuchnię, w której wypatrzył chłodzoną lodem szafkę, gdzie przechowywano żywność. W środku znalazł kawałek szynki i ugotowane kartofle. Pośpiesznie wyjął je i wsunął za koszulę

Wstawał właśnie, gdy usłyszał, że otwierają się frontowe drzwi. Zamarł, a potem błyskawicznie ukrył się za stołem.

- Jesteś tu, Rass? - usłyszał głos Mad Doga.

Nikt nie odpowiedział. Frontowe drzwi znów zaskrzypiały, potem Jake usłyszał kroki na korytarzu, wreszcie odgłos towarzyszący otwieraniu i zamykaniu następnych drzwi.

Nadal siedział bez ruchu, natężając słuch. Zamknął oczy i oparł głowę o nogę stołu. Był już tym wszystkim znudzony. Miał dość uciekania, podkradania żywności, ukrywania się.

Gorąco pragnął zamieszkać w domu takim jak ten, spać w prawdziwym łóżku, czuć się bezpiecznie.

Pomyślał, że powinien zrobić to teraz, zanim Mad Dog znów ruszy w drogę. Po raz któryś wyobraził sobie, jak to będzie: podejdzie do niego i zapyta...

O co? Nie wiedział nawet, czego od niego chce, więc jak mógł zacząć tę rozmowę?

Spróbuję jutro, powiedział sobie w myślach, ale jak zwykle brakowało w tych słowach zdecydowania. Sam w nie nie wierzył. Jutro nie będzie inne od dnia dzisiejszego, będzie takie samo jak wczoraj.

Rozmyślania przerwał mu plusk lejącej się gdzieś za ścianą wody. Jake wyszedł zza stołu, rozejrzał się i podbiegł do drzwi wyjściowych. Otworzywszy je ostrożnie, wyjrzał na podwórze.

Nie było nikogo. Przycisnął do piersi wykradzione jedzenie i wybiegł z domu. Tak był zgnębiony swoją bezsilnością, brakiem odwagi, by zrobić wreszcie to, co powinien, że nie zauważył starego człowieka, który patrzył na niego, gdy biegł z powrotem do stodoły.

Mariah stała przy piecu i gotowała kolację. Słodki, a przy tym cierpki zapach kapusty wypełniał kuchnię. W czarnym dużym rondlu wrzała woda, a na jej mętną powierzchnię wypłynęły już kluseczki. Na patelni obok skwierczało rozpuszczone masło. Na półce nad piecem stała gliniana miska z pokrojonym w kostkę chlebem. Wszystko było w najlepszym porządku.

Uśmiechnęła się. Fakt, że gotowanie kolacji przebiegało zgodnie z planem, potęgował jej dobry nastrój.

Cieszyła się, że obecność pana Stonesa nie przeszkodziła jej w zwyczajowej kąpeli w strumieniu. Było to dla niej ważne, niemal

niezbędne. Bez tej chwili wytchnienia, kończącej każdy tydzień, czegoś by jej brakowało.

Napięcie, które rodziło się w niej z niedzielnym porannym odwiedzaniem grobów, narastało z każdym dniem tygodnia i w sobotę osiągało szczyt. Dopiero kąpiel w strumieniu usuwała je całkowicie. Teraz czuła się wystarczająco silna, by zmierzyć się z otaczającym światem, a nawet z tym źle wychowanym włóczęgą. Była pewna, że potrafi się opanować, nie będzie nerwowo reagować na jego słowne zaczepki.

- Śmiało - mruknęła do siebie. - Spróbuj tylko. Jestem gotowa.
- Ja też jestem gotowy - dobiegł ją od strony drzwi głos Mad Doga, Mariah skrzywiła się. Niech go licho, pomyślała. Ciągle się za mną skrada. Wyprostowała się i odwróciła w jego stronę.

Stał w wejściu, niedbale oparty o framugę drzwi, ze skrzyżowanymi ramionami, kapeluszem nasuniętym na czoło. Przypominał jej lwa czającego się na zdobycz,

Gdy wychylił się z cienia, przez moment nie mogła oderwać od niego oczu, wstrzymała oddech. Ogolił się i przebrał. Zniknęły niechlujne wąsy i ciemny zarost pokrywający policzki. Twarz o ostrych rysach, mocno zarysowanym podbródku, znamionowała siłę. I te piekielnie zmysłowe usta, wygięte teraz w uśmiechu. Miał na sobie wyblakłe džinsy i białą czystą koszulę, rozchyloną pod szyją. Jasne kręcone włosy, gęste i, jak się zdawało miękkie, opadały mu na kołnierzyk.

Na Boga, jaki to przystojny mężczyzna, pomyślała i natychmiast zirytowało ją to, że pozwoliła sobie na takie spostrzeżenie.

- Nie wypada podkradać się bezszelestnie - powiedziała, siłąc się na surowy ton.
- Czyżby oczekiwała pani ode mnie dobrych manier?
- Nie - odburknęła.

Mad Dog zsunął kapelusz na tył głowy i powoli podszedł do kobiety, stukając obcasami o drewnianą podłogę. Wpatrywał się w nią, jak gdyby czegoś oczekiwał.

Ona tymczasem wygładziła nieistniejące fałdy fartucha i odwróciła się do niego plecami.

- Może pan usiąść, panie Stone. Za chwilę kolacja będzie gotowa.
- Wyglądają jak larwy - powiedział, zerkając jej przez ramię do garnka z gotującymi się kluseczkami.

- Piękne porównanie, panie Stone. Tego mogłam się po panu spodziewać.

Roześmiał się.

Głośny, dźwięczny śmiech zirytował ją. Chciała mu przecież dokuczyć. Uniosła bezwiednie głowę i napotkała przenikliwy wzrok mężczyzny. Mad Dog stał tak blisko, że czuła jego męski zapach i woń świeżo wypranego ubrania.

Uwolniła się od jego wzroku, ale przypadkowo spojrzała niżej, tam gdzie rozchylona koszula odsłaniała pierś porośniętą kręconymi włosami. Poruszona tym widokiem, zmusiła się, by ponownie spojrzeć mu w oczy.

- Czy miał pan jakiś powód, żeby tu przyjść? - zapytała.

- Tak.

Wiedziała, że nie powinna o nic pytać, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Jaki?

Przysunął się nieco bliżej. Mariah poczuła, że serce bije jej szybciej, nie wiedziała tylko, czy ze strachu, czy z powodu jakichś innych nieznanych znacznie bardziej niebezpiecznych uczuć.

- Chciałbym panią lepiej poznać.

- Co takiego?

- Ciekawi mnie pani. To wszystko. - Roześmiał się.

- Nie życzę sobie, żeby pan zbyt interesował się moją osobą, panie Stone. - Mariah starała się unikać jego wzroku.

- Wiem o tym i to właśnie pobudza moją ciekawość.

- Koniecznie chce pan mnie zirytować, tak? - zniecierpliwiła się.

- Ależ nie. To przychodzi tak samo z siebie. Taki już jestem, mam do tego wyjątkowy talent.

- Pańska matka musi być szczególnie dumna z tak utalentowanego syna - rzekła... i w tym momencie przypomniała

sobie, że jego matka zmarła. - Och, Boże, panie Stone, tak mi przykro... - Spojrzała na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

Tym razem nie uśmiechnął się. W jego oczach dostrzegła coś, co ją zaskoczyło, jakiś cień wyrażający dojmujące uczucie osamotnienia, coś, co wydawało jej się szczególnie bliskie.

- Wybaczam pani - powiedział.

- Przyszło to panu łatwo - odparła, starając się nie myśleć o tym, co obaczyła w jego oczach.

- Należę do ludzi niefrasobliwych. Proszę pamiętać o tym, kiedy powiem coś, co panią dotknie.

- Zamierza mnie pan obrażać?

- Nie, ale może się tak zdarzyć. Do tego też mam talent.

- To już drugi, którym pan się szczyści. - Mieszkała przez chwilę gotujące się kluski, po czym dodała: - Z takimi talentami zapewne łatwo znajduje pan pracę.

- Rzadko uganiam się za jakimś zajęciem.

- Mam pecha, że akurat znalazł je pan u nas.

Gdy nachylił się ku niej, Mariah przez moment myślała, że chce jej dotknąć. Próbowała się cofnąć, ale nie mogła.

Mad Dog jednak nie wyciągnął ręki, nie dotknął jej. Patrzył tylko na nią, ale intensywność jego wzroku była bardziej fizyczna niż dotknięcie.

- Pani nie jest taką osobą, na jaką pani wygląda, panno Throckmorton.

Mariah nie potrafiła na poczekaniu znaleźć jakiejś ciętej riposty, na szczęście zaskrzypiały kuchenne drzwi.

- Jak się macie? - rozległ się donośny głos Rassa.

Mad Dog cofnął się, a Mariah odwróciła się do niego plecami.

- Dobry wieczór. - Jej głos zabrzmiał niepewnie. Nawet oddychanie przychodziło jej z trudem.

Starszy pan pociągnął nosem i poklepał się po brzuchu.

- Czuję zapach pieczeni z duszoną kapustą i kluseczkami. Moja ulubiona potrawa. Dostanę podwójną porcję?

- Z pewnością, ojcze.

Nachyliła się, otworzyła drzwiczki piekarnika, wyjęła z niego duży rondel i postawiła na blasze. Patrzyła na parującą pieczeń, niemal jej nie widząc. Wzburzenie wywołane słowami Mad Doga nie ustępowało. Nie chciała, by analizował jej zachowanie, sprawdzał, do jakich granic może się posunąć, zadawał pytania, których nie słyszała od lat i na które nie potrafiłaby mu odpowiedzieć. Nie chciała, by poznał jej prawdziwą naturę.

Do licha, moja przeszłość to moja sprawa, pomyślała. Wiedziała jednak, że to nie jest takie proste. Mad Dog kruszył tarczę, za którą się ukrywała, przełamując jej obronę. Owszem, budził w niej gniew, ale równocześnie sprawiał, że się uśmiechała, a nawet śmiała.

Dzięki niemu znów poczuła się kobietą.

Do mężczyzn nie żywiła żadnych uczuć, od czasu kiedy tak beztrosko oddała swoje serce, nie żądając nic w zamian. Wiedziała, że zniszczyły ją własne uczucia.

Zainteresowanie się mężczyzną takim jak Mad Dog byłoby szaleństwem; co do tego nie miała wątpliwości. Przetarte podeszwy jego butów mówiły o nim wszystko, co chciała wiedzieć.

Zdawała sobie sprawę, że jest mężczyzną takim jak Stephen i dlatego wywołuje w niej podobne uczucia. Wtedy jednakże była młodą dziewczyną, niemal dzieckiem. Teraz nie jest szesnastolatką, nie da się zwieść gładkim słowom i nie marzy, tak jak wtedy, o życiu przypominającym baśń.

Teraz była starsza, mądrzejsza i widziała świat taki, jaki był - chłodne, niegościnne miejsce, pełne niebezpieczeństw kryjących się w każdym zakamarku.

Mad Dog przysunął krzesło do stołu.

Na wprost niego siedziała Mariah, sztywna jak słup, z dłońmi na kolanach, wzrokiem utkwionym w talerzu.

Postanowiła go ignorować, udawać, że nic jej nie obchodzi jego zamiary wdarcia się w jej przeszłość. Nie potrafiła jednak pozbyć się uczucia, że on zna ją już na tyle dobrze, by dostrzec jej niepokój, drżenie palców czy najlżejsze ściągnięcie brwi.

Tymczasem Mad Dog coraz bardziej nabierał przekonania, że w życiu Mariah kryje się jakaś tajemnica. Im więcej o tym myślał, tym bardziej go to fascynowało i tym bardziej chciał poznać prawdę.

Zdawał sobie jednak sprawę, że nie dowie się niczego, jeśli ta kobieta nie będzie na niego patrzeć. Ona zaś wpatrywała się w swój talerz, jak gdyby leżały na nim klejnoty brytyjskiej korony. Ignorowała go, a tego nie mógł znieść. Odchrząknął i dziobnął widelcem stojące przed nim danie.

- Te larwy wyglądają nawet smakowicie - powiedział.
- To są kluseczki, panie Stone - oburzyła się Mariah. Rass uniósł głowę. Jego niebieskie oczy miały senny, jakby nieobecny wyraz.
- Czy ktoś tu mówił o larwach? - zapytał.
- Ależ nie, ojcie. Tylko panu Stone'owi przypomniało się coś z czasów jego wędrówek po drogach. - Mariah uśmiechnęła się, może nieco zbyt słodko, do Mad Doga, a potem spojrzała na talerz ojca.
- Prawie nic nie zjadłeś. Źle się czujesz?
- Nie, nie. - Starszy pan nabrał na widelec kluskę i włożył ją do ust. - Hm... świetne.

Mad Dog przyglądał się Mariah, zdumiony zmianą, jaką uśmiech wywołuje na jej twarzy.

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy? - zapytała.

- Pomyślałem, że uśmiech dodaje pani urody - odparł bez namysłu.

Mariah zeszywniała, zacisnęła usta i opuściła głowę.

- To był komplement - dodał Mad Dog.

Nie spojrziała nawet na niego i zaczęła jeść.

Mad Dog nie miał zamiaru pozwolić, by go nie dostrzegano.

- Panno Throckmorton, jak długo mieszka pani na tej farmie? - zapytał.

- Prawie przez całe życie. - Wciąż na niego nie patrzyła.

- Mariah nigdy nie opuszcza farmy - zauważył pozornie bez związku Rass.

- Jestem pewna, że pana Stone'a nie interesują nasze prywatne sprawy, ojciec - powiedziała surowym tonem Mariah.

- Przeciwnie, panno Throckmorton, bardzo mnie interesują. - Mad Dog uśmiechnął się uprzejmie.

Natychmiast uświadomił sobie, że posunął się zbyt daleko, bo kobieta spojrziała na niego, jak gdyby zobaczyła pająka na świeżo zmienionej pościeli.

- Nie rozumiem dlaczego, panie Stone?

Jej ojciec zniecierpliwionym gestem odłożył widelec i westchnął.

- Wszystkie te „panno”, „panie” irytują mnie. Macie swoje imiona, więc posługujcie się nimi.

Mariah spojrziała na Mad Doga, a *on* uśmiechnął się do niej wyzywająco. Nie odpowiedziała uśmiechem.

- Nie mogę zwracać się do... człowieka per Mad Dog. Jak brzmi pana prawdziwe imię.

Pytanie go zaskoczyło. Od dawna nikt go nie pytał, jak ma na imię, od lat nikomu nie przedstawiał się prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Przywykł do podróżowania jako człowiek anonimowy, nieznany. Nadal zresztą chciał pozostać jednym z rzeszy bezimiennych wędrowców.

Opadł na oparcie krzesła i uśmiechnął się do Mariah uwodzicielsko.

- Nie przejmuj się, Mariah. Możesz nazywać mnie Mad Dogiem, jeśli tylko zechcesz.

- Na pewno mogę, ale nie chcę. - Pochyliła się do przodu i oparła ręce na stole. - A więc, panie Stone, jak pan ma na imię?

Po raz pierwszy od lat poczuł zakłopotanie w obecności kobiety.

- To nie ma znaczenia - odparł po chwili,

Mariah wyprostowała się, nie spuszczać z niego wzroku.

- Wygląda na to, panie Stone, że i pan ma własne tajemnice.

Mad Dog skupił całą uwagę na posiłku. W tym momencie Mariah wydała mu się kimś bliskim. Nagle poczuł, że nie ma już ochoty być tak zadziorny jak przed chwilą.

Boże, jaka jestem zmęczona. To był chyba najdłuższy dzień w moim życiu, pomyślała Mariah. Nawet kąpiel w zimnym strumieniu nie pomogła jej. Czula się znużona, pusta.

Stała przy oknie w swojej sypialni i patrzyła na uprzątnięte ciche podwórze. W zapadającym zmierzchu gęstniały cienie rzucane przez drzewa w sadzie, chociaż na spadzistym dachu stodoły widać było jeszcze resztki pomarańczowego światła.

„Uśmiech dodaje pani *urody*. Skrzywiła się na wspomnienie tych słów.

Powstrzymała się wówczas od jakiegokolwiek reakcji, nie chciała ujawnić, jakie wrażenie wywarły na niej te słowa. To zdanie, tak bardzo podobne do kłamstw Stephena, jak ostry nóż przecięło skorupę, w której się kryła, pozostawiając ją zranioną, bezbronną. - Pociągają cię włóczędzy - powiedziała głośno do siebie.

Wiedziała, że nie jest to całkiem prawdziwe. W końcu Mad

ZAGUBIENI

Dog jej nie pociągał. Jestem, po prostu, świadoma jego obecności, czuję się związana z nim w jakiś dziwny sposób, a to przecież całkiem coś innego, próbowała się przekonywać.

Zresztą jak można zignorować tornado na własnym podwórzu?

Odwróciła się od okna, podeszła do łóżka i usiadła na jego krawędzi.

Muszę przestać o nim myśleć, postanowiła. Przecież nawet gdyby poznał całą ponurą tajemnicę mojej przeszłości, nie miałyby to żadnego znaczenia. Prawdopodobnie nie przejąłby się tym, niewykluczone, że skwitowałby to śmiechem.



Rass stał przy kuchennym piecu i nasłuchiwał. Na górze zatrzeszczała cicho podłoga, co oznaczało, że Marian jest w swoim pokoju.

Podszedł do chłodzonej lodem szafki i wyjął rondel z pozostałą po kolacji pieczenia. Ukroił plaster mięsa, położył go na cynowym talerzu obok kilku kartofli i gotowanej marchwi. Potem wziął butelkę soku jabłkowego i wyszedł z kuchni.

Sprawdził, czy nie ma nikogo na schodach, i poruszając się najciszej, jak mógł, podszedł do frontowych drzwi. Chłodne wieczorne powietrze niesło zapach dojrzałych jabłek. Farma tonęła w mroku, jabłonie wyglądały jak czarne szkielety na tle nocnego nieba.

Rass cicho zamknął za sobą drzwi. Z opuszczoną głową, ostrożnie, trzymając w dłoniach talerz z jedzeniem, ruszył w stronę stodoły. Z niepokojem spojrział na zamknięte wrota. Ktoś ukrywał się w jego starej stodole i oczekiwanie na wyjaśnienie tej zagadki sprawiło, że serce starszego pana zaczęło bić mocniej, poczuł się młody. Widział chłopca przebiegającego przez podwórze i fakt, że ktoś poszukał sobie

schronienia na jego farmie, był zbyt ekscytujący, by go zignorować.

Popchnął nogą ciężkie wrota, tak że z łoskotem uderzyły o ścianę, wprawiając w drżenie cały budynek. Zauważył jakiś ruch w otworze prowadzącym na stryszek.

Rass wszedł do środka i spojrział w górę. Białe światło księżyca sączyło się przez okienko w szczytowej ścianie dachu, nadając wnętrzu stodoły niebieskawą barwę.

Podszedł do drabiny, postawił nogę na najniższym szczeblu i wpatrując się w jaśniejący kwadrat w suficie, zawołał:

- Halo! Jesteś tam?!

Odpowiedziała mu cisza.

- Przyniosłem ci coś do zjedzenia!

Nad głową Rassa zatrzeszczały deski, a przez szpary posypał się na niego kurz i okruchy siana.

- Widziałem cię na podwórzu! - Przerwał i przez chwilę szukał odpowiednich słów. - Nie zrobię ci krzywdy. Pomyślałem, że możesz być głodny.

Znow zapadła cisza, która zdawała się trwać bez końca. Starszy pan zamierzał jeszcze raz zawołać, gdy coś... ktoś poruszył się obok otworu w suficie. Zatrzeszczały deski.

Rass wstrzymał oddech.

Idzie tu, Greto, idzie - powiedział do siebie w myślach.

Na krawędzi otworu ukazała się drobna chłopięca twarz, otoczona rudymi włosami, przez które przeświecały promienie księżycowego światła.

- O co chodzi? - zapytał chłopiec.

- Przyniosłem ci jedzenie. Pieczeń, ziemniaki, gotowaną marchew.

- Jaka pieczeń?

- A czy to ma znaczenie?

- Nie.- Chłopiec potrząsnął głową- Zjadłbym nawet pieczone pająki.

Starszy pan skinął głową i zaczął się wspinać.

- Proszę zaczekać. - Chłopiec przełożył nogę przez otwór i stanął na drabinie. - Jest pan... stary.

Zaskoczony Rass patrzył na niego.

- No... tak.

- Może lepiej ja zejść na dół.

Profesor się uśmiechnął i odsunął od drabiny. To, co usłyszał, wystarczyło mu, by wyrobić sobie zdanie o obcym chłopcu ukrywającym się w stodole. Ten mały miał dobre serce.

- Masz rację, synu - mruknął.

Chłopiec zręcznie zszedł na dół.

Rass tymczasem podszedł do ławy i zapalił stojącą na niej latarnię. Płomyk migocący w szklanej osłonie rozjaśnił nieco mroczne wnętrze stodoły. Chłopiec stał koło drabiny i uważnie patrzył na starego mężczyznę.

- Nazywam się Rass Throckmorton - powiedział profesor, podchodząc do niego.

Chłopiec nieśmiało wziął talerz z ręki Rassa. - Ja mam na imię Jake.

- W porządku, Jake. Siadaj i jedz,

Chłopiec łakomie patrzył na leżące na talerzu potrawy. Widać było, że jest bardzo głodny, ale nie rzucił się na jedzenie. - Czego pan chce ode mnie?

Rassowi to pytanie sprawiło przykrość. Odstawił latarnię i powoli usiadł na ławie.

- Nic nie chcę - powiedział. - Po prostu pomyślałem, że jesteś głodny.

Jake milczał przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Wreszcie nieśmiało usiadł obok starszego pana, postawił sobie talerz na kolanach i wpatrywał się weń. Rassowi wydawało się, że widzi łzy w jego oczach. Wreszcie chłopiec zaczął jeść.

Profesor spojrział na niego ze współczuciem. Ten mały na pewno wiedział, co to znaczy być samotnym, zależnym i głodnym.

- Ile masz lat? - zapytał, kiedy chłopiec skończył posiłek.

Jake wypił parę łyków soku i otarł usta rękawem. Czując na sobie wzrok Rassa, powiedział:

- Przepraszam. Wiem, że tak nie wypada. Mam piętnaście lat. W marcu zacznę szesnasty.

Profesor zdziwił się, że chłopiec wie cokolwiek o dobrych manierach.

- Skąd pochodzisz?

Jake spojrział na *niego podejrzliwie*. Wyraz *nieufności w zielonych oczach* klócił się ze szczerym, otwartym wyrazem twarzy.

- Ostatnio byłem w Abilene - powiedział.

Nie była to wyczerpująca odpowiedź, ale starszy pan nie pytał o nic więcej. Sięgnął do kieszeni, wyjął niewielki skórzany woreczek i go otworzył. W świetle lampy widać było znajdujące się w nim skarby: kamienny grot strzały, kawałek skóry grzechotnika, małe szare gniazdo os.

Jake wziął do ręki gniazdo i przyglądał mu się z zainteresowaniem.

Błysk zaciekawienia w oczach chłopca przypomniał Rassowi dawne lata, kiedy uczył historii i geologii w publicznej szkole numer 27 w Nowym Jorku. Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Tyle czasu minęło od tych dni, kiedy młodym, żądnym wiedzy uczniom przekazywał zgromadzone przez siebie, pozornie bezużyteczne wiadomości.

- Znalazłem te przedmioty w ruinach porzuconej farmy, *niedaleko stąd, przy drodze do miasta* - powiedział. - Może jutro chciałbyś się tam ze mną...

- Nie. - Jake potrząsnął głową. - Ja chyba ruszę dalej.

- Potrzebny mi pomocnik - przerwał mu profesor. - Ktoś, kto by spisywał znalezione rzeczy i je nosił.

Jake przyglądał się teraz kamiennemu grotowi.

- Kiedy byłem dzieckiem, lubiłem zbierać różne kamienie.

„Kiedy byłem dzieckiem”. Rass poczuł ucisk w sercu.

Jakie to smutne słyszeć takie zdanie od piętnastoletniego chłopca.

- Ja mam siedemdziesiąt cztery lata i nadal to lubię.

- Mama dała mi kiedyś książkę o kamieniach. Opowiadała mi o różnych skałach.

- Z pewnością bardzo cię kocha.

- Tak... - Chłopiec przerwał i opuścił głowę. - Kochała..

„Kochała”. Rass zrozumiał teraz smutek chłopca. Chciał powiedzieć, że jest mu przykro, ale wiedział, jak niepotrzebne są takie słowa.

- Mógłbyś zostać tu na jakiś czas - rzekł. - Będziesz mógł odejść, kiedy tylko zechcesz.

Jake spojrzał na niego ze zdumieniem. W migotliwym blasku lampy jego twarz wydawała się blada, niemal krucha. W oczach widać było niepewność.

- Ja... Ja chciałbym, ale... - Opuścił wzrok.

- Ale co?

- Widziałem tę panią o... surowym wyglądzie i mężczyznę, który tu mieszka.

- To moja córka, Marian - powiedział cicho profesor. - A ten pan to nasz nowy pracownik, Mad Dog Stone. Nie powinieneś się nimi przejmować.

Jake potrząsnął głową; w jego oczach pojawił się lęk.

- Nie chciałbym... wołałbym, żeby nikt nie wiedział, że tu przebywam. Nie jestem jeszcze na to gotowy.

Rass sądził, że zrozumiał chłopca. Ten nieszczęśnik na pewno od dawna nie czuł się bezpiecznie. Widocznie sądził, że stodoła zapewniała mu bezpieczeństwo.

- No dobrze. To żaden kłopot. Twoja obecność może zostać na razie naszą tajemnicą.

ZAGUBIENI

- Naprawdę? - zapytał chłopiec z niedowierzaniem, ale i nadzieją w głosie.

- Naprawdę.

Profesor powoli podniósł się z ławy. - Pójdę się już położyć.

Dorastający chłopcy i starzy mężczyźni potrzebują dużo snu.

Około siódmej przyniosę ci śniadanie.

- Dziękuję panu.

- Nie ma za co - odpowiedział Rass i wyszedł ze stodoły, zamykając za sobą wrota.

Wolnym krokiem poszedł w stronę domu. Potem, leżąc już w ogromnym podwójnym łożu i patrząc w pociemniały sufit, powiedział szeptem:

- To ty go tutaj przysłałaś, prawda?

Przez chwilę zdawało mu się, że Greta odpowie. Oczekiwał z wyostrozonymi zmysłami na zapach lawendy i powiew wiatru.

Tej nocy nie było jednak odpowiedzi, poza tą jedną, którą nosił w sercu. Uśmiechnął się. Po raz pierwszy od miesięcy z nadzieją oczekiwał poranka.

Mad Dog, zaścielając łóżko, uświadomił sobie, że nie robił tego od lat. Rozłożył wykrochmalone lniane prześcieradło na miękkim materacu i starannie je wygładził. Dotknięcie czystego płótna sprawiło mu wielką przyjemność.

Szybko zrzucił z siebie ubranie i położył się, podciągając okrycie wysoko pod brodę. Chłodna pościel i gruby, miękki koc stwarzały uczucie komfortu, jakiego dawno nie zaznał.

Czuł się znakomicie.

Westchnął i leżąc z otwartymi oczami, wpatrywał się w sufit, chociaż w otaczającej go ciemności nie widział nawet belek biegnących nad głową. Ciemność była nieprzenikniona.

Bez żadnego szczególnego powodu znów wrócił myślami

do Mariah Throckmorton. Wyobrażał sobie, że zapewne leży już w tóżku przykryta kocem aż po samą brodę, z włosami rozrzuconymi na białej poduszce.

Nie, włosy ma zaplecione, skorygował przywołany w wyobraźni obraz. Przecież ona zawsze te swoje piękne miękkie włosy dokładnie zaplata i upina nad karkiem.

Zamknął oczy i się przeciągnął. Dotknięcie chłodnej pościeli wywoływało w nim niemal erotyczne wrażenia. Czuł żar narastający gdzieś we wnętrzu, promieniujący ku lędzwiom. Wiercił się niespokojnie, próbując zasnąć.

Niestety bezskutecznie. Znowy myślał o Mariah.

Następnego ranka Mariah pokroiła pozostałe po kolacji resztki pieczeni oraz ziemniaków i dodawszy posiekaną cebulę i przyprawy, wrzuciła je na rozgrzaną patelnię. Ostry zapach cebuli sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu.

Odruchowo otarła je i zamieszała grzejącą się na ogniu potrawę. Na stojącej obok blasze leżały świeżo upieczone placki kukurydziane. W trakcie tych czynności ani razu się nie obejrzała, nie zerknęła nawet w stronę stołu.

Nagle usłyszała głośny męski śmiech.

Nie zwracaj na niego uwagi, ignoruj go, nakazała sobie w myślach. Jednak nie potrafiła się powstrzymać. Odwróciła głowę i zerknęła w stronę stołu.

Mad Dog siedział na jej miejscu, podpierając się na łokciach. Gawędził z jej ojcem, jak gdyby byli najlepszymi przyjaciółmi.

Wzrok Mariah prześlizgnął się po jego profilu, zatrzymując się na moment na znamionującej siłę brodzie i miękkich ustach. Promienie słońca wpadające przez okno oświetlały długie włosy mężczyzny.

Serce ścisnęło jej się boleśnie. Przeżywała swoją samotność dotkliwiej niż zwykle.

ZAGUBIENI

Od lat nie odwiedził ich żaden mężczyzna i nigdy, aż do tego momentu, się tym nie przejmowała. Jednak teraz, kiedy patrzyła na Mad Doga, siedzącego przy kuchennym stole, ogarnął ją smutek. Poczła żal za życiem, którego nigdy nie miała i mieć nie będzie.

Nie mogła zaprzeczyć, że w głębi serca żałuje, że nie ma w jej życiu mężczyzny. Brakowało jej miłości, jaka łączyła ojca i matkę. W dzieciństwie wierzyła w taką miłość, widziała ją codziennie w oczach rodziców, oczekiwała jej.

Teraz, oczywiście, nie była już tak naiwna, ale mimo to w czasie długich zimowych nocy, leżąc samotnie w łóżku, boleśnie odczuwała brak kogoś bliskiego,

Naturalnie Mad Dog nie jest lekarstwem na moje osamotnienie, starała się przekonać siebie. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że ten człowiek rozbudził drzemiące w niej uczucia. To zapewne długotrwała samotność sprawiła, że reaguję w ten sposób na jego obecność. Tylko to, nic więcej, stwierdziła.

Postanowiła nie myśleć więcej o nim i skoncentrowała się na przygotowywaniu posiłku. Odsunęła podsmażoną potrawę ku brzegowi patelni, potem na roztopiony tłuszcz wbiła sześć jajek. Kiedy się usmażyły, napełniła talerze i usiadła przy stole, naprzeciwko Mad Doga. Starła się unikać jego wzroku, całkowicie skoncentrować się na posiłku.

Czuła jednak na sobie jego spojrzenie, gorące jak ogień, . przenikliwe.

Siedziała z pochyloną głową. Przygryzła dolną wargę, by ukryć jej drżenie; serce biło jej mocno, oddychała z trudem..

Czuła się... bezbronna. Powinno ją to rozzłościć, doprowadzić do furii, pod którą mogłaby ukryć ból i rozżalenie. Tak reagowała od lat, kiedy tylko ktokolwiek - nawet ojciec - chciał się zbytnio do niej zbliżyć.

KRISTIN HANNAH

Starła się być niedostępna, odległa. To była jej broń przed nieprzyjaznym światem i własną namiętą naturą. Teraz jednak jakieś dziwne uczucia wdzierały się w każdy zakątek jej serca i duszy. Czula narastający niepokój, który ją dręczył, osłabiał jej pewność siebie i opanowanie, uparcie ćwiczone przez lata.

Z coraz większym trudem przychodziło jej ignorowanie obecności Mad Doga. Jakież głęboko skrywane uczucia odżywały w jego obecności. Było w tym człowieku coś, co przebijało się przez skorupę, w której Mariah się skrywała, i sprawiało, że zaczynała dostrzegać to, czego brakowało jej w życiu, pozwalało dostrzec osamotnienie, wyizolowanie.

I to ją śmiertelnie przerażało.

Pora iść do kościoła - powiedział Rass, odsuwając pusty talerz na środek stołu. - Twoja matka czeka. - Uśmiechnął się do córki. - Zawsze była niecierpliwą kobietą.

Mad Dog zmarszczył czoło.

- Myślałem...

- Matka nie żyje - powiedziała obojętnym tonem Mariah. -Ale ojciec odwiedza ją w każdą niedzielę.

- Czasami częściej - dodał starszy pan.

- Zwykle częściej - poprawiła go córka, teraz już tonem bardziej łagodnym, okraszonym niewyraźnym uśmiechem.

- Ja nie chodzę do kościoła. Dziękuję - powiedział Mad Dog, odstawiając talerz.

- To jest coś innego, niż oczekujesz - rzekł Rass.

- Skąd wiesz, czego oczekuję? - zwrócił się Mad Dog do starszego pana.

- To jest zupełnie coś innego, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać. - Mariah roześmiała się i wstała.

Mad Doga zaskoczyło brzmienie jej śmiechu. Zupełnie do niej nie pasował. Był miękki, wibrujący, przy tym nieco gardłowy. Przywodził na myśl ciemną, zmysłową noc.

Coś nie w porządku, panie Stone? Wydaje mi się, że pan zbladł? - zapytała, patrząc na niego.

- Nie, nic takiego - odparł,

Nie mógł uwierzyć, że tak mocno zareagował na coś tak niewinnego jak śmiech.

Marian stała przez chwilę, patrząc na niego. Miał wrażenie, że chciała odejść, ale coś ją powstrzymało, coś... nieokreślonego.

Potem nagle się odwróciła.

Zamrugał i tajemnicza więź pomiędzy nim i Mariah nagle się rozplynęła. Teraz zastanawiał się, czy w ogóle istniała. Próbowal przypomnieć sobie, o czym przed chwilą rozmawiali.

Ach tak, o kościele.

- Wybacz, Rass - rzekł. - Staram się nie być obłudny.

- Co masz na myśli? - Starszy pan uniósł brwi.

- Ja nie wierzę w Boga.

- Wierzysz może w diabła? Mad

Dog się roześmiał.

- W diabła? Cóż, widziałem dowody jego istnienia.

- A co byś powiedział, gdybym pokazał ci Boga?

- Czyżby mieszkał tutaj? W Lonesome Creek. - Mad Dog

się uśmiechnął.

Rass skinął głową z poważną miną.

- Tak, oczywiście. Możesz pójść i zobaczyć... i nie będzie w tym nic z obłudy.

Mad Dog wzruszył ramionami. Co tam, pomyślał, przynajmniej będę z Mariah. Może nawet zobaczę jej uśmiech? - W porządku, profesorze. Chodźmy szukać Boga.

Czy to jest strój, w którym chodzi pani do kościoła? -zapytał Mad Dog, gdy po godzinie spotkał Mariah w sieni.

- Uważa pan, że jest nieodpowiedni? - odpowiedziała pytaniem, rzucając mu przy tym chłodne spojrzenie.

ZAGUBIENI

Stała wyprostowana. Dłonie w rękawiczkach splotła na wysokości talii. Prosty, nieozdobiony żadną koronką czy haftem kołnierzyk obciskał jej białą szyję. Jediną ozdobą brązowej sukni był rząd czarnych okrągłych guziczków, biegnących równym szeregiem od absurdalnie wysokiego kołnierzyka do wąskiej talii. Na nogach miała buty ze spiczastymi czubkami. Włosy zaczesła tak starannie, jak gdyby przypięte były pinezkami do tyłu głowy.

Powoli wrócił wzrokiem do twarzy kobiety i spojrzał jej w oczy.

- Ładny strój - stwierdził.

Mruknęła coś w odpowiedzi i wyszła na ganek. Odniosł wrażenie, że miała ochotę zatrzasać za sobą drzwi, pozostawiając go w ciemnej sieni, ale nie zrobiła tego.

Wcisnął dłonie w kieszenie i nie śpiesząc się, wyszedł za nią na zewnątrz.

Przed domem stał Rass z bukietem fioletowych kwiatów. Wydawał się młodszy, jak gdyby perspektywa udania się do kościoła ujęła mu kilkanaście lat. Jego przymglone wiekiem oczy nabrały żywej barwy.

- Mariah, Mad Dog, jesteście gotowi?

- Jestem gotowa - odpowiedziała mu cierpko córka; Mad Dog rozejrzał się, ale nigdzie nie zobaczył czekającego

na nich zaprzęgu.

- Czy mam zaprząć konia do powoziku? - zapytał.

Starszy pan roześmiał się głośno.

- Nie potrzebujemy koni, aby spotkać Boga, panie Stone. Chodźcie za mną.

Mad Dog zwrócił się do Mariah:

- Dokąd *on* idzie?

Nie spojrzała na niego, ale wydawało mu się, że dostrzegł ślad uśmiechu na jej twarzy.

- Bóg mieszka na zachodnim pastwisku, panie Stone.

- Nie w niebie? - zdziwił się.
- Tam również, ale my odwiedzamy go na zachodnim pastwisku.

- Czy pani w to wierzy?
Zamknęła na moment oczy, potem wyprostowała się i powiedziała lodowatym tonem:

- To, w co ja wierzę, panie Stone, to nie pańska sprawa.
Przeszła obok niego, kierując się w stronę, w którą udał się ojciec. Mad Dog patrzył na nią. Włosy związane w ciasny owalny kok opadały jej na kark i lśniły w słońcu. Uśmiechnął się. Jego wzrok ześlizgnął się na proste plecy, szczupłą talię i łagodną krzywiznę bioder. Mariah w opiętej sukni wydała mu się całkiem nęcąca.

Zsunął kapelusz na tył głowy i ruszył za nią.
Szli w stronę niewielkiego pagórka, położonego niezbyt daleko od domu, jedynego wzniesienia pośród rozległych pól. Mad Dog wyczuwał jednak, że miejsce to jest czymś więcej niż tylko zwykłą nierównością terenu.

Na pagórku rósł stary dąb, w którego cieniu stała żelazna kuta ławeczka, a przed nią tkwiła osadzona w trawniku zaokrąglona marmurowa płyta. Obok ustawiony był gliniany dzban z przywiedłymi czerwonymi daliami.

Przeczytał wykuty na kamieniu napis: „Tu spoczywa Greta Wilhelmina Throckmorton. Żona, matka, przyjaciółka. 17 kwietnia 1820 - 23 grudnia 1893”.

O Boże... Poczuł w sercu ból. Zamknął na chwilę oczy. Kiedy je otworzył, zobaczył, że Mariah patrzy na niego. W jej wzroku nie dostrzegł niechęci.

- Źle się pan poczuł?
Zaprzagnął nagle wyciągnąć do niej rękę, powiedzieć, że zrozumiał. Czuł jej ból, który mieszał się z jego bólem, ciężącym mu na sercu jak zimny głaz.

- Nie, nic mi nie jest - odezwał się wreszcie.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, potem powoli, jak gdyby stąpała po kruchym lodzie, podeszła do żelaznej ławeczki i usiadła. Siedziała na jej krawędzi z dłońmi na kolanach i opuszczoną głową.

Rass podszedł do nagrobka, ukląkł i zastąpił zwiędłe kwiaty świeżymi.

- Usiądź, synu - zwrócił się do Mad Doga. Potem, wpatrując się w nagrobną płytę, szeptał coś cicho.

Mad Dog okrążył grób i podszedł do ławeczki.

Mariah nie uniosła głowy, przesunęła się tylko na skraj ławki, żeby mógł usiąść obok niej. Gdy otarł przy tym kolanem o jej kolano, odsunęła się odrobinę dalej.

Kłęczący na ziemi Rass odchrząknął.

- Witaj, Greto - powiedział głosem niskim i bardziej miękkim niż zazwyczaj. Wyczuwało się w nim miłość i szacunek.

Pełne uczucia powitanie wywarło na Mad Dogu zaskakująco mocne wrażenie. Przypomniało mu sposób, w jaki, przed laty, zwracała się do niego matka.

- Mamy tu dzisiaj gościa, Greto - szepnął starszy pan. - Pana Stone'a. Wiążę z nim wielkie nadzieje. A co ty o tym myślisz?

Mad Dog kątem oka patrzył na Mariah.

Siedziała sztywno ze wzrokiem utkwionym w dłonie splecione na kolanach. Nie patrzyła ani na ojca, ani na grobową płytę. Usta miała zaciśnięte, brwi lekko ściągnięte. Widać było, że jest poruszona, ale potrafiła nad sobą zapanować.

Podmuchał wiatr, niosący ze sobą słodki zapach lawendy, poruszył żółtymi trawami. Rass zamknął oczy i oddychał głęboko. Na jego ustach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Ja też tak myślę - szepnął, potem odwrócił się i spojrzał na Mad Doga. ~ Czujesz to? - zapytał.

Zagadnięty mężczyzna z wysiłkiem oderwał myśli od

siedzącej obok kobiety. Starł sianie **zastanawiać, dlaczego** wydaje się smutna, samotna i zagubiona--Co mam czuć, Rass Zamknij oczy. W porządku. Wsłuchuj się uważnie. Słyszysz szum wiatru...

Nad głowami szeleściły liście dębu. Wiatr melodyjniej świstał w gałęziach.

- Czujesz zapach owoców? Jablek, gruszek...

Słodka woń sadu ogarnęła Mad Doga, pobudzała zmysły. Uśmiech rozjaśnił jego twarz. Usłyszał odgłos powolnych kroków zbliżającego się

Rassa i jego przyspieszony oddech. Otworzył oczy i zobaczył starszego pana, klęczącego przed sobą.

- To jest Bóg - szepnął Rassa. - Nie znajdziesz go w kościele, budynku wzniesionym przez człowieka. On jest w nas, w dobroci, którą okazujemy innym. W miłości, którą czujemy.

- Ba... - mruknęła Mariah.

Ból przyćmił wzrok profesora. Usiadł na piętach i oparł pokryte niebieskimi żyłkami dłonie na kolanach., - Moja córka nie wierzy - rzekł ze smutkiem.

Niegdyś wierzyłam - powiedziała obojętnym tonem.

Rassa uniósł głowę i spojrzał w jej chłodne oczy.

- Wiara w Boga to nie jest gra, Mariah. To nie jest gra, w której raz rzucasz kości, a potem się poddajesz, jeśli przegrałaś.

- Zostawmy te sprawy, ojczy - mruknęła. -

To ty musisz o pewnych sprawach zapomnieć. Mariah wstała, jakby się ociągała.

- Na dzisiaj mam już dość kościoła. -Przez chwilę patrzyła na kamienną nagrobną płytę. - Pożegnaj ode mnie mamę. - Pożegnaj ją sama. Nie zareagowała, jakby nie słyszała słów ojca. Patrzyła na

niewielki kwadrat starannie przystrzyżonej trawy obok grobu matki. Coś ciemnego, tragicznego pojawiło się w jej oczach. Wreszcie odwróciła się, uniosła lekko brzeg spódnicy i ruszyła w stronę domu.

Obaj mężczyźni patrzyli za oddalającą się kobietą. Mad Dog, siedząc na ławce, Rass, klęcząc u jego stóp. Żaden nie odezwał się ani słowem.

Kiedy zniknęła we wnętrzu domu, profesor westchnął ciężko i podniósł się z wysiłkiem. Odszedł o parę kroków i patrzył na farmę.

Mad Dog podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu. Chciał coś powiedzieć, pocieszyć go, ale sytuacja była tak niecodzienna, że nie wiedział, jak zacząć. Stał tylko z dłonią opartą na wychudzonym ramieniu staruszka.

- Ach, Greto - szepnął do siebie Rass. - Nasza dziewczynka tak bardzo cierpi...

Mad Dog milczał. Cóż tu było do powiedzenia.

- Musisz jej pomóc. - Profesor odwrócił się w jego stronę.

- Nawet jej nie znam. - Mad Dog zmarszczył czoło,

- To jest wymówka.

Mad Dog miał ochotę roześmiać się, ale powstrzymał go wyraz oczu Rassa.

- Może - rzekł z wahaniem.

- Widzisz, nawet na takiej odludnej farmie mężczyzna staje niekiedy przed poważnym wyzwaniem i wtedy nie pomagają żadne wymówki.

Mad Dog dostrzegł ciepły blask w oczach swego chlebodawcy. Spojrzał na jego posiwiałą głowę. Na usta cisnęło mu się ważne, istotne pytanie. Wiedział, że nie powinien go zadać, ale nie potrafił się powstrzymać. W zachowaniu Mariah, w jej twarzy i oczach było coś, co go poruszało. Chciał wiedzieć dlaczego.

- Czy z nią dzieje się coś złego?
- Sam musisz ją o to zapytać.
- Ona mi nic nie powie.
- Za pierwszym razem może nie. Więc spróbuj jeszcze raz. -
Staruszek spojrział na Mad Doga i pochwycił jego wzrok. - Jesteś bokserem, prawda?

- Nie na takim ringu.

Rass przyjrzał mu się uważnie, badawczo. Po raz pierwszy od lat Mad Dog poczuł się bezbronny. Jak przestraszone samotne dziecko, którym był kiedyś.

- Może jeszcze nie...

Mad Dog rozumiał, że na tym powinna zakończyć się ta rozmowa, ale było jeszcze coś, o czym chciał wiedzieć. Jednocześnie nie powinien zbyt obcesowo wkraczać w osobiste sprawy członków tej rodziny.

- Ten niewielki, starannie przystrzyżony kwadrat trawnika obok grobu twojej żony... Czy on ma coś wspólnego z problemami Marian?

- Bardzo wiele - powiedział po chwili zastanowienia Rass, a potem odszedł.

Mad Dog przez dłuższy czas stał zamyślony, słuchając melodyjnego szelestu traw poruszanych jesiennym wiatrem. Kolorowe liście, tańcząc i wirując, opadały do jego stóp na spaloną słońcem ziemię.

Ten stary człowiek nie ma racji, pomyślał. Nie potrafię zetrzeć z twarzy Mariah wyrazu smutku, zdjęć z jej ramion ciężaru, który dźwiga. Życie nauczyło mnie, że każdy musi sam rozwiązywać swoje problemy.

Wcisnął dłonie w kieszenie i patrzył na białą smugę dymu, wydobywającego się z komina domu. Gdyby zamknął oczy, wyobraziłby sobie Mariah. Jej białą skórę, niemal przejrzystą, ręce, które zapewne drżały. Widziałby ją krążącą z pokoju do pokoju, wyprostowaną, ze splecionymi dłońmi, szukającą

jakiegoś zajęcia, które pomogłoby jej zapomnieć o swoich kłopotach.

Zapragnął nagle, by Rass miał rację, mówiąc, że on, Mad Dog, mógłby jej pomóc.

Mariah stała przy oknie sypialni i patrzyła na chatę dla pracowników. Głowa bolała ją tak mocno, że momentami ciemniało jej w oczach. Tarcza, za którą chroniła się przez lata, została skruszona. Poczula, że pozbywa się jej w chwili, gdy spojrzała na niewielki kwadrat wystrzyżonego trawnika obok grobu matki.

To prawda, że nie pierwszy raz traciła tę tarczę. Pozbywała się jej w każdą niedzielę, ale zawsze wiedziała, że ją odzyska. Teraz jednak, bez tej stalowej osłony, czuła się bezbronna i załkniona. Uczucie to potęgowała obecność Mad Doga, sprawiając, że wracały niechciane pragnienia, które śmiertelnie ją przerażały.

A ojciec... On nic nie rozumiał. Dla niego śmierć oznaczała przejście do innego życia, moment oczekiwany przez każdego człowieka. Nie wątpił, że połączy się z żoną, że ona przebywa w znacznie lepszym miejscu niż on, i niecierpliwie oczekiwał na dzień, kiedy znów będą razem.

Mariah od dawna nie wierzyła już ani w Boga, ani w niebo. Wiarę utraciła, gdy pierwszy raz stanęła nad niewielkim kwadratem świeżo ubitej ziemi, pod dębem, gdzie potem wykopany został grób matki.

Na to wspomnienie odczuła ból tak dojmujący, tak intensywny, że nogi się pod nią ugięły. Przytrzymała się framugi okna i zamknęła oczy.

- Nie - szepnęła pełna rozpacz. - Nie...

Nie potrafiła jednak oddalić od siebie obrazów z przeszłości. Zbyt była słaba. Złocistorude włosy, szaroniebieskie oczy. Błękitny kocyk...

Thomas.

Jęk bólu wyrwał się z jej ust. Pamięć zawładnęła wszystkimi jej zmysłami. Słyszała cichy płacz niemowlęcia, a potem porażające ją słowa doktora: „Przykro mi, panno Throckmorton, ale już nic nie możemy zrobić...”.

I krew. Wielki Boże, krew...

Och, Boże!

Odsunęła się od okna. Zasłoniła dłońmi twarz i stała tak pośrodku pustej sypialni. Chciała płakać, ale łzy nie napływały jej do oczu.

- Nigdy więcej - szepnęła.

Ręce opadły jej bezwładnie. Nie będę myśleć o Thomasie, postanowiła. Nie mogę. Jeśli to zrobię, oszaleję.

Mad Dog stał w kuchni i przez otwarte drzwi patrzył w stronę prowadzących na piętro schodów.

Myślał o Mariah. Wbrew sobie, bo przecież nie powinny go obchodzić jej sprawy.

Usłyszał nagle dobiegający z góry jakiś stłumiony dźwięk. Jęk rozpaczy.

- Chryste! ~ mruknął.

Domyślał się, co ją dręczy. Zrozumiał to, gdy zobaczył grób. Na Boga, rozumiał ból tej kobiety. Sam go kiedyś przeżył, a niekiedy odczuwa jeszcze teraz, nawet po tylu latach.

Uświadomił sobie, że chciałby jej coś powiedzieć, ale nie wiedział co. Po prostu coś. I to nie dlatego, żeby ją poruszyć, doczekać się żywej reakcji. Chciał tylko, by wiedziała, że ją rozumie.

Powoli, wbrew sobie, ruszył schodami w górę. Z każdym krokiem coraz bardziej był świadomy, że ingeruje w cudze sprawy, wkracza tam, gdzie nie będzie mile widziany. Nigdy

tak nie postępował, mógł przecież iść wszędzie tam, dokąd zechce, po co więc miałby udawać się tam, gdzie go nie chcą?

Zatrzymał się na korytarzu. Zobaczył troje otwartych drzwi i jedno zamknięte. Domyślił się, że są to drzwi sypialni Mariah.

Jeszcze czas, żeby się wycofać, pomyślał, patrząc na nie. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego robić, nie powinien narzucać się osobie, która wyraźnie nie życzy sobie tego, ale nie potrafił się powstrzymać i zapukał.

Odpowiedziała mu cisza.

Potem usłyszał jakiś szelest i stłumiony kobiecy głos:

- Chwileczkę, ojcze.

Wreszcie drzwi otworzyły się i stanęła w nich Mariah. Spojrzała na Mad Doga i krzyknęła cicho. Oczy miała rozszerzone, oddychała niespokojnie. Sięgnęła ręką do klamki i próbowała zamknąć drzwi, ale je przytrzymał. Cofnęła się o krok. Wyglądała żalostnie; była śmiertelnie blada, a zaciśnięte wargi tworzyły cienką bezbarwną linię. Włosy miała w nieładzie, częściowo rozpuszczone, częściowo upięte w tyle głowy. Wydawała mu się bezbronna, bezradna i... piękna.

- Czego... czego pan chce?

Nieśmiało podszedł do niej, na tyle blisko, że mógłby jej dotknąć. Widział przerażone, pełne rozpaczycy oczy kobiety. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

- Panie Stone, proszę - odezwała się cichym, drżącym głosem. - Nie jestem w odpowiednim nastroju, żeby prowadzić z panem jakąś niezrozumiałą dla mnie grę.

Teraz lub nigdy, pomyślał. Zaczerpnął powietrza w płuca i zmusił się do wypowiedzenia słów, których nikt dotąd od niego nie słyszał:

- Ja... moja matka... ona zmarła w wigilię Bożego Narodzenia.

Zaskoczenie zatarło wyraz smutku w oczach Mariah.

- Przykro mi - szepnęła.
- Nie przyszedłem tutaj po wyrazy współczucia.
- Wobec tego po co?
- Ja... och, do licha, to wszystko nie ma sensu - mruknął i odwrócił się, żeby odejść.

Mariah chwyciła go za ramię. Przez koszulę czuł ciepło jej ręki. Drgnął pod jej dotknięciem. Powoli się odwrócił i spojrzał na delikatną dłoń zaciśniętą na swoim ramieniu.

- Ja tylko chciałem, żeby pani wiedziała, że... rozumiem.

Spojrzała mu w oczy ciepłym, łagodnym wzrokiem. Mad Dog zauważył drzenie jej warg i nieoczekiwanie wezbrała w nim fala czułości, jakiej nie doznał nigdy dotąd. Miał ochotę pocałować tę kobietę, ująć jej twarz w dłonie i scałować smutek z *ust*.

- Czy to z czasem mija? - zapytała cicho.

Wiedział, że nigdy nie zapomni tej chwili. Szczerłość Mariah, tak jak i jej ból poruszyły jakieś głębokie pokłady w jego duszy, obudziły uczucia, których istnienia nawet nie przeczuwał.

- Błednie - odpowiedział.
- Błednie - powtórzyła szeptem, patrząc na niego. Mad Dog pragnął zrobić coś, by zatrzymać tę chwilę.

Moment szczególny, kruchy. Odczuwał więź z tą kobietą, zupełnie, jakby ona rozumiała jakąś tajemną część jego istoty. Czy nie wybrałaby się pani na spacer? - zapytał. -



Czy nie wybrałaby się pani na spacer? - powtórzyła w myślach Marian.

Niespodziewanie dla siebie doznała ulgi. Duszący ciężar smutku zelżał nagle, poczuła się... lekka. Spacer- taka zwykła propozycja, a tyle lat musiała czekać, by znów ją usłyszeć.

Pamiętała, jak przed laty, gdy była dziewczynką, oczekiwała od ojca zaproszenia na wspólną wyprawę w poszukiwaniu okazów do jego kolekcji. Nigdy jej tego nie zaproponował. Godzinami spacerował z matką po skąpanych w słońcu pastwiskach, sadach. Pamiętała, jak patrzyła na nich z okna sypialni i czekała... aż któregoś dnia przestała czekać.

Teraz, wreszcie, ktoś zaprosił ją na spacer. Uśmiech pojawił się na jej twarzy. Już niemal zapomniała, jak ważne jest dla człowieka czuć się komuś potrzebnym. I jakie jest to niebezpieczne.

Ze Stephenem uciekła właśnie dlatego, że wreszcie ktoś zainteresował się nią, poprosił, by z nim poszła, i powiedział „kocham cię...”.

Wiedziała, że powinna odmówić. Grzecznie odmówić i wycofać się w swoje osamotnienie. W tym momencie jednak nie chciała postąpić tak, jak nakazywał rozsądek. Chciała poczuć się związana ze światem, doceniona, nawet odrobinę rozpieszczona.

- Proszę zaczekać, włożę tylko czepek - powiedziała.

Zostawiła Mad Doga stojącego w drzwiach i podeszła do toaletki. Wzięła w rękę garść spinek z pękniętego talerzyka z chińskiej porcelany i zaczęła upinać włosy.

On tymczasem spokojnie czekał.

- Mariah? - odezwał się nagle.

- Słucham? - odwróciła się i podeszła do niego.

- Nie rób tego.

- Czego? - zapytała, unosząc brwi.

Wziął ją za nadgarstek i delikatnie odsunął jej dłoń od głowy.

- Niech tak zostanie.

- Mam iść z rozpuszczonymi włosami?

- Zrób to dla mnie - poprosił.

- Och, to byłoby wysoce niestosowne - odparła, próbując się roześmiać.

- Nie szkodzi.

Nic nie powiedziała, uśmiechała się tylko. To była trudna próba.

- Chodź, Mariah. - Jej imię zabrzmiało w ustach Mad Doga miękko, pieszczotliwie, tak jak chciała je słyszeć. Taka właśnie pragnęła być w tym momencie. - Spacer dobrze ci zrobi - dodał.

- Mam nadzieję - powiedziała, potem się uśmiechnęła.

Pomyślała, że jutro, być może, zapłaci za to, ale teraz nie przejmowała się tym. Na razie chciała być sobą. Wyciągnęła spinki z włosów i schowała je do kieszeni.

Mad Dog podszedł bliżej, wplótł palce w jej włosy, rozluźnił je tak, że opadły na ramiona.

- Tak będzie lepiej - stwierdził i cofnął się o krok.
- To prawda - zgodziła się.
- A więc idziemy?

Mariah się uśmiechnęła. Poczwała się nagle jak młoda dziewczyna na pierwszym balu. Skinęła głową i ruszyła za nim do wyjścia.

Wyszli na zalany słońcem ganek, ramię przy ramieniu zeszli po trzeszczących drewnianych schodach na podwórze i skierowali się ścieżką, w stronę, bramy. Powietrze pachniało kwiatami i zeszlą trawą.

Oboje milczeli, słyhać było tylko szept wiatru i szczebiot ptaków. Zdawało się, że nie przeszkadza im milczenie. Cisza działała na nich kojąco.

Mariah z przyjemnością patrzyła na rosnące obok ścieżki jesienne kwiaty, ciesząc oko całą gamą kolorów, od ciemnej czerwieni aż po bursztynowożółtą barwę. Ogromne chryzantemy kołysały się poruszane wiatrem. Mocny zapach kwiatów pobudzał jej zmysły. Po chwili popadła w dziwny nastrój oszołomienia, całkowicie obcy jej naturze. Czwała się jak kobieta spacerująca mężczyzną, dla którego jest kimś wyjątkowym.

Zaskrzypiała drewniana furtka.

Mariah drgnęła i się zatrzymała. Serce zaczęło jej bić w przyspieszonym rytmie, krew pulsowała mocno w skroniach. Lęk ścisnął pierś. Nie mogła nic powiedzieć, brakowało jej tchu.

Mad Dog stał o krok przed nią z ręką na kłamce. Popchnięta mocniej furtka uderzyła o płot, zgrzytnęły zawiasy.

Kobieta stała nieruchomo, niezdolna oderwać wzroku od otwartej furtki,

- Mariah? - Spojrzał na nią zaniepokojony.

Zdawało jej się, że jego głos dobiega gdzieś z daleka.

Odruchowo cofnęła się o krok. Przekonywała się, że nie jest przerażona, mówiła sobie, że nie może złapać oddechu, bo kwiaty pachną zbyt mocno i tak słodko, że wywołują mdłości. Nieustanny szczebiot ptactwa dzwonił jej w uszach, przyprawiając o ból głowy. Przez moment zdawało jej się, że zaraz zemdleje.

Mad Dog dotknął jej twarzy.;

- **Mariah!**

Oderwała wzrok od furtki i spojrzała mu w oczy. Serce biło jej tak mocno, że ledwie słyszała kierowane do niej słowa.

- Słucham? - Starła się mówić spokojnie, ale w jej głosie można było wyczuć napięcie i niepewność.

- Czy coś jest nie w porządku? - zapytał.

Wyraz zaniepokojenia w jego oczach wstrząsnął nią głęboko. Nagle zniknął magiczny nastrój popołudnia, wrócił ból związany z przeszłością. Potrząsnęła głową, zwilżyła językiem zaschnięte wargi.

„Blednie” - przypomniała sobie jego słowa. Piękne, podtrzymujące na duchu słowa pełne nadziei, którą tak dawno utraciła. Chciała w nie wierzyć, ale teraz, stojąc przy furtce, wiedziała, że to kłamstwo. Dla niej ból związany z przeszłością nigdy nie zblaknie.

- O co chodzi, Mariah? - Mad Dog odwrócił jej twarz w swoją stronę.

Przez głowę przemknęła jej szalona myśl, że mogłaby dać temu mężczyźnie to, na czym mu zależy, a on dałby jej to, czego ona potrzebuje. Wiedziała jednak, że nie potrafi zmienić się tak szybko. Odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Muszę... powinnam już szykować kolację.

- Rozumiem - odparł, marszcząc czoło.

Rozumiesz? Jak to możliwe, skoro ja sama tego nie rozumiem - chciała zapytać.

Nagle objął ją ramieniem i przytulił.

Wiedziała, że powinna się odsunąć od niego i nie pozwolić dotykać się w ten sposób. Było to wysoce nieestosowne, a nawet ryzykowne. Teraz jednak, stojąc na pustym podwórzu, odczuwała niezwykłą przyjemność, mając kogoś... jego... obok siebie. Takie milczące, bezinteresowne wsparcie było czymś, czego zawsze bardzo jej brakowało. Poczula się *bezpiecznie*. *Zamiast się odsunąć, nachyliła się ku niemu* i oparła o silną męską pierś.

W jego ramionach poczuła się lekka. Irracjonalny lęk przed opuszczeniem farmy cofnął się do najciemniejszych zakamarków jej świadomości. Trudność nie polega na tym, że nie potrafię wyjść poza ogrodzenie, przekonywała się w myślach, tylko na tym, że po prostu nie chcę. Jeszcze nie. Może już jutro przyjdzie mi ochota wybrać się gdzieś i jeśli naprawdę będę chciała, nie powstrzyma mnie ta cholerna furtka.

Zamrugła i westchnęła,

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Było mi to potrzebne.

Mad Dog przytulił ją mocniej. Przez grubą tkaninę sukni czuła ciepło jego dłoni.

- Potrzebujesz znacznie więcej niż tylko tego, Mariah, ale myślę, że to na razie wystarczy.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją w policzek i odszedł.

Mariah długo nie mogła oderwać wzroku od jego oddalającej się sylwetki. Cały czas czuła żar w miejscu, gdzie ją pocałował.

Tego dnia coś się pomiędzy nimi zmieniło. Zaczęło się to z chwilą, gdy wszedł do jej sypialni i to nie po to, by się z nią drażnić, żartować, ale po prostu powiedzieć, że rozumie, jak czuje się człowiek zagubiony i samotny.

Ten moment wiele dla niej znaczył, może więcej niż jakikolwiek inny w ciągu minionych lat. Zachowanie Mad

Doga poruszyło ją do głębi, tym bardziej że takiej wrażliwości nie spodziewała się po człowieku jego pokroju.

Po mężczyźnie takim jak Stephen, przemknęło jej przez myśl, ale tym razem wspomnienie o nim nie niosło ze sobą bólu. Zresztą takie porównanie było bezpodstawne. Mad Dog nie jest taki jak Stephen. To prawda, że obaj byli niczym nieskrępowanymi wędrowcami, którzy nigdzie nie zagrzewali miejsca, ale Stephen to egoista, człowiek nieuczciwy. Natomiast Mad Dog był szczery i troskliwy. W niczym nie przypominał Stephena.

Rass oparł się plecami o dąb i oplótł rękami podciągnięte wysoko kolana. Patrzył na zabudowania farmy wzniesione przy pomocy jego rąk.

Smutek ścisnął mu pierś; w lewym boku czuł uporczywy tępy ból. Tyle jeszcze zostało do zrobienia, pomyślał, tyle spraw, na które zabrakło czasu.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Pierwszą budowlą na farmie był niezdarnie sklecony szałas. Cóż on mógł wiedzieć o budownictwie, on, profesor geologii z Nowego Jorku? Trochę pomogły mu książki, kupił gwoździe, młotek i pracował najlepiej, jak potrafił.

Rezultat tych pierwszych wysiłków runął w czasie nagłej ulewy. Następne schronienie przetrwało zimę. A trzecie.....jego dalsze istnienie wisiało teraz na włosku.

Wtedy potrafił śmiać się z niepowodzeń dzięki Grecie. Pamiętał, jak stali przytuleni do siebie w ulewnym deszczu, przemoczeni do suchej nitki, i patrzyli, jak szałas wali się na ziemię, pchnięty podmuchem wiatru. Pamiętał, jak śmiali się oboje na widok tej klęski.

Tylko gdzie wtedy była Mariah? Tego rodzaju pytania w miarę upływu lat dręczyły Rassa coraz częściej.

ZAGUBIENI

Miał tyle wspomnień związanych z żoną, a tylko nieliczne dotyczyły Marian, W jakiś sposób wykluczili ją ze swojego życia. Nie chcieli tego, na Boga, nie chcieli...

Przyczyna tkwiła chyba w tym, że poznali się późno, kiedy nie byli już młodzi. Nie przypuszczali, że zakochają się w sobie i że ta późna miłość stanie się takim cennym, pochłaniającym ich darem. Nigdy się nie spodziewali, że będą mieli dzieci, nie chcieli ich, a zresztą, biorąc pod uwagę wiek Grety, nie musieli się tego obawiać.

Potem pojawiła się Mariah, niemowlę z czerwoną buzią, płaczące, absorbujące.

Kochali córkę głęboko, ale nie potrafili jej tego powiedzieć czy okazać w taki sposób, w jaki sobie okazywali miłość.

W rezultacie Mariah była teraz samotna i przesadnie niezależna. Tak właśnie wychowali ją podstarzali rodzice. Silną, przekorną, świadomą swej inteligencji. Nie nauczyli jej jednak kochać i być kochaną.

Ta myśl wywołała kolejny bolesny skurcz serca. Na Boga, jak mogliśmy być tak ślepi. Potrząsnął głową i oczami pełnymi łez patrzył na pożółkłą trawę.

Uświadomił sobie, że Mariah nigdy, nawet jako dziecko, nie zwróciła się do niego słowem „tato”. Potem, w wieku sześciu lat, od słowa „ojcze” przeszła do imienia Rass. A przez wiele lat, po niefortunnym zakończeniu przygody ze Stephenem, wcale z nim nie rozmawiała.

Dlaczego, u licha, pozwoliłem jej tak zamknąć się w sobie? Minionej nocy, kiedy patrzył w oczy Jake'a - osoby zupełnie obcej - potrafił dostrzec w nich ból. Dlaczego nie dostrzegałem niczego w oczach swojego dziecka? - zastanawiał się.

- Dlaczego nie widzieliśmy tego, Greto? - wyszeptał prawie niedosłyszalnie.

Do tej pory nigdy nie przeszkadzało mu to, że Mariah zwraca się do niego po imieniu, co więcej, cieszyło go to, że jest tak dumna i buntownicza. Teraz jednak zaczęło mieć to znaczenie. Brakowało mu bliskości z córką. Tyle chciał jej powiedzieć, może nawet nauczyć ją czegoś.

Tylko że nie wiedział, od czego zacząć. Westchnął zdegustowany tym, że potrafi świetnie nawiązywać kontakty z obcymi ludźmi, a nie umie rozmawiać z własną córką.

- Tak mi przykro, Mariah. Kocham cię - powiedział cicho.

Lzy znów napłynęły mu do oczu. To nie takie proste, pomyślał. Nie z Mariah. Zastanawiał się, jak do tego doszło, że razem z Gretą wychowali dziecko, które nie słyszało słów miłości, nie chciało ich słyszeć.

Czyżby zapomnieli powiedzieć jej o tym, kiedy była dzieckiem? Może czuła się samotna w ich szczęśliwym domu i czekała, aż rodzice powiedzą jej to, co widać - uważali za oczywiste.

On przecież nigdy nie mówił żonie, że ją kocha. Zresztą jego rodzice też nie posługiwali się tym słowem, a mimo to wiedział, że jest kochany, tak samo jak wiedziała Greta. Dla niego zawsze wyrazem miłości nie było słowo, ale dotknięcie, spojrzenie, uśmiech, przekazywane drugiemu jak świąteczny prezent.

Teraz jednak zastanawiał się, czym dla Mariah była miłość. Czy z bólem i lękiem czekała na te proste słowa, których nigdy od nich nie usłyszała? Może dlatego uciekła z pierwszym mężczyzną, który jej powiedział, że tak bardzo pragnęła je usłyszeć.

Ogarnął go smutek. Zdawał sobie sprawę, że on i Greta popełnili jakiś błąd. Może uda się go jednak naprawić?

Zapadł już zmierzch, kiedy Rass wybrał się wreszcie do stodoły. Jake ucieszył się, gdy usłyszał głos starego człowieka. Przez cały dzień czuł się osamotniony, znużony, smutny. Nie mógł się doczekać przybycia Rassa. Siedząc i rozmawiając z nim, czuł się pewniej i bezpieczniej.

- Hej, Jake! - zawołał profesor, wchodząc do stodoły. - Zejdź na dół.

Chłopiec odniósł wrażenie, że głos brzmi jakoś inaczej, jak gdyby starszy pan był bardzo zmęczony. Podeszedł do drabiny i zerknął na dół.

- Dzień dobry, Rass.

- Jak się masz, Jake.

Chłopiec wyczuł, że coś jest nie w porządku.

- Widzę, że nie przyniosłeś jedzenia - powiedział zaniepokojony.

- Zejdź na dół - odparł Rass z uśmiechem.

- O co chodzi? - zapytał Jake, kiedy znalazł się na dole.

Rass podeszedł do niego, szurając podszwami po klepisku.

Oczy mu błyszczały.

- Przemyślałem wszystko, Jake.

Chłopiec zwilżył wargi, starając się opanować niepokój.

- Och!

- Nie powinieneś się tu ukrywać. - Starszy pan zerknął na podwórze przez zakurzone okno,

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. Nie chcę po raz drugi popełnić tego samego błędu. Nie pozwolę, żebyś ukrywał się tutaj przed czymś, co budzi twój lęk.

Jake zamarł. Ogarnęło go przerażenie, a zarazem nadzieja, oczekiwanie... .. - Dlaczego uważasz, że się przed czymś ukrywam?

- Uwierz mi, Jake, nauczyłem się odczytywać różne znaki.

- Nie ukrywam się przed nikim... - Chłopiec zorientował się, że popełnił błąd, więc szybko dodał: - To znaczy przed niczym.

Rass przez dłuższą chwilę przyglądał się chłopcu, zanim powiedział:

- Dobrze, wobec tego nie ma powodu, żebyś tkwił w stodole.

Jake pokręcił głową. Próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. Obawiał się, że jego trudny do ukrycia lęk ujawni zbyt wiele, ale nie mógł się powstrzymać.

- Skoro tak, to...

- Najwyższy czas, żebyś poznał moją córkę i Mad Doga. Czas, byś przestał się ukrywać. - Profesor położył dłoń na ramieniu chłopca.

„Najwyższy czas”. Jake wiele razy powtarzał w myślach te słowa. Może Rass ma rację? Może nadeszła pora, by przestać uciekać. Od miesięcy podążał za Mad Dogiem, ale brakowało mu odwagi, by się do niego zbliżyć.

- Chodź! - Rass ruszył w stronę drzwi.

Nie muszę za nim iść, pomyślał Jake.

Owszem, mógł uciec i po prostu zapomnieć o wszystkim.

Próbował już tego wielokrotnie. Od dziesięciu lat starał się zapomnieć o legendarnym Mad Dogu, ale bez powodzenia.

Musiał pójść za starszym panem. Przecież od miesięcy marzył o takim właśnie momencie. Nie mógł zmarnować okazji tylko dlatego, że bał się tego spotkania.

- Rass?

Profesor stanął i odwrócił się w jego stronę.

- Słucham?

Jake nerwowo zwilżył językiem wargi.

- Ale... będziesz przy mnie? - Próbował powiedzieć te słowa obojętnie, bez emocji, ale mu się nie udało. Zabrzmiały jak rozpaczliwa prośba.

ZAGUBIENI

- Będę, będę. - Rass skinął głową i uśmiechnął się wyrozumiale.
Chłopiec zamknął oczy, odmówił w myślach krótką modlitwę,
po czym przy boku profesora ruszył w stronę domu. Usiłował
opanować lęk, ale było to niemożliwe. Czuł, że żołądek skurczył
mu się w ciasny węzeł.
Wreszcie, po wielu latach, miał spotkać ojca.



Mariah stała przed lustrem i upinała włosy w ciasny węzeł w tyle głowy. Wsuwała jedną spinkę po drugiej, umacniając kok tak, że nawet huragan nie zdołałby go rozwiązać.

Pozwoliła dzisiaj Mad Dogowi na zbyt wiele. Pozwoliła mu niebezpiecznie zbliżyć się do siebie. Sama myśl o tym przyprawiała ją o drżenie i budziła lęk. Ten człowiek zajrzał do jej wnętrza, odrobinę tylko i na krótki moment, ale jednak tak się stało.

Westchnęła. Czowała się znużona i stara, kiedy wyszła z sypialni i ruszyła schodami w dół. W kuchni zajęła się swoimi codziennymi obowiązkami. Rozpaliła ogień w piecu kuchennym i wyjęła z szafki produkty niezbędne do przyrządzenia kolacji. Mimo wszystko nie potrafiła pozbyć się dręczących ją myśli.

Szaleństwem było pozwolić sobie na taką chwilę zapomnienia. Dobrze wiedziała, jaką cenę płaci się za patrzenie na świat przez różowe okulary. Mad Dog Stone obdarzył ją miłym uśmiechem, próbował podnieść na duchu. Nie dał jej jednak nic, co byłoby jej potrzebne, na co mogłaby liczyć. Powinna o tym pamiętać. Zawsze. Jego obecność

nie była lekarstwem na ból osamotnienia, dręczący ją w ciągu długich bezsennych nocy.

On był wędrowcem, który tylko na moment pojawił się w jej życiu. I tak jak Stephen odejdzie.

Wyjęła z szafki duży żelazny rondel i postawiła na płycie kuchennej. Wrzuciła do niego łyżkę smalcu, pęto kielbasy, pokrojoną cebulę i pozostałe po poprzednim posiłku ziemniaki. Potrawa zaczęła wkrótce apetycznie pachnieć.

Nagle zazgrzytały zawiasy frontowych drzwi.

- Idź do kuchni, zaraz tam przyjdę - dobiegł ją z sieni głos ojca.

Serce zaczęło jej mocniej bić na myśl, że za chwilę zobaczy Mad Doga.

Boże, dodaj mi sił, pomyślała, sięgnęła po naczynie z pieprzem i obficie przyprawiła skwierzącą już potrawę.

- Jeszcze chwilka, panowie! - zawołała, nie odwracając się. - Kolacja jest prawie gotowa.

Usłyszała odgłos kroków z sieni, a potem nieśmiały głos:

- Dobry wieczór.

Mariah spojrzała w stronę drzwi i zobaczyła chłopca o dużych, zalęknionych zielonych oczach i potarganej złocisto-rudej czuprynie. Był szczupły, wręcz chudy. Mizerna twarz o ostrych rysach wyglądała na dziecięcą, ale wystające kości policzkowe i mocno zarysowany podbródek wskazywały, że wyrośnie na przystojnego mężczyznę. Miał na sobie mocno przybrudzoną, połataną koszulę i nieco zbyt obszerne wełniane spodnie, ściągnięte w pasie wąskim czarnym paskiem.

Serce jej zamarło. Aluminiowe naczynie z pieprzem wyslizgnęło się jej z palców i z łoskotem upadło na drewnianą podłogę. Przez krótki zatrwajający moment pomyślała, że widzi ducha - obraz wytworzony w jej udręczonym poczuciu winy umyśle.

- Thomas - szepnęła.

Chłopiec nerwowo zwilżył językiem wargi.

- Na imię mam Jake - powiedział niepewnie. - Pan Throckmorton zaprosił mnie na kolację. Jestem jego nowym pomocnikiem.

Marian przymrużyła oczy i z zakłopotaniem przyglądała się chłopcu.

- Nie rozumiem...

- Och, Mariah, widzę, że już poznałaś naszego młodego gościa - odezwał się Rass, wchodząc do kuchni.

Po chwili dotarły do niej słowa ojca. Obraz wytworzony w wyobraźni powoli znikał.

Teraz dopiero uważniej przyjrzała się chłopcu. Gdzieś w głębi duszy poczuła się zawiedziona i rozpaczliwie smutna. To nie duch. Po prostu zwykły chłopiec. Brudny, obdarty dzieciak o rudych włosach i zielonych oczach.

Nie Thomas.

Oczywiście nie mógł to być Thomas...

- Jake. - Choć usilnie starała się odzyskać równowagę, jej głos zabrzmiał jak drżący szept.

- Pomoże mi porządkować moje zbiory - powiedział Rass.

Mariah skinęła głową. Zbyt była oszołomiona, żeby poczuć się urażona. Przecież to ona porządkowała i katalogowała zbiory ojca.

- To... wspaniale. - Powoli, z wahaniem podeszła do chłopca. Miała ochotę dotknąć jego policzka, odsunąć włosy opadające mu na oczy. Chciała zachować się jak matka, którą nigdy nie była i nigdy nie będzie. Powstrzymała się, nie chcąc ryzykować, że się ośmieszy. Spojrzała na ojca. - Gdzie go znalazłeś? - zapytała.

- Hm... On... on znalazł drugie moje ogłoszenie w restauracji. Jest w drodze i potrzebuje trochę pieniędzy - odparł Rass, wzruszając ramionami.

Jest w drodze, Mariah powtórzyła w myślach znajome jej

słowa. Zastanawiała się, co powiedzieć chłopcu. Miał co najmniej piętnaście lat, był w wieku, kiedy można się już obejść bez matki, ale jej macierzyński instynkt był tak silny, tak przemożny, że wiele wysiłku kosztowało ją, by go nie dotknąć, nie zaproponować, że się nim zaopiekuje, wypierze jego brudne ubranie.

- Och... - mruknęła i zamilkła.
- Czy... czy jest pani bardzo niezadowolona? - zapytał Jake.

Mariah spojrzała na chłopca i zauważyła napięcie na jego twarzy. Widziała, jak nerwowo zaciska i prostuje dłonie. Ogarnął ją niespodziewany przypływ czułości. Ten chłopiec nie miał nikogo na świecie, była tego pewna. Był tak samotny jak ona i ojciec. Zapragnęła złagodzić mu związany z tym ból. Nikt tak młody nie powinien być osamotniony i zależniony. Uśmiechnęła się do niego.

- Ależ nie, Jake. Cieszę się, że jesteś tutaj.

Własne słowa wywołały w niej falę tęsknoty, o której sądziła, że została już dawno zapomniana. Skrzyżowała ramiona. Puste ramiona.

Chłopiec stał z opuszczoną głową; kosmyki włosów opadały mu na oczy.

- Dziękuję - powiedział cicho.
- Chodź - odezwał się profesor. - Tu będzie twoje miejsce. - Wskazał krzesło przy stole.

Mariah patrzyła przez dłuższą chwilę na chłopca, potem podeszła do pieca, wrzuciła do rondla jeszcze jeden kawałek kiełbasy i wkroiła dodatkową cebulę.

Ręce jej drżały, serce biło mocno. Po spacerze z Mad Dogiem i teraz, po spotkaniu z tym chłopcem, czuła, że traci kontrolę nad sobą, jak gdyby świat, który tworzyła wokół siebie przez siedemnaście lat, legł nagle w gruzach. Wszystko, czego pragnęła, wszystko, w co wierzyła, powoli, nieodwracalnie ginęło w mroku, stawało się nieznanne, nieprzewidywalne.

Zdarzenia toczyły się zbyt szybko. Pojawiły się uczucia, których nigdy nie doświadczyła, i to ją śmiertelnie przerażało.

Jake siedział przy stole sztywno, z opuszczoną głową. Patrzył na swoje dłonie przyciśnięte do ud. Serce biło mu tak głośno, że nie słyszał nic więcej.

- ...jak długo, Jake? Jake?

Chłopiec uniósł głowę i zamrugał. Siedzący po drugiej stronie stołu Rass ściągnął krzaczaste brwi i uważnie mu się przyglądał.

- Och, przepraszam, co pan powiedział?

- Ja nic nie mówiłem. - Profesor uśmiechnął się. - To Mariah pytała cię, jak długo jesteś w drodze.

Jake spojrzał na kobietę. Stała przy piecu i patrzyła na niego łagodnym macierzyńskim wzrokiem. Poczul się zakłopotany. Ona patrzyła tak... opiekuńczo, zupełnie jak gdyby coś dla niej znaczył, a to wydało mu się absurdalne.

- No... dość długo.

Uśmiechnęła się do niego w taki sposób, że poczuł, jak w jego wnętrzu coś taje. Zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć, ale w tym momencie usłyszał pukanie do frontowych drzwi i zamarł.

Nagle zrozumiał, że nie jest jeszcze gotów na to spotkanie. Miał ochotę ukryć się w cieniu, odsunąć od siebie to, co było nieuniknione. Przecież Mad Dog nie zaakceptuje dawno utraconego syna. Czego ja tu szukam, pomyślał Jake. Przecież ja go wcale nie obchodzę...

- Wydaje mi się, że zamknąłem drzwi. Pójdziesz otworzyć, Mariah? - zapytał Rass.

Chłopiec z nadzieją spojrzał na kobietę. Może ona coś zrobi, żeby powstrzymać Mad Doga przed wejściem do domu.

Przez chwilę myślał, że ona może przeszkodzić temu, co wydawało się nieuniknione. Sprawiała wrażenie równie zdenewrowanej jak on. W końcu jednak nie przeszkodziła. Wytarła ręce w fartuch i wyszła z kuchni.

Jake usłyszał zgrzytnięcie otwieranych drzwi, a potem dudniący głos Mad Doga. Mariah powiedziała coś, czego chłopiec nie dosłyszał, ale głos jej wyraźnie zadrżał.

Po chwili Mad Dog wszedł do ciepłej, przytulnej kuchni. Odchylony do tyłu kapelusz odsłaniał opaloną uśmiechniętą twarz. Mężczyzna miał na sobie podniszczoną czarną koszulę, rozchyloną na piersi. Wyblakłe dżinsy opinały jego długie nogi.

- O, kogo my tu mamy? - powiedział, patrząc w stronę stołu.

Jake zerwał się na równe nogi tak energicznie, że krzesło się zachwiało i z łoskotem runęło na podłogę. Gorący rumieniec pokrył policzki i szyję chłopca. Stał nieruchomo z rękami przyciśniętymi do boków.

Mad Dog zdjął kapelusz i zawiesił go na haku przy drzwiach. Potem przyglądał dłonią długie do ramion, rozjaśnione słońcem włosy i podszedł do stołu. Stukanie jego obcasów o drewnianą podłogę brzmiało w uszach Jake'a jak grzmot, z każdym krokiem coraz głośniejszy.

- Witaj, chłopcze - powiedział mężczyzna, wyciągając rękę na powitanie. - Nazywam się Mad Dog.

Jake czuł, jak zasycha mu w gardle. Patrząc na wyciągniętą w jego stronę rękę, pomyślał, że jego dłoń jest spocona, więc spróbował wytrzeć ją o spodnie, zanim podał ją mężczyźnie.

Mad Dog mocno uściskał drobną dłoń chłopca.

- Nie powiesz mi, jak masz na imię? - zapytał.

Jake uniósł głowę. Gdy spojrział w jego szare oczy, z wrażenia nie był w stanie wykrztusić słowa. Nigdy nie był tak

blisko ojca. Nadszedł moment, o którym marzył przez całe życie, chociaż nigdy naprawdę nie wierzył, że spełni się jego marzenie.

- Jestem Jake - wykrztusił wreszcie, obawiając się, że jeśli powie coś więcej, głos mu się załamie.

Mad Dog próbował cofnąć swoją dłoń, ale Jake ją przytrzymał. Przywarł do dłoni ojca o sekundę za długo, jak gdyby chciał zatrzymać chwilę, na którą tak długo czekał. Wreszcie zmusił się, by rozluźnić uścisk, i uwolnił dłoń ojca.

Mad Dog odwrócił się do niego plecami, zatknął kciuki za pasek spodni i podszedł do kuchennego pieca.

- Co mamy dzisiaj na kolację? - zwrócił się do Mariah.

Chłopiec, patrząc na szerokie plecy ojca, poczuł w sercu ukłucie gniewu. Został zlekceważony, zapomniany.

„O jednym musisz pamiętać, Jake. Twój ojciec, Mad Dog, łatwo o wszystkim zapomina. Taki już jest” - przypomniał sobie słowa matki. Odetchnął głęboko i gniew zaczął ustępować. Wiedział, że nie przyjdzie mu łatwo nawiązanie kontaktu z ojcem, zwrócenie na siebie jego uwagi i zatrzymanie jej na dłużej. Zdawał sobie z tego sprawę od dawna. Matka wielokrotnie mu powtarzała, że jest to człowiek, który nigdy nie przebywa długo w jednym miejscu i nie troszczy się o nikogo poza sobą.

Jake starał się zignorować ból wywołany tymi smutnymi myślami. Przecież wiedział o tym. Matka dawno mówiła mu tym, że ojciec nie jest zdolny do utrzymania stałego związku z kimkolwiek.

„Ale miłość to inna sprawa - powiedziała. - Twój ojciec potrafi na swój sposób kochać, on tylko nie wie, jak wytrwać...”.

Jake zacisnął zęby. „Potrafi kochać” - powtórzył w myślach słowa matki. Przecież tego tylko chciał. To było mu potrzebne. Może to nierozsądne, ale nigdy nie zdołał uwolnić się od

ZAGUBIENI

tego pragnienia. Zamieszkało w jego sercu, gdy tylko po raz pierwszy usłyszał o ojcu, a po śmierci matki stało się jeszcze mocniejsze. Wszystko, czego pragnął, to odrobiny miłości.

Mad Dog siedział naprzeciwko chłopca z nogą założoną na nogę.. Jake tkwił przy stole sztywny jak kołek, a Rass, nieco już senny, opadł na oparcie krzesła. Mariah stała przy zlewie, zmywała naczynia.

Mad Dog nie mógł oderwać od niej wzroku. Zauważał w niej coś nowego, jakąś łagodność, która zastąpiła typową dla niej surowość. Był tym niemal zahipnotyzowany.

Odwróciła się nagle, wytarła dłonie w pomarszczony lniany fartuch i potem opuściła je wzdłuż boków. Patrzyła na Mad Doga szeroko otwartymi oczami. Ich spojrzenia spotkały się.

Wydała mu się niewiarygodnie piękna, a równocześnie bezbronna. Ogarnęło go niebezpiecznie silne podniecenie. Ni stąd, ni zowąd zapragnął ją pocałować. Boże, jakże chciał ją całować...

Zatrzeszczało krzesło Rassa. Stary mężczyzna sięgnął po fajkę i zapalił. Zapach tytoniu wypełnił kuchnię. Smuga dymu na moment przysłoniła twarz Mariah.

- Usiądź, Mariah. Mam dla was pewną propozycję - powiedział profesor, wydmuchując kłęb dymu.

Podeszła do stołu i usiadła obok Mad Doga, unikając jego wzroku. Jej krzesło stało tak blisko, że czuł delikatny zapach wanilii, którym nasiąkło jej ubranie.

- Moglibyśmy w coś zagrać - zaproponował Rass. - Jest taka zabawa w wybory. - Uśmiechnął się do Mad Doga. -Można się z niej nauczyć, jak wybierać prezydenta.

- Hm, to interesujące. - Mad Dog spróbował się uśmiechnąć i nawet mu się to udało.

- No... Nie jestem pewna - powiedziała cicho Mariah. -
Pan Stone prawdopodobnie nie lubi takich gier.

- Nie wszystkie są nudne - zauważył Mad Dog.

Kobieta nie spojrzała na niego, ale wyczuwał, że jest rozczarowana. Wykonała ruch, jak gdyby zamierzała wstać, lecz odruchowo przytrzymała ją za rękę. Pod palcami poczuł jej chłodną, miękką skórę.

Drgnęła i odwróciła głowę w jego stronę; ich twarze dzieliła odległość nie większa niż szerokość dłoni. Usta miała rozchylone.

- Nie powiem, że w ogóle nie chcę grać - rzekł cicho. -
Tylko czy koniecznie w tę grę?

~ A jaką pan nam proponuje?

- Może zagramy w coś bardziej interesującego. Na przykład w pokera?

- Świetny pomysł! - zawołał Rass.

- Doskonale. - Mariah cofnęła rękę, potem wygładziła nieistniejące fałdy sukni. - Zagramy więc w pokera.

Rass odłożył fajkę, oparł łokcie na stole, splótł dłonie i spojrzał na Mad Doga.

- A może zrobilibyśmy coś, żeby ten poker był bardziej...
interesujący?

Mad Dog parsknął śmiechem. Rozbierany poker? W porę ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć tego głośno.

- Co proponujesz?

- Poker drużynowy. Ty i Mariah przeciwko mnie i Jake'owi.

Mad Dog spojrzał na kobietę i się uśmiechnął. Sam nie wymyśliłby nic lepszego.

- A o co będziemy grać?

- O świeże ryby na śniadanie. Zwycięzcy złowią je i usmażą.

- Zwycięzcy? - zdziwiła się Mariah.

- Uważasz, że to zła nagroda?
- Och, nie ma o czym mówić - przerwał jej Mad Dog. Rass uśmiechnął się triumfalnie.
- Znakomicie! - zawołał i poklepał Jake'a po ramieniu. -
Chodź, mój partnerze, omówimy strategię.
Mogą sobie obmyślać strategię aż do rana, pomyślał Mad Dog, a i tak nic im to nie pomoże. Muszę wygrać.
Absolutnie nic nie mogło przeszkodzić mu w spędzeniu poranka z Mariah. Nawet jeśli będzie musiał przy tym łowić ryby.

Poddaję się - powiedział Rass, kładąc karty na stole.
- Ja też - zdecydował Jake.
Mariah spojrzała na dziesięć leżących na stole kart. Miała ochotę je zgarnąć i poddać się bez ujawniania swoich, ale wiedziała, że ojciec zawsze wymagał przestrzegania reguł gry.
Mad Dog rozłożył przed sobą karty.
- Co za niespodzianka. Wygrałem... znów, mimo że macie dwie trójki. A co ty masz? - zwrócił się do Mariah.
Położyła swoje karty i skrzywiła się. Denerwowała się coraz bardziej. Wygrywali z niewiarygodną regularnością. Zaczęła podejrzewać, że ojciec celowo pozwala im wygrywać. A ona koniecznie chciała przegrać.
- Nie mam nawet pary - mruknęła.
- Jesteście dla takich graczy jak my zbyt mocni - stwierdził Rass, odsuwając krzesło i wstając. Przeciągnął się i ziewnął, zasłaniając usta dłonią.
- Nie skończyliśmy jeszcze - zaprotestowała Mariah.
- Skończyliśmy. Wygraliście. - Profesor uśmiechnął się, a potem zwrócił do chłopca: - Jestem zmęczony. A ty, Jake?
- Śmiertelnie,
Mariah spojrzała na chłopca.

- Możesz spać w pokoju gościnnym - zaproponowała. Jake zerknął niespokojnie na Mad Doga.

- Nie, nie, dziękuję. Mam swoje rzeczy w stodole. Mariah ściągnęła brwi i zastanawiała się, co Mad Dog ma wspólnego z decyzją chłopca.

- Dobrze, jeśli tak wolisz...

Rass poklepał swojego nowego pomocnika po plecach.

- Uwielbiam świeże smażone ryby. Tobie też będą smakowały, prawda? - Zerknął na córkę i Mad Doga. - Przyjdziemy na śniadanie o szóstej. Będziecie gotowi?

- Trudno powiedzieć - odparł Mad Dog. - Ryby nie zawsze biorą. Może być ciężko.

- Słyszałam już od ciebie te słowa, tylko nie wiem, czy przed zrywaniem owoców... czy przed czyszczeniem chlewu -zauważyła cierpko Mariah.

Roześmiał się.

- Tam chodziło o pracę. Łowienie ryb to zabawa

- Czyżby? - Uśmiechnęła się kwaśno.

- Uważasz, że nie mam racji?

- Ależ tak. Co może być zabawniejsze niż zrywanie się przed świtem po to, by nadziewać żywe stworzenia na metalowe haczyki.

- Będzie jeszcze ciemno? -zapytał, nachylając się

- Naturalnie. Uśmiechnął się znacząco.

- A więc uwierz mi, Mariah, będzie zabawnie. Poczula lodowaty dreszcz, który przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Wbrew postanowieniu zareagowała jednak na jego słowa.



Mariah siedziała na najwyższym stopniu schodów prowadzących na ganek. Obok niej leżały dwie wędki, wiklinowy kosz i pudełko z przyborami wędkarskimi.

Zamknęła oczy i oparła się o opleciony winoroślą słupek. Zapach przywędłych liści sprawił, że z żalem pomyślała o lecie, kiedy ganek tonął w zieleni, a z poskręcanych pędów zwisały bladofioletowe, dojrzałe grona.

Była jeszcze noc. Na godzinę przed świtem w przyrodzie panowała nienaturalna cisza. Zamilkły świerszcze, nie słyhać było kumkania żab, kryjących się w zaroślach nad strumieniem, ptaki milczały. Nieprzenikniona ciemność pokrywała całunem sad i pola.

Ciszę przerwało ledwie dosłyszalne poświstywanie, a potem odgłos kroków na wysypanej żwirem ścieżce. Poczula skurcz żołądka wywołany trudnym do określenia niepokojem. Uniosła głowę, próbując dostrzec Mad Doga, ale ciemność była nieprzenikniona. Słyszała tylko jego kroki i wyobrażała sobie sylwetkę mężczyzny. Kroki nagle ucichły.

- Kto to widział, żeby wstawać o takiej cholernej porze -

odezwał się Mad Dog nieco ochryłym głosem. - Nie wiem, gdzie jesteś, ale czuję zapach kawy.

- Wzięłam butelkę - powiedziała Mariah.

- I napełniłaś ją kawą? - Była pewna, że się uśmiechnął. - Tequila ogrzewa znacznie szybciej.

Mariah roześmiała się wbrew sobie.

- Nie mam zamiaru rozgrzewać pana, panie Stone.

Ruszył znów w jej stronę. Przymrużyła oczy, starając się przeniknąć wzrokiem ciemność, ale mrok był zbyt gęsty.

Wyczuwała tylko obecność mężczyzny.

- Za późno, Mariah - powiedział głosem tak zmysłowym, że poczuła dreszcz przebiegający jej przez ciało. — Jestem bardziej rozgrzany, niż sobie życzysz.

Ton jego głosu sprawił, że gdzieś głęboko w sercu, tam gdzie od lat nikt nie sięgał, poczuła coś niezwykłego, jakąś iskrę zupełnie jej obcych emocji - pragnienie, pożądanie... nie wiedziała co.

To tęsknota, uświadomiła sobie nagle. Tak, to właśnie ona.

W głębi serca tęskniła za kimś, za czymś. Zawsze tak było.

I nadal tak będzie, pomyślała. Mad Dog, włóczęga, bokser, nie jest mężczyzną, który mógłby zaspokoić tęsknotę mojej duszy. Nie oczekuje ode mnie niczego więcej, niż mógłby

otrzymać od wielu innych kobiet. Poza tym, nie pozostanie tu na tyle długo, by zrozumieć, czego naprawdę pragnę.

Z jakiego powodu ogarnął ją smutek, a potem złość.

- Panie Stone - odezwała się surowym tonem. - Pańskie żarty są dla mnie nie do zniesienia. Mógłby pan zachować je dla kobiet, które lubią słuchać takich dowcipów.

- Wydawało mi się, że ciebie też bawią, Mariah - powiedział po chwili.

- Myli się pan, panie Stone. Bierze mnie pan za którąś z tych kobiet lekkich obyczajów o obfitym... obfitych kształtach, z którymi niewątpliwie spędzał pan wiele czasu.

- Dlaczego sądzisz, że lubię kobiety z dużym biustem?

Mariah natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd.

- Doprawdy nie mam ochoty rozmawiać z panem o tych sprawach, panie Stone.

Mad Dog wszedł na schody.

Mariah czuła, że musi uzbroić się w odwagę, by znieść jego obecność. Mocniej opłótła kolana rękami. Słyszała jego spokojny, równomierny oddech tuż nad swoją głową.

Niebo na horyzoncie nieco pojaśniało. Pierwsze czerwono-złote promienie słońca przełamwały czerń nocy.

Mad Dog powoli ukląkł na jednym kolanie tuż przed nią. Drewniany stopień zatrzeszczał pod jego ciężarem.

- Tak się składa, Mariah, że lubię drobne piersi - powiedział niemal pieszczotliwym szeptem. - Drobne z różowymi sutkami, które stają się twarde, kiedy...

- Przestań! - Zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że kolaniem potrafiła klęczącego przed nią mężczyznę. Mad Dog stracił równowagę, zachwiał się i z łoskotem runął w klomb z kwiatami.

Schylila się, zebrała sprzęt wędkarski i unosząc spódnicę, zbiegła ze schodów. Była już przy pralni, gdy usłyszała jego głos:

- Mariah!

- Słucham? - odpowiedziała, zatrzymując się.

- Tu jest ciemniej niż w piekle i nie mogę się zorientować, gdzie jest strumień.

Zacisnęła ze złością zęby. On ma, oczywiście, rację, pomyślała. Bez mojej pomocy nie trafi nad strumień. Tylko nie pozwól mu zbliżyć się do siebie, upominała się w myślach. Trzymaj się z dala od niego.

- Dobrze, panie Stone, czekam.

Ruszył w jej stronę; słyszała szelest liści pod jego stopami.

- Gdzie jesteś?

- Tutaj.

Podszedł do niej i wziął ją za rękę. Czowała mocny uścisk jego dłoni. Próbowwała się uwolnić, ale nie pozwolił na to.

- Nie chciałbym się zgubić - rzekł ze śmiechem.

Mariah starała się odsunąć od siebie myśl, że dotknięcie jego długich palców sprawia jej przyjemność.

- No dobrze. Chodźmy.

- Tak, chodźmy - szepnął, przyciągając ją do siebie. Gdy prowadziła Mad Doga przez ciemny sad, ogarnęło ją niezwykle podniecenie. Wszystkimi zmysłami chłonęła urok tej szczególnej chwili pomiędzy nocą a dniem. Ciepło męskiej dłoni wydało jej się liną ratowniczą. Od lat nie czowała podobnej więzi z człowiekiem.

Od lat też nie dotknął jej żaden mężczyzna, nawet przelotnie, a teraz pozwoliła wziąć się za rękę. Budziło to w niej nieoczekiwane uczucia - radość, zakłopotanie, lęk. Tłuma- . czyła sobie, że każda kobieta w jej sytuacji odczuwałaby pewne podniecenie. Każda zareagowałaby podobnie na obecność mężczyzny takiego jak on.

Zanim dotarli do strumienia, świt przystroił farmę w żółte i różowe barwy. Promienie słońca przebijały się przez tonący i jeszcze w półmroku sad i rzucały refleksy na spieniony nurt strumienia. Woda pluskała o mulisty brzeg i był to jedyny dźwięk, jaki można było usłyszeć.

Przez ułamek sekundy Mariah wahała się, czy powie dzieć Mad Dogowi, że są już na miejscu. Wiedziała, że wtedy uwolni jej dłoń, a ona poczuje się samotna jak zawsze.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała w końcu, starając się, by zabrzmiało to obojętnie, ale sama wyczuwała w swoim głosie nutę rozczarowania.

Mad Dog po chwili wahania uwolnił jej rękę. Dłoń, na której jeszcze przed chwilą Mariah odczuwała miłe ciepło,

natychmiast ochłodził podmuch zimnego porannego wiatru. Położyła na trawie wędki i pudełko z przyborami.

Mad Dog usiadł z wyciągniętymi przed siebie nogami, oparł się na łokciu i uśmiechnął do niej.

- Zamierzasz tak stać tutaj przez cały dzień? - spytał.

Marian poczuła, że traci resztki pewności siebie. Usiłowała pamiętać, że ten mężczyzna jest nic nieznaczącym włóczęgą, który nie zaoferuje jej nic więcej poza pięknymi słówkami, a potem szybko się pożegna.

Ich spojrzenia spotkały się. Zadziorny uśmiech powoli zniknął z jego warg. Patrzył na nią intensywnie, poważnie.

- Mariah - szepnęła i wyciągnął do niej rękę.

Pomyślała, że powinna się cofnąć, ale nie potrafiła. Gdy położyła dłoń na jego gorącej dłoni, wstrząsnął nią dreszcz. Powoli uklękła.

Proszę - mówiła do siebie w myślach, patrząc mu w oczy - dotknij mnie, zanim przypomnę sobie, że jesteś mężczyzną, którego nigdy nie będę mogła...

Było jednak za późno. Już sobie przypomniwała. Cofnęła drżącą rękę i spróbowała się uśmiechnąć.

- Chcesz się napić kawy? - zapytała.

- Dobrze wiesz, że nie tego chcę.

Zdołała oderwać wzrok od jego wyrazistych oczu i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w swoje kolana

- Nie patrz na mnie w ten sposób.

- W jaki?

- Jak gdybyś czegoś ode mnie chciał.

- Ale to prawda. Chcę...

- Nie! Nie mów tego. Proszę - przerwała mu. Klęczała na

wilgotnej, chłodnej trawie. Suknia i ciepła

bielizna nasiąkały wodą, ale ledwie to zauważyła. Wszystkie jej zmysły skoncentrowane były na mężczyźnie leżącym w niedbałej pozie.

- Intrygujesz mnie, Marian. Czy jest w tym coś złego?

Drgnęła, słysząc te słowa. Niczego innego nie mogła od niego oczekiwać. Dokładnie tego, a nie fałszywych miłosnych wyznań, nawet nie deklaracji pożądania. Proste stwierdzenie faktu: „Intrygujesz mnie”.

Nagle zaczęła się go bać. Potrafiłaby się obronić przed gładkimi słówkami, byłaby w stanie stłumić własne pożądanie, ale jego szczerość była czymś mocniejszym, groźniejszym, czymś, czego nie mogła znieść.

Zamknęła oczy, usiłując odzyskać panowanie nad sobą, znaleźć jakąś broń, która pozwoliłaby jej zachować dystans, opanować pragnienia. Zmusiła się do uśmiechu.

- Panie Stone, czy zawsze musi pan mówić to, co przyjdzie panu do głowy?

- Tak.

Mariah nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, więc milczała. Powoli otworzyła oczy i zobaczyła, że Mad Dog się w nią wpatruje.

Wstrzymała oddech. Wyraźnie słyszała plusk wody, pieszczotliwy szum wiatru. Słyszała oddech mężczyzny, czuła jego zapach.

- Chodź do mnie - szepnął.

Patrzyła mu w oczy i wydało jej się, że świat zaczyna wokół niej wirować. Chciała się cofnąć, odsunąć, ale nie mogła.

Powoli, bardzo powoli nachyliła się ku niemu. Poczowała na szyi dotknięcie jego wilgotnych od rosy dłoni. Kciukiem przytrzymując jej brodę, przyciągnął ją do siebie tak blisko, że poczuła jego oddech na swych zaciśniętych wargach.

Potem ich usta się zetknęły. Gdy poczuła muśnięcie jego języka na dolnej wardze, zaczęła drżeć.

- Mariah - szepnął, nie odrywając od niej ust - Nie!

Cofnęła się gwałtownie, zawstydzona, upokorzona i zdeperowana. Zaciśnęła w pięści drżące dłonie.

- Ja... nie mogę.
- Czego nie możesz?
- Sam wiesz. - Starła się na niego nie patrzeć. Dotknął jej brody, zmuszając ją, by spojrzała na niego.
- Powiedz, co masz na myśli?

Patrzyła w jego pociemniałe nagle oczy i niewiele brakowało, by się załamała. Pragnął jej i świadomość tego była jak iskra rozpalająca ogień w jej ciele.

Poczuła, że traci panowanie nad sobą. Była o krok od utracenia resztek rozsądku. Musiała coś zrobić, by znów jej nie pocałował. Szukała rozpaczliwie jakiegoś pretekstu, który pozwoliłby jej oderwać się od niego. Nagle znalazła wyjście.

- Nie mogę... całować się z mężczyzną, którego imienia nawet nie znam.

Z twarzy zaskoczonego Mad Doga zniknął obiecujący uśmiech. Ściągnął brwi i się cofnął.

Mariah odetchnęła. A więc zmusiłam go do odwrotu, pomyślała. Dzięki Bogu.

- Jesteś w tym całkiem dobra - mruknął.
- W czym? - zapytała, czując niepokój pod jego lodowatym wzrokiem.
- W chronieniu siebie. Przyznaję, że ten pomysł z imieniem był niezły. Ale nie wystarczy... przynajmniej nie na długo.
- Dlaczego nie?

Nachylił się ku niej, jak gdyby znów ją chciał pocałować, ale nie zrobił tego.

- Bo mnie pragniesz.

Poczuła się tak, jak gdyby ktoś nagle zanurzył ją w lodowatej kąpieli. Zerwała się na równe nogi. Przeskoczyła nad leżącym na ziemi sprzętem wędkarskim i odsunęła się od mężczyzny.

- Nie. Wcale nie.

- Jak na kobietę, której jestem obojętny, zareagowałaś raczej gwałtownie - powiedział z uśmiechem.

Odejdź od niego, nakazała sobie w myślach. Odejdź, zanim zrobisz coś głupiego.

Unosząc lekko spódnicę, ruszyła w stronę domu.

- Niech pan sam łowi ryby, panie Stone. Ja mam coś lepszego do roboty - rzuciła przez ramię.

Ściągał ją przez chwilę jego donośny śmiech, a potem długo jeszcze brzmiał jej w uszach. Nie mogła się uwolnić od niego, nie potrafiła go zignorować.

Wbiegła na ganek, energicznym pchnięciem otworzyła drzwi wejściowe i wpadła do tonącej w kojącym półmroku sieni. Dysząc ciężko, usiadła na wyłożonej miękkimi poduszkami ławie. Pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach.

Drżała jeszcze i nie potrafiła tego opanować.

- Och, Boże! - szepnęła.

Czuła na dłoniach wilgotne ciepło oddechu. Ze zgrozą myślała o tym, że tam, nad strumieniem, na moment zapomniała o wszystkim: o przeszłości, o bólu, o przyszłości. Chciała, żeby ją całował. Pragnienie było tak silne, że pozostawiło ją drżącą, słabą i bezbronną.

Stopniowo jej oddech stawał się spokojniejszy; lęk ustępował. Wstała powoli i ruszyła w stronę kuchni, w drzwiach jednak zatrzymała się zaskoczona. Przy nakrytym ceratą stole siedział Jake z opuszczoną, podpartą dłońmi głową. Widać było, że jest smutny, zagubiony i osamotniony. Dokładnie tak samo jak ona.

Serce ścisnęło się jej z żalu. Gdzie byli jego rodzice? Kto troszczył się o tego chłopca, gdy był chory, kto całował go w policzek, kiedy się czymś martwił? Kto cerował mu skarpetki i odpowiadał na tysiące pytań?

ZAGUBIENI

Troska o to dziecko przyćmiła jej własny ból. Bezwiednie ruszyła w jego stronę. Gdy zatrzeszczały deski podłogi, chłopiec drgnął i uniósł głowę.

- Panno Throckmorton...

- Zwracaj się do mnie po imieniu. Mariah. Jake

wyprostował się i opuścił ręce.

- Rass powiedział mi, żebym czekał tu na niego przed śniadaniem.

Mariah napełniła dwie filiżanki parującą aromatyczną kawą i podeszła do stołu. Postawiła jedną przed chłopcem i usiadła obok niego.

- Nie musisz się tłumaczyć, Jake. Cieszę się, że jesteś tutaj.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, a potem westchnął.

- Dziękuję - szepnął.

Mariah wstrzymała oddech. Domyślała się, jak wiele jej proste słowa dla niego znaczą. Myśląc o życiu chłopca, zastanawiała się, czy ma gdzieś swoje stałe miejsce. Potem znów pojawiło się wspomnienie o Thomasie, tej niespełnionej obietnicy życia.

Jake spojrzał na nią i kosmyk brudnych włosów opadł mu na czoło. Zarumienił się i odsunął go ręką.

- Przepraszam - mruknął. - Wiem, że wyglądam niechlujnie, włosy mam za długie...

Jego zawstydzenie wzruszyło Mariah. Zwilżyła językiem wargi i powiedziała:

- Ja... Ja mogę ci je obciąć.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią zaskoczony.

- Oczywiście, ale... - Mariah straciła nagle pewność siebie.

- Ale co?

- Nigdy *nie* strzygłam żadnego chłopca.

Ale powinnam była, pomyślała. Znów na moment smutne wspomnienie wywołało ukłucie w sercu.

- Wiem, że można to robić brzytwą.

Rzeczowa uwaga chłopca wyrwała ją z chwilowego zamyślenia.

- Mam nożyczki - powiedziała.

- O, to chyba będzie jeszcze lepsze. - Uśmiechnął się do niej.

Mariah wyczuła, że ten moment jest dla niego ważny nie mniej niż dla niej, że może stać się początkiem czegoś nowego, chociaż sama bała się w to uwierzyć.

Wstała, napełniła kubek ciepłą wodą i postawiła go na stole.

- Chodź, usiądź tutaj. - Wskazała Jake'owi taboret. - Zaraz przyniosę grzebień i nożyczki.

Poszła do swojego pokoju, wzięła z toaletki grzebień i nożyczki, a kiedy wróciła na dół, chłopiec siedział już na stołku ustawionym pośrodku kuchni.

Obwinęła mu szyję rącznikiem i zwilżyła włosy. Stojąc za nim, zapytała:

- Jak długą fryzurę chciałbyś mieć?

- Mama zwykle obcinała mi włosy tak, że sięgały do kołnierzyka - powiedział cicho, niemal żałośnie. - Podobały jej się raczej długie.

Mariah drżącymi palcami dotknęła jego włosów. Znów zastanawiała się, skąd przybył do nich ten chłopiec. Z tego, co mówił, wynikało, że ma matkę, która obcinała mu włosy, opiekowała się nim.

Przeciągnęła grzebieniem przez splecione kołtuny i wyobraziła sobie, że to włosy Thomasa...

Usłyszała nagle, jak Jake mruknął cichutko, gardłowo.

- Pociągnęłam za mocno? - zapytała, wracając do rzeczywistości.

- Nie, nie - odpowiedział zakłopotany. - Tylko to takie... przyjemne.

- Och. - Mariah uśmiechnęła się. Powoli rozczesała włosy, potem, przygryzając wargę, zaczęła je obcinać na wysokości kołnierzyka.

Chciała coś powiedzieć, nawiązać rozmowę, ale dawno z nikim nie gawędziła, a z dziećmi w jego wieku nigdy. Wyczuwała, że chłopiec czuje do niej sympatię, i nie chciała popsuć tej chwili jakimś nieodpowiednim słowem.

Miała wrażenie, że Jake jest w jakiś sposób do niej podobny. Tak samo osamotniony i załęczniony.

- Jake... - wymówiła jego imię, nieświadoma tego, że odezwała się, dopóki on nie odpowiedział:

- Słucham?

Szukała w myślach jakichś słów, żeby dokończyć rozpoczęte zdanie.

- Ja... zauważyłam, że masz rozdartą koszulę. Mogłabym ją zaszyć.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotów, panno... Mariah. Dziękuję. Odczuła ogromną ulgę. Coś się jednak zaczynało.

- To drobiazg.

Chłopiec najwyraźniej się odprężył, nie był już tak wystraszony, napięty.

- Nie bardzo radzę sobie z igłą i nitką - przyznał cicho. Wydawało jej się, że nawet się uśmiechnął.



Mariah mieszała bulgoczącą w rondlu gęstą owsiankę i patrzyła przez kuchenne okno w stronę oświetlonego wschodzącym słońcem sadu, za którym płynął strumień. Próbowała sobie tłumaczyć, że przecież na nic nie czeka, a zwłaszcza na nikogo, ale nie mogła się powstrzymać przed zerkaniem w tamtą stronę.

- Wystarczy tej szynki? - zapytał Jake, patrząc na nią z wyczekiwaniem.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Chłopiec stał obok niej i starannie kroił szynkę w cieniutkie plasterki. Wyglądał inaczej niż przed godziną. Zdążył się wykapać, a jego umyte i ostrzyżone włosy lśniły w porannym świetle jak miedziana moneta.

Poczuła ucisk w sercu. Przez moment wydawało jej się, że ten chłopiec jest tu od zawsze i pozostanie na zawsze. Szybko opanowała emocje i skinęła głową.

- Wystarczy, Jake. Dziękuję.

- Podsmażyc tę szynkę na patelni? - zapytał.

- Oczywiście - powiedziała, odsuwając się nieco, żeby zrobić mu miejsce.

ZAGUBIENI

Jake wrzucił na rozgrzaną patelnię łyżkę smalcu z cynowej miseczki, a kiedy tłuszcz się roztopił, ułożył starannie plastry szynki.

- Pomagałeś swojej mamie w gotowaniu, prawda?
Kiedy spojrzał na nią, dostrzegła w jego oczach bez graniczny smutek.

- Tak - szepnął.

Mariah zwilżyła wargi i uśmiechnęła się do niego. Delikatnie odsunęła kosmyk włosów opadający mu na oczy.

- Musi być bardzo szczęśliwa, mając takiego syna jak ty,
Chłopiec chciał coś powiedzieć, ale zanim zdążył się odezwać, skrzypnęły otwierane frontowe drzwi. Jake drgnął i cofnął się o krok.

- Przyszedł Mad Dog - powiedział cicho.

Mariah, czując, że serce zaczyna jej mocniej bić, zerknęła w stronę drzwi.

- Usiądź przy stole, Jake. Sama dokończę szykowania śniadania.

Chłopiec wziął filiżankę z wystygłą już kawą i wrócił na swoje miejsce przy stole.

Mariah oddychała ciężko. Uspokój się, mówiła do siebie w myślach. Nie pozwól mu się wyprowadzić z równowagi. To, co zdarzyło się nad strumieniem, nic nie znaczy. Zupełnie nic.

Wiedziała jednak, że okłamuje siebie.

Bojąc się teraz własnej reakcji, odeszła od pieca i postanowiła wyjść z kuchni.

Mad Dog stanął w drzwiach i oparł się ramieniem o framugę.

- Cześć, Jake! - zawołał, dotknął palcami kapelusza i uśmiechnął się do Mariah.

Zawahala się na sekundę, ale po chwili podeszła do drzwi.

- Przepraszam - powiedziała, usiłując precyzyjnie się obok niego.

Mad Dog schwycił ją jednak za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Mruknęła coś w proteście.

- To nic nie da - rzekł łagodnie.

Spojrzała na niego. Uśmiechał się, ale bez cienia kpiny czy ironii.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - rzuciła.

- Nie uciekniesz od tego.

- Tego? -Z przerażeniem zauważyła, że jej pełny napięcia głos zabrzmiał gardłowo.

- Coś nas łączy, Mariah - szepnął Mad Dog.

Próbowała się odsunąć, ale nie pozwolił na to.

- Nic nas nie łączy - oświadczyła. - Nie wiem, co masz na myśli.

- Nie mówisz prawdy.

Zwilżyła wargi. Patrzyła na niego i czuła, że oddycha zbyt szybko.

- Nie chcę, żeby cokolwiek nas łączyło - odezwała się wreszcie.

Patrzył na nią wzrokiem tak smutnym, tak pełnym współczucia i zrozumienia, że przez moment poczuła, że byłaby gotowa mu ulec. Uwolniła jednak rękę z jego uścisku i wybiegła z domu.

Mad Dog patrzył za nią przez chwilę, po czym wszedł do kuchni, napełnił filiżankę kawą i usiadł przy stole.

- Jak się miewasz, chłopcze? - zapytał.

- Do...dobrze. Dziękuję - odparł Jake, krztusząc się kawą.

- Ach, te kobiety! - Mad Dog potrząsnął głową.

.. Chłopiec milczał; siedział nieruchomo, wpatrując się w mężczyznę. Przedłużająca się cisza stawała się kłopotliwa.

... — Boksujesz się czasami? - zapytał wreszcie Mad Dog. Nigdy. -

Jake odstawił filiżankę i patrzył na niego, jak gdyby czegoś oczekiwał.

- : - Lubisz boks?
- Niezbyt.
- A baseball? To cholernie fajna gra. Kibicuję Czerwonym Skarpetom z Cincinnati. A ty masz jakąś ulubioną drużynę?
- Nie.
Mad Dog odstawił filiżankę.
- Na Boga, chłopcze, porozmawiaj ze mną. Powiedz, co lubisz robić.
- Nie wiem. Lubię czytać, rozmawiać, być w domu. Wiesz, takie zwykłe czynności - odparł, wzruszając ramionami.
- Niezbyt pasjonujące zajęcia, chłopcze. - Mad Dog się uśmiechnął. - Czy ojciec niczego cię nie nauczył?
Jake zamarł na moment, potem powoli podniósł się z krzesła.
- Nie. Mój ojciec nie nauczył mnie niczego. Mad Dog zmarszczył czoło.
- Posłuchaj, chłopcze...
Jake nie słuchał; wybiegł z kuchni, zostawiając go samego.
- Jezu Chryste - szepnął Mad Dog. - On jest tak samo zwariowany jak ona.

Mariah szła szybko żwirową ścieżką, prowadzącą do bramy, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Nagle się zatrzymała.

Przed sobą miała furtkę w pomalowanym na biało płocie. Wpatrywała się w nią, próbując uświadomić sobie, jak czułaby się tam, po drugiej stronie. Przecież dawno temu ta furtka nie miała dla niej żadnego znaczenia.

Wyobraziła sobie, że sięga do klamki, naciskają, popycha furtkę...

Poczuła lęk, serce zaczęło jej mocniej bić, oddech stał się szybszy. Odwróciła się od płotu i pobiegła w stronę sadu.

Może jutro, pomyślała, może jutro nie zawaham się i będę w stanie wyjść...

Wiedziała, że są to próżne obietnice. Nie miała ochoty opuścić farmy już od lat, od dnia, kiedy wróciła tu upokorzona, i okryta wstydem. Ciężarna. Wtedy to zamknęła za sobą bramę i próbowała zapomnieć o świecie otaczającym bezpieczną farmę. Nigdy nie zamierzała pozostać tu na zawsze, ukrywać się, ale wkrótce okazało się, że nie ma siły opuścić tego miejsca.

Zacisnęła oczy. W jej pamięci odżył moment, kiedy opuszczała farmę. Miała wtedy szesnaście lat, była pełna entuzjazmu i marzeń.

Stephen.

Uklękła na wilgotnej od rosy trawie i pochyliła głowę, zbyt słaba, by odsunąć od siebie wspomnienia tamtych dni.

Tego wieczoru, kiedy poznała Stephena, pojechała z rodzicami do miasta na przedstawienie *Romea i Julii*. Sztukę wystawiała wędrowna trupa europejskich aktorów.

Stephen, oczywiście, występował w roli Romea.

Nie mogła oderwać od niego oczu. Dominował na scenie i był olśniewająco przystojny. Kiedy się do niej uśmiechnął, miała wrażenie, że rozplywa się ze szczęścia. Nikt nigdy nie patrzył na nią tak jak on, nikt nie uśmiechał się do niej w ten sposób.

Wyraźnie pamiętała tamten wieczór. Tysiące gwiazd migotało na letnim niebie. Po przedstawieniu szła powoli w stronę mostu, wypatrując rodziców. Minęło sporo czasu, zanim się zorientowała, że odjechali do domu bez niej.

Jeszcze teraz poczuła ukłucie bólu na to wspomnienie. Wiedziała przecież, podobnie jak teraz, że ją kochali. Siebie nawzajem kochali jednak bardziej.

Pamiętała, że usiadła na drewnianej poręczy mostu i czuła się rozpaczliwie samotna. Przycisnęła dłonie do szorstkich

ZAGUBIENI

belek, patrzyła w rozgwieżdżone niebo i powstrzymywała napływające do oczu łzy.

„Co taka śliczna dziewczyna robi tutaj sama?”. Mariah nadal pamiętała jego ciepły głos z nieznacznym irlandzkim akcentem.

Jaki przystojny był ten Stephen. Taki czarujący, uwodzicielski, Dwudziestodwuletni aktor, wesoły, delikatny. Dla szesnastoletniej dziewczyny stał się uosobieniem wszelkich marzeń. Czuła się wtedy samotna, spragniona miłości. Kiedy wyszeptał jej do ucha słowa „kocham cię” i pocałował, była stracona.

Uśmiechnęła się gorzko. Gdyby nie uległa jego urokowi albo gdyby on okazał się inny...

Otworzyła oczy. Próbowwała odsunąć od siebie te długo tłumione wspomnienia, ale brakowało jej sił.

Zakochała się tak łatwo i tak niewiele chciała otrzymać w zamian za to uczucie.

Boże, nie pozwól mi popełnić tego samego błędu, modliła się w myślach. Daj mi dość sił, by...

Położyła się na chłodnej, wilgotnej trawie i zamknęła oczy. Czuła na twarzy ciepło promieni słonecznych. Była bliska zaśnięcia, gdy usłyszała czyjeś kroki. Uniosła głowę i rozejrzała się.

Początkowo widziała tylko ciemną sylwetkę na tle słońca, potem dostrzegła kapelusz i uśmiechniętą twarz. Dreszcz przebiegł przez jej ciało.

Mad Dog!

Uniosła się na łokciach.

- Nie, nie wstawaj - powiedział i usiadł obok niej.

W pierwszym momencie miała nieprzepatą ochotę, by zerwać się i uciec, ale z jakichś powodów nie mogła się poruszyć. Kiedy położył się na trawie obok niej zdołała tylko odsunąć się nieco.

- Zapytaj mnie o coś, Marian - powiedział. - O cokolwiek chcesz.

- Skąd przyszło ci do głowy, że mogę mieć do ciebie jakieś pytania?

- Na pewno masz.

- A co będzie, jeśli będą one zbyt osobiste?

- Niczego nie ukrywam.

Odważyła się na niego spojrzeć. Leżał rozciągnięty obok niej z rękami pod głową, nogami skrzyżowanymi w kostkach.

- Każdy ma jakieś zbyt osobiste sprawy, o których nie chciałby rozmawiać - powiedziała.

- Ja ich nie mam, Mariah. Powiem ci wszystko, co chciałabyś wiedzieć.

- Dlaczego?

- Po prostu nie mam żadnych sekretów - odparł, wzruszając ramionami.

- No dobrze. Mówiłeś, że nigdy nie kłamiesz. Co wobec tego uważasz za swój największy grzech? - zapytała, wpatrując się w jego profil.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Większość ludzi uważa, że grzeszy, kłamiąc. Co więc jest twoim największym grzechem?

- To, że odchodzę.

- To nie jest grzech. - Zmarszczyła czoło

- Grzechem jest sposób, w jaki to robię. - Mad Dog odwrócił się w jej stronę.

Mariah znów położyła się na wznak i patrzyła w niebo. Milczeli, jak gdyby oboje zastanawiali się nad jego słowami.

„Sposób, w jaki to robię”. Wstrząsnął nią dreszcz, chociaż było coraz cieplej. Te słowa zabrzmiały dla niej jak ostrzeżenie. Jak gdyby chciał jej dać do zrozumienia, że nie powinna oczekiwać z jego strony niczego dobrego.

Tylko dlaczego miałby mnie ostrzegać? Dlaczego w ogóle mogło go obchodzić to, czego oczekuję?

- Jak zawsze zaskakujesz mnie swoją szczerością - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Nigdy nie będę cię okłamywał, Mariah - stwierdził. -A teraz moja kolej na zadawanie pytań - dodał po chwili.

- Nie przypominam sobie, że bym zgodziła się wziąć udział w tego rodzaju grze.

- To nie jest gra. To się nazywa rozmowa.

- Och, dobrze już. Pytaj więc... ale żeby nie było to zbyt osobiste pytanie.

- Dlaczego nie opuszczasz farmy?

Pytanie zaskoczyło ją. Zamarła w pierwszym momencie, ale wbrew oczekiwaniu nie była dotknięta tymi słowami. Przeciwnie, odczuła pewną ulgę. Nikt dotąd nie zadał jej takiego pytania, a w głębi duszy sama pragnęła znać na nie odpowiedź.

Udawiała przed sobą, że nie ma to żadnego znaczenia, ale bała się spojrzeć prawdzie w oczy. Zastanawiała się, czy gdyby choć raz zdołała odpowiedzieć na to proste pytanie, coś by się w jej życiu zmieniło. Może jeśli potrafiłaby rozmawiać z kimś o tej zaczarowanej bramie, byłaby w stanie któregoś dnia ją otworzyć. A nikt lepiej nie nadawał się do tej rozmowy niż człowiek, który nie wiedział o jej przeszłości.

Odetchnęła głęboko i spróbowała powiedzieć to, o czym tak długo milczała.

- Kiedy byłem młodsza., znacznie młodsza, nie bałam się niczego. Tak się wtedy złożyło, że... - „Zakochałam się w nic niewartym człowieku i uciekłam z nim”, dokończyła w myślach.

Próbowała rozpaczliwie wyrzucić to z siebie, ale nie potrafiła zdobyć się na szczere wyznanie. Na Boga, nie mogła

wymówić tych słów, nawet wobec włóczęgi, dla którego nic przecież nie znaczyły, wobec człowieka, który nie miał prawa jej osądzać.

Zacisnęła dłonie w pięści, usiadła i wbiła wzrok w swoją podniszczoną spódnice.

- ...zawędrowałam aż do Walla Walla. - Uśmiechnęła się. Przynajmniej to nie jest kłamstwem, pomyślała. - Potem wróciłam do domu - dokończyła.

- W Walla Walla coś się zdarzyło?

- Tak. Zdarzyło się. - Jej głos był tak martwy jak jesienne liście leżące na ziemi.

Mad Dog odwrócił się w jej stronę i spojrzał na nią z zaskakująco poważnym wyrazem twarzy.

- Wiem, że nie masz do mnie zaufania, ale jeśli kiedykolwiek zechcesz ze mną o tym porozmawiać...

Wzruszyła ją ta propozycja. Nigdy nie spotkała się z czymś takim. Miała ochotę nachylić się ku niemu. Ich twarze były tak blisko, że wystarczyło, by poruszyła się nieznacznie, a ich usta mogłyby się połączyć w pocałunku. Szybko jednak dziewczęcą lekkomyślność pokonał lęk dojrzałej kobiety.

- Myliłam się - odezwała się Mariah po chwili milczenia.

- W czym się myliłaś? - zapytał, ściągając brwi.

- Jestem niesprawiedliwa w stosunku do ciebie. Źle cię traktowałam z powodu kogoś innego.

- Kogoś, kto cię skrzywdził?

- Tak. Był pod pewnymi względami podobny do ciebie, ale nie aż tak, jak początkowo sądziłam.

- Był bardziej przystojny, czarujący?

Jego uśmiech podziałał na nią obezwładniająco. Dotknij go, spróbuj chociaż, podpowiadał jej wewnętrzny głos.

- Mów dalej - zachęcił ją Mad Dog łagodnie. - W czym przypominam ci tamtego mężczyznę?

ZAGUBIENI

- Ty też... odejdiesz - odpowiedziała po chwili wahania.

Uśmiech zniknął z jego twarzy; patrzył na nią z niezwykłą u niego powagą. Ich spojrzenia się spotkały. Oczy mężczyzny były ciepłe, pełne obietnic. Serce zaczęło jej szybciej bić. Nagle zapragnęła, by jej dotknął. Chciała wyciągnąć dłoń i delikatnie pogładzić jego szorstki policzek. Obiecaj mi, prosiła go w myślach, nawet jeśli potem nie dotrzymasz danej mi obietnicy.

- Masz rację - powiedział. - Odejdę.

Chociaż mogła oczekiwać tych słów, poczuła bolesne ułknięcie w sercu. Zamknęła oczy. Jak mogłam być tak naiwna, by spodziewać się mile brzmiącego kłamstwa, pomyślała, a tym bardziej oczekiwać od tego człowieka czegoś więcej niż uśmiechu czy pocałunku.

- Dziękuję ci. Przynajmniej za to - szepnęła.

- Otwórz oczy, Mariah, i spójrz na mnie.

Posłuchała go. Jego twarz była tak blisko, że widziała drobne zielone plamki, które przyciemniały szare oczy.

- Patrzysz na to wszystko w niewłaściwy sposób - rzekł cicho.

- Co masz na myśli?

Wyciągnął rękę i wyjął spinkę z jej włosów. Nie cofnęła się, a on wyjmował spinki jedną po drugiej, aż włosy, uwolnione z węzła, opadły na ramiona i trawę wokół jej głowy. Mad Dog głaskał je delikatnie.

Milczenie stawało się coraz cięższe, intensywniejsze. Mariah jak zahipnotyzowana śledziła wzrokiem ruch jego palców.

- Mariah - szepnął, patrząc jej w oczy.

Poczuła szorstkie, a zarazem delikatne dotknięcie. Świadomość obecności tego mężczyzny stała się niemal bolesna. Wszystkie jej zmysły napięte były do ostatnich granic. Zwykle

dotknięcie jej warg źdźbłem trawy obudziło drzemiące gdzieś w głębi serca wspomnienia i pragnienia.

- Mógłbym dać ci chwilę, jakich nigdy nie zaznałaś - powiedział cicho. - I nikt nie musi o tym wiedzieć -dodał.

Mariah stała przy oknie swojej sypialni i patrzyła na biały dom dla pracowników. Splotła ręce, próbując bezskutecznie chronić się przed wewnętrznym chłodem.

„Mógłbym dać ci chwilę, jakich nigdy nie zaznałaś”.

Po raz setny zdawało jej się, że słyszy śmiałą, może nawet beczelną propozycję Mad Doga. Te słowa ścigały ją nieustannie, krusząc pancerz, za którym się kryła.

Ilekcroć pojawiały się w jej myślach, ogarniał ją zarazem żar i chłód, lęk i ożywienie. Czowała się, jak gdyby zanurzona w toni swoich pożądań, z trudem utrzymywała głowę na jej powierzchni po to tylko, by złapać oddech.

- On odejdzie - szepnęła, patrząc na swoje niewyraźne odbicie w szybie.

Nieustannie, od wczoraj, powtarzała sobie w myślach te słowa. Początkowo brzmiały zdecydowanie i stanowiły dla niej pociechę. Teraz jednak z każdą minutą brzmiały słabiej.

„Mógłbym dać ci chwilę, jakich nigdy nie zaznałaś. I nikt nie musi o tym wiedzieć”.

Zdumiewające, jaką nieodpartą siłę miały te słowa. Jak ostry nóż wdzierały się w świadomość Mariah, wypełniały ją uczuciem oczekiwania. Kusily, intrygowały.

Nigdy nie przypuszczała, że tak proste zdania mogą ją aż tak oczarować.

Tak jednak było. Nikt nie mógłby jej zarzucić, że zachowała

się niestosownie wobec Mad Doga. O tym, co dzieje się pomiędzy nimi, wiedziała tylko ona.

Wtedy było inaczej. O jej namiętności, a potem o złamanym sercu wiedzieli wszyscy.

„Nikt nie musi o tym wiedzieć”.

Wstrząsnął nią dreszcz.



Mad Dog wrzucił dojrzałe jabłko do skrzynki z napisem „czerwone”. Potem spojrzawszy na chłopca zrywającego owoce z sąsiedniej jabłoni. Z jakiegoś powodu czuł się niezręcznie z powodu tego, co rano zdarzyło się w kuchni.

- Hej, chłopcze! - zawołał, wrzucając do skrzynki następne jabłko.

Jake przerwał pracę i spojrzawszy na niego spomiędzy gałęzi.

- Słucham?

- Chodzi o to, co zaszło dziś rano... - Mad Dog nie bardzo wiedział, jak dokończyć rozpoczęte zdanie. - Przykro mi, jeśli powiedziałem coś, co cię dotknęło.

Jake patrzył na niego przez dłuższą chwilę, potem się uśmiechnął.

- Mnie też jest przykro. Zachowałem się raczej... głupio.

- Każdemu się to czasem zdarza. - Mad Dog się roześmiał i machnął do chłopca. - Zejdź, zrobimy sobie przerwę.

Jake zszedł z drabiny, ostrożnie ułożył zerwane owoce w skrzynce z napisem „prawie czerwone”, po czym poszedł za Mad Dogiem w stronę płotu.

ZAGUBIENI

Mad Dog sięgnął po manierkę, opartą o słupek ogrodzenia, i wypił spory łyk zimnej wody.

- Tego mi brakowało- powiedział, wręczając ją chłopcu. - Oczywiście, byłoby lepiej, żeby była to tequila, ale cóż... jak się nie ma, co się lubi... - Przerwał, widząc, że Jake patrzy na niego niespokojnie. - Nie bierz tego zbyt poważnie, chłopcze. To tylko takie gadanie- do końca.

Chłopiec wypił łyk wody, otarł usta i z przejściem przyglądał się mężczyźnie.

- Jesteś bokserem, prawda? - zapytał.

- Tak. - Mad Dog się uśmiechnął. Przyglądał włosy i rozpiął koszulę. Popołudniowy wiatr chłodził jego spoconą pierś. - Widziałeś pewnie, jak walczę.

Jake zbliżył się. Manierka wyslizgnęła mu się z dłoni i upadła na trawę. Czyżby podejrzewał, że go śledzę? - pomyślał.

- Chodzisz czasami na mecze bokserskie? - zapytał Mad Dog, zdziwiony reakcją chłopca.

- Czasami.

- Niektórzy ludzie uważają, że jest to, w pewnym sensie, szlachetna walka.

- Ty tak nie uważasz?

Mad Dog sięgnął po wiszący na płocie ręcznik i wytarł nim czoło.

- Nie ma nic szlachetnego w biciu drugiego człowieka, chłopcze.

- Wobec tego dlaczego to robisz?

- Dla pieniędzy. - Mad Dog usiadł na trawie i leniwie rozgarniał palcami pożółkłe jesienne liście. - Dla pieniędzy ludzie gotowi są zrobić niemal wszystko.

- Mój dziadek mawiał, że mężczyzna powinien w tym, co robi, kierować się honorem.

Mad Dog prychnął lekceważąco.

~ O tak, znam ludzi, którzy powtarzają takie głupstwa. Żaden z nich nigdy nie poszedł spać bez kolacji. Jake z wahaniem usiadł na ziemi obok Mad Doga.

- Tobie się to zdarzało, prawda?

- Częściej, niż ci się zdaje.

- Również wtedy, kiedy byłeś dzieckiem? Myślę, że to by tłumaczyło...

- Zadajesz mi zbyt wiele pytań. - Mad Dog przerwał, zerkając na niego.

Chłopak zarumienił się; oczy zalsniły mu, jak gdyby napłynęły do nich łzy.

- Przepraszam. - Odwrócił głowę.

- Och, na Boga, nie bądź laki przewrażliwiony. Chciałem tylko powiedzieć, że są takie sprawy, o których nie lubi się rozmawiać. Takie, o których i ja nie lubię mówić. - Mad Dog uśmiechnął się do chłopca i dodał: - Lepiej powiedz mi coś o sobie. Skąd pochodzisz?

- Z Wisconsin.

- Och - mruknął Mad Dog. Ta nazwa wiele mu mówiła.

- Mój dziadek miał na imię Jacob. - Chłopiec uniósł głowę i patrzył na Mad Doga oczami, które wydawały się ogromne w jego drobnej twarzy. - Znałeś kogoś, kto się tak nazywał?

Mad Dog uśmiechnął się gorzko. Od wielu lat nie myślał o starym Jacobie Vanderstagu.

- Tak, znałem przed laty jednego takiego faceta. To był stary mądrała. Chciał, żeby każdy żył według jego zasad. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto miałby ich aż tak wiele.

- Jak go poznałeś?

Mad Dog oparł się o płot. Dziesiątki dawno zapomnianych obrazów ożyło w jego pamięci. Laralee. Potrząsnął głową. Ile to czasu minęło, kiedy ostatni raz o niej pomyślał.

- Znałem jego córkę.

ZAGUBIENI

- Lubieś ją?
- Może nawet coś więcej. Ciekawy jestem, co się z nią dzieje.
- Była twoją żoną?
- Prawie, - Mad Dog uśmiechnął się do chłopca. - Ale w pewnym momencie umknąłem.
- Wróciłeś, żeby się z nią zobaczyć?
- Nie. - Mężczyzna oparł ręce na górnej żerdzi płotu i patrzył w niebo. - Była bogata i cholernie rozpieszczona. Jej ojciec uważał mnie za próżniaka, którego może uratować tylko ciężką praca w jego rodzinnym przedsiębiorstwie. - Nachylił się do Jake'a i uśmiechnął się. - Czy wiesz, jakie to było przedsiębiorstwo?
- Jakie? - zapytał chłopiec z taką miną, jak gdyby miał ochotę się uśmiechnąć.
- Zakład pogrzebowy. - Mad Dog skrzywił się. - Ten stary człowiek liczył na to, że będę prowadził tę firmę, jeśli się ożenię z jego śliczną córką. To nie była robota dla mnie, a oni stawiali sprawę jasno: jeśli ożenię się z Lara-lee, natychmiast zaczną się uczyć balsamowania ciał. Co miałem robić? Długo jeszcze myślałem o tym, co się z nią stało.
- Mogłeś wrócić i się o tym przekonać - powiedział Jake z dziwną goryczą w głosie.
- Po co? - Mad Dog wzruszył ramionami. - Na pewno nie zechciałaby spotkać się ze mną po tym, jak uciekłem. Uwierz mi, chłopcze, kobiety są uparte w takich sprawach.
- Założę się, że chciałyby się z tobą zobaczyć. - Głos chłopca brzmiał dziwnie smutno.
- Może - mruknął Mad Dog, odrywając wzrok od jego twarzy. Wydawało mu się, że w oczach Jake'a zobaczył jakiś głęboko skrywany ból. Próbował się przekonywać, że nie ma

to żadnego znaczenia, że nie powinno go to obchodzić, ale mimo to poczuł się niezręcznie. Zmusił się, żeby nie spojrzeć ponownie na chłopca. Czuł się zawstydzony... Zupełnie, jak gdyby sprawił mu przykrość.

Przecież to nie ma sensu, pomyślał. Nie łączy mnie z nim nic poza tym, że obaj przypadkowo trafiliśmy na tę samą zagubioną na pustkowiu farmę.

Poza tym, tłumaczył sobie, co ja wiem o szesnastoletnich chłopcach? Może wszyscy są tacy przewrażliwieni i smutni. Zwłaszcza po całym dniu pracy. Sięgnął po manierkę, wypił spory łyk wody i poklepał Jake'a po ramieniu.

- No dobrze, chłopcze. Wracajmy do pracy. - Powoli wstał i ruszył w stronę jabłoni.

Cały czas czuł na sobie wzrok chłopca, który jak gdyby milcząco go o coś pytał. Było to cholernie irytujące.

Rass siedział przy grobie żony, z dłońmi opartymi o chłodną kamienną płytę.

Zamknął oczy, wstrzymał oddech. Czekał na powiew wiatru, który przyniesie mu zapach lawendy. Tym razem się nie doczekał, a bez tego sygnału czuł się rozpaczliwie samotny.

Mój Boże, jakże on za nią tęsknił.

- Przestań się zadrećzać, stary człowieku - mruknął i weschnął ciężko.

Wiedział, że nie powinien, zwłaszcza teraz, pograżać się w smutku, jaki dręczył go od śmierci żony. W tym momencie, bardziej niż kiedykolwiek, powinien być silny. Potrzebny był córce. Nie mógł pozwolić, by znów popadła w stan odrętwienia.

- Nie jest już z nią tak źle - powiedział głośno, czerpiąc odrobinę pociechy z tych słów. Tym razem była to prawda, a nie tylko próba złagodzenia swej winy.

ZAGUBIENI

Tak, zmieniła się nieco. Nie była już tak surowa, sztywna. Nawet kok upinała nieco luźniej. Uśmiechała się do Jake'a, czasem też do Mad Doga,

Wykonała już pewien nieśmiały krok w stronę uzdrowienia.

Teraz tylko należało ją popchnąć we właściwym kierunku, tak nią pokierować, by postawiła następny krok. Rass wiedział, że musi to zrobić niezwłocznie. Instykt podpowiadał mu, że czasu ma niewiele.

Tylko jak się do tego zabrać? To pytanie przywiodło go do grobu Grety. Jak zmusić Mariah i Mad Doga, żeby zobaczyli to co on już wyraźnie widział?

Usłyszał nagle dobiegający od strony sadu głośny śmiech. Przypomniawszy sobie, że Mad Dog i Jake zrywają tam jabłka. Chyba się zaprzyjaźnili, pomyślał.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Uśmiechnął się do siebie.

- Co o tym myślisz, Greto? - zapytał. - Czy nie uważasz, że dobrze to obmyśliłem? Trzeba ich na jakiś czas zostawić samych...

Tym razem powiew wiatru poruszył zeschnięte liście i przyniósł zapach rozgrzanej słońcem ziemi oraz lawendy.

Tak. To była odpowiedź.

Rass pożegnał się z żoną i pogwizdując cicho, ruszył w stronę sadu. Po chwili, kiedy znalazł się w cieniu jabłoni, usłyszał jakiś szelest nad głową. Spojrzał w górę i zobaczył Jake'a. Chłopiec, usadowiony wysoko pomiędzy konarami drzewa, ostrożnie zrywał owoce, Mad Dog stał przy sąsiedniej jabłoni i wrzucał jabłka kolejno do różnych skrzynek.

Rass potrząsnął głową. Całe szczęście, że to szczerzy, sympatyczny człowiek, pomyślał, bo jako pomocnik do pracy w sadzie okazał się do niczego.

- Widzę, że próbujesz od razu zrobić przecier jabłkowy - powiedział, wyłaniając się spod gałęzi drzewa.

Mad Dog odwrócił się raptownie, słysząc głos chlebobdawcy.

- O, cholera. Przepraszam, Rass.

- Nie szkodzi. Mnie też się wydaje, że tych zasad przy zbieraniu jabłek jest zbyt wiele.

Mad Dog sięgnął po wiszący na płocie kapelusz, włożył go na głowę i się uśmiechnął.

- Łamanie reguł to moja specjalność. W niczym innym nie jestem tak dobry.

Jake zszedł z drzewa i podszedł do starszego pana.

- Dzień dobry - powiedział, potem starannie ułożył zerwane owoce w skrzynce z napisem „prawie czerwone” i sięgnął po manierkę.

- Jak się masz, Jake - odparł Rass. - Wybieram się w paru sprawach do miasta. Umiesz powozić?

- Oczywiście. Często woziłem mamę do doktora.

- To świetnie. Pobiegnij na pastwisko i przyprowadź Cleo. Jest cała czarna. Nie pomylisz się.

Chłopiec nacisnął czapkę na głowę i ruszył w stronę ogrodzonej łąki, położonej na tyłach stodoły. Rass i Mad Dog patrzyli za nim.

Milczeli obaj przez dłuższy czas, Nad horyzontem wisiały krwawoczerwone obłoki. Profesor zamyślił się. Ogarnęła go fala wspomnień rozgrzewających chłodne zakątki serca.

- Greta uwielbiała tę porę dnia - powiedział cicho. - Mówiła, że godziny na granicy dnia i nocy są magiczne.

- Musiała być niezłą babką... Och, przepraszam cię, Rass.

- Nie ma za co.

Znów zamilkli. W gałęziach drzew zaćwierkał ptak. Wiatr szeleścił liśćmi. Słysząc było kumkanie żab, dobiegające z zarośli nad strumieniem.

- Nigdy nie pomyślałem, że ona może umrzeć.

Mad Dog w milczeniu uściśnął go za ramię.

Rass wpatrywał się w sad. Czuł obecność żony obok siebie. Zaciśnął dłoń i wydawało mu się, że trzyma w niej jakąś część jej duszy. Ona zawsze była w zasięgu jego ręki, a to dawało mu siłę i spokój.

- Czasami, kiedy stoję tam na wzgórzu, pod drzewem, widzę ją. Ona na mnie czeka.

Mad Dog przestąpił z nogi na nogę i odwrócił głowę.

- Czujesz się niezręcznie, prawda? - zapytał go Rass.

- Poniekąd - odparł Mad Dog.

- Wiem, że mi nie wierzysz. Tak samo jak Mariah. To dlatego, że nigdy nie byliście zakochani.

- Ja z pewnością nie, profesorze.

- Któregoś dnia zrozumiecie moje uczucie do Grety i wtedy uwierzycie. Taka miłość nigdy nie mija, nawet jeśli jedno umrze.

- Podejrzewam, że nie każdego stać na takie uczucia. Nie założyłbym się, że mnie to spotka.

A ja bym się założył, pomyślał starszy pan. Odchrząknął i spojrzał na Mad Doga. Nadszedł czas, żeby powiedzieć to, z czym tu przyszedł.

- Zaopiekujesz się Mariah w czasie mojej nieobecności?

Mad Dog roześmiał się.

- A jak długo będziesz nieobecny?

- Czy to ma jakieś *znaczenie*? - Rass ściągnął brwi.

- Naturalnie. Jeśli zamierzasz wrócić po kolacji, no... może nawet rano, to powiem tak. Ale jeśli nie będzie cię do wiosny, to radzę ci znaleźć kogoś innego.

- Myślałem, że ją polubiłeś.

- To prawda, polubiłem, ale co to ma do rzeczy?

- Byłby to wystarczający powód, żeby zostać. Bądź co bądź nadal tu jesteś!

- Nie zapłaciłeś mi jeszcze. Rass przez chwilę uważnie przyglądał się Mad Dogowi.

Młody mężczyzna usilnie starał się sprawiać wrażenie obojętnego, ale nie potrafił ukryć swoich uczuć. W jego oczach Rass dostrzegł to, co chciał zobaczyć: Mad Dog wcale nie był tak obojętny, za jakiego chciał uchodzić.

Profesor sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z nich portfel, potem wręczył Mad Dogowi dziesięciodolarowy banknot.

- Proszę bardzo. Płacę ci... i to więcej, niż jestem ci dłużny za tydzień pracy. No i co, zamierzasz teraz odejść?

Mad Dog przez chwilę patrzył na banknot, a potem spojrzął na Rassa.

- Nie - odrzekł.

- Dlaczego?

- Myślę, że nie jestem jeszcze gotowy, żeby odejść.

- I nie ma to nic wspólnego z moją córką? Mad Dog

westchnął i przygładził dłonią włosy.

- Chciałbym, żeby tak było, profesorze.

- Ale nie jest.

- Tak, to prawda. - Mad Dog spojrzął poważnie w oczy Rassa.

- Nie przywiązuj do tego zbyt wielkiej wagi. Nie należę do ludzi, którzy zostają w jednym miejscu na dłużej.

- Może tym razem będzie inaczej.

- Słyszałem te słowa od wielu kobiet, ale jakoś nigdy się nie sprawdziły.

Profesor chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz doszedł do wniosku, że nie jest to najlepszy moment.

- Jadę do miasta na parę godzin. Myślę, że zjem kolację razem z Jakiem w chińskiej restauracji. Nie chciałbym zostawiać Mariah samej, wiesz, na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty.

- W porządku, Rass. Będę miał na nią oko.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - Rass poklepał go po plecach.

ZAGUBIENI

Mad Dog roześmiał się.

- To pierwszy taki przypadek w moim życiu - powiedział.
- Nie rozumiem.
- Nikt do tej pory na mnie nie liczył, profesorze.
- Już ci mówiłem, że może tym razem będzie inaczej. Rass
spojrzał jeszcze raz na Mad Doga, potem odwrócił się i odszedł.



Wracając z sadu, Mac Dog rozglądał się za Mariah, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Prawdopodobnie ukryła się gdzieś, uważając, że pod nieobecność ojca powinna trzymać się z dala od niego.

Nie zdziwiło go to.

Wziął ze swojego pokoju ręcznik i mydło i poszedł do domu, żeby się wykąpać. Zastukał głośno w drzwi wejściowe, chociaż nie oczekiwał odpowiedzi. Mariah zawsze starała się być poza domem w porze, kiedy korzystał z łazienki.

Nikt nie odpowiedział.

Sięgnął do mosiężnej klamki i otworzył szeroko drzwi. Zawiasy zazgrzytały.

Wszedł do mrocznej sieni i zapalił lampę. W domu panowała grobowa cisza. Przy schodach Mac Dog zawołał:

- Mariah! Jesteś tam? Idę do łazienki wziąć prysznic.

Znów nikt nie odpowiedział.

Odwrócił się od schodów i nagle znieruchomiał.

Tam na górze jest pokój Mariah, pomyślał. W odległości zaledwie paru kroków znajduje się jej tajemnicze sanktuarium. Gdzieś tam, pomiędzy jej osobistymi rzeczami, leży zapewne

jakiś drobiazg, który mógłby wyjaśnić smutek w oczach tej kobiety i gorycz jej uśmiechu.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszył schodami w górę. Na korytarzu zatrzymał się i rozejrzał. Wszędzie było ciemno i pusto.

- Mariah! - zawołał, mając nadzieję, że nie odpowie.

Stał przed drzwiami jej sypialni, ostrożnie nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Pokój, umeblowany oszczędnie, surowo, oświetlony był tylko promieniami zachodzącego słońca. Nie ozdabiał go żaden bukiet świeżych kwiatów, na meblach nie było koronkowych serwetek. Wielkie łóżko z baldachimem pokrywała starannie wygładzona narzuta, biała jak świeży śnieg. Nic nie wskazywało na to, że w tym pokoju mieszka kobieta.

Poczuł się, sam nie wiedząc dlaczego, zawiedziony.

Jego wzrok przyciągnęła toaletka. Powoli, czując się niezręcznie, podszedł do niej. Na toalecie stała tylko pęknięta porcelanowa miseczka pełna spiniek i szczotka do włosów. Żadnych ozdóbek, żadnych zdjęć czy pamiątek. Nie było zasuszonych kwiatów, bukiecika po dawnym romansie.

Ostrożnie otworzył górną szufladę, lecz znalazł w niej starannie ułożoną bieliznę. Podobnie wyglądały następne. Dopiero w najniższej zobaczył coś, co go zainteresowało: starannie złożony w kwadrat, cienki niebieski kocyk o brzegach ozdobionych wyhaftowanymi żółtymi i zielonymi kwiatkami i puszystymi jagniątkami. Pod kocykiem zobaczył staromodną butelkę do karmienia niemowląt i zmatowiałą srebrną grzechotkę.

Przyszło mu na myśl, że wykonanie tych haftów musiało zająć komuś wiele czasu. Zrobiła to zapewne Greta, oczekując urodzenia dziecka, a Mariah przechowywała kocyk przez długie lata razem z grzechotką i butelką. Wiedział, że tak

postępują kobiety. Zachowują takie przedmioty dla przyszłych pokoleń.

Dla obu pań Throckmorton wszystko to znalazło swój kres w tej zapomnianej szufladzie. Mariah nie miała dziecka, które czule owijałaby w kocyk. Przechowywała jednak te przedmioty przez wiele lat, zapewne łudząc się nadzieją, że coś się jednak w jej życiu zmieni.

Zamknął szufladę. A może ona nadal ma nadzieję, że urodzi dziecko? - zastanawiał się.

Wyprostował się i podszedł do szafy. Zanim ją otworzył, domyślił się, co tam znajdzie, nie był więc rozczarowany. Szafa wypełniona była brązowymi sukniami i podniszczonymi fartuchami. Nie było w niej ani jednej kolorowej sukienki. Dlaczego ta kobieta tak uparcie ubierała się w nieatrakcyjne stroje?

Z uczuciem zniechęcenia i trudnego do wytłumaczenia smutku wyszedł na korytarz. Dopiero na schodach uświadomił sobie, dlaczego poczuł się tak przygnębiony.

Przystanął i obejrzał się w stronę sypialni Mariah. Jej pokój podobny był do tego, w którym mieszkał. Pusty, bezosobowy. Pokój kobiety, która postanowiła nie istnieć. Miejsce, w którym jest łóżko, ale nie ma wspomnień. Miejsce do spania, ale nie takie, w którym można marzyć.

Mariah szybkim krokiem wyszła z pralni. W jednej ręce niosła czysty komplet pościeli, w drugiej napęczniony wodą kubek i szczotkę. Szła tak szybko, że woda rozpryskiwała się ponad brzegiem wiadra i moczyła jej stopy.

Pod nieobecność Rassa i Jake'a musiała się czymś zająć, żeby nie myśleć o tym, że została tu sama z Mad Dogiem. Doszła do wniosku, że tylko ciężka praca może uspokoić jej rozdygotane nerwy. Skierowała się w stronę chaty dla pracow-

ników. Ten dzień tygodnia przeznaczony był na robienie porządków i nie mogła pozwolić, by obecność Mad Doga zakłóciła ustalony rytm życia.

Wiedziała, że mężczyzna codziennie o tej porze bierze prysznic i jego kąpiel trwa dość długo. Miała więc przynajmniej pół godziny, zanim Mad Dog wyjdzie i zacznie jej szukać. Z doświadczenia wiedziała, że sprzątanie chaty dla pracowników zajmie jej najwyżej dwadzieścia minut.

Postawiła wiadro przed drzwiami i nie zadając sobie nawet trudu, by zapukać, otworzyła je.

W środku panował mrok. Podeszła do stojącego przy łóżku stolika, zapaliła lampę i przystąpiła do pracy.

Pomieszczenie było niewielkie i sprzątanie go nie zajęło jej wiele czasu. Przetarła podłogę, umyła szyby w oknie, odkurzyła komódkę i wytrzeła zastonki. Rozejrzawszy się po pokoju, otarła pot z czoła. Co jeszcze?

Zobaczyła biały przybrudzony worek podróżny, leżący w kącie pokoju. To jego worek, uświadomiła sobie. Jedyne bagaż, jaki ze sobą przyniósł.

Ciekawa była, co w nim jest, co Mad Dog ceni sobie na tyle, by zabierać ze sobą z miejsca na miejsce, — Może powinnam go rozpakować - powiedziała głośno. Tak, to rozsądny pomysł. Taka przyjacielska przysługa.

Uklękła na podłodze i rozluźniła sznur, którym przewiązany był worek. Sięgnęła do wnętrza. Wyjęła ciasno zwiniętą zniszczoną, czarną koszulę, poskładała ją starannie i włożyła do środkowej szuflady komódki.

Jedną po drugiej, wyjmowała części garderoby - dwie pary wypłowiałych dziurawych dżinsów, połataną flanelową koszulę, ceratowy płaszcz przeciwdeszczowy, skarpetki, bieliznę osobistą. Włożyła to wszystko do szuflad, potem jeszcze raz zajrzała do worka. Na jego dnie leżały postrzępione notatniki i kilka luźnych kartek. Wyjęła jeden z notatników i otworzyła.

Nie chciała ich przeglądać, odczytywać notatek, ale jakieś pojedyncze słowa przykuły jej uwagę.

Wsiądzie wokół widzę, tragiczną biedą. W pociągach, na dworcach kolejowych słyhać żalosny płacz głodnych dzieci i narzekania ich zrozpaczonych rodziców. Ludność podzieliła się na bogatych i bezdomnych, krążących, zdawałoby się, bez celu. Jak to możliwe, że największy kraj świata pozwala, by jego obywatele wędrowali głodni, pozbawieni opieki?

W tym miejscu tekst się urywał. Zerknęła na następną stronę.

Zima dziewięćdziesiątego drugiego na dziewięćdziesiąty trzeci rok była dla tysięcy ludzi, biwakujących na bagnistych brzegach jeziora Michigan, nieubłagana mroźna. Pracowali w pocie czoła, wznosząc budowle, które miały sięgnąć pochmurnego nieba Illinois, jak wieże bajkowego miasta. Takie było ich marzenie i o tym samym śnił wraz z nimi cały kraj.

Niestety, jak wszystkie marzenia, z nadzieją oczekiwana Światowa Wystawa tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku miała ciemną dramatyczną stronę i jak zwykle zrobiono wszystko, by została odsunięta w cień i zapomniana.

Wystawę otwarto pierwszego maja i cóż to było za wydarzenie! Pokazano wyrosłe na sześciuset akrach, ozdobione kolumnami pałace, okazałe dwory, ulice, place. Cały świat z podziwem patrzył na środkowy wschód Stanów Zjednoczonych. Wystawa trwała sześć miesięcy, potem została zamknięta. Elegancka, baśniowa kraina nagle przestała istnieć.

Co po niej pozostało, kiedy czar prysł? Sto tysięcy bezrobotnych, pozbawionych złudzeń ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, błądzących po zimnych pustych ulicach Chicago, wyczekujących na skrzyżowaniach ulic, żebrzących o ochłapy jedzenia. Stoją teraz z rękami wyciągniętymi po jałmużnę,

a matki z niemowlętami śpią w bramach, okryte wilgotnymi gazetami.

Nigdy przepaść pomiędzy bogactwem a ubóstwem nie była w kraju tak głęboka jak dzisiaj. Zapaść gospodarcza jest tak wielka, że zagraża samej istocie istnienia narodu. Zagraża naszym dzieciom, naszej przyszłości. A przy tym, jak się zdaje, nikt nie słucha...

Mariah zamknęła notatnik. Była wstrząśnięta. Wiedziała, oczywiście, o załamaniu gospodarczym kraju, ale nie wyobrażała sobie, że jest ono tak głębokie, tak dotkliwe. Wstrząsnął nią obraz dzieci, którym brakuje jedzenia, dachu nad głową.

Słowa Mad Doga bardziej ją poruszyły, niż mogła oczekiwać, a przy tym wiele mówiły o człowieku, który je napisał. Przeczyły obrazowi beztroskiego włóczęgi o uroczym uśmiechu. Ten artykuł został napisany przez kogoś, kto czuł smak niedoli. Znał go równie dobrze, jak ona знаła smutek i rozpacz. Były to słowa marzyciela, który chce zmienić świat. Człowieka rozumiejącego ból, smutek i śmierć... umiejącego przy tym dostrzec szansę odrodzenia.

Człowieka, który wierzył w miłość.

Mariah była zafascynowana tą myślą, pociągała ją, jak płomień przyciąga ćmę. Gdzieś tam, za beztroskim uśmiechem i zuchowatością, krył się prawdziwy Mad Dog... mężczyzna, którego imienia nawet nie znała.

Wyjęła wszystkie notatniki z worka i ułożyła je starannie w dolnej szufladzie. Worek zwinęła i wsunęła pod komodę.

Wstała i rozejrzała się po pokoju. Pozostało jeszcze zasłanie łóżka. Szybkim, wyćwiczonym ruchem ściągnęła używaną pościel i odłożyła ją na bok. Na siennik narzuciła czyste prześcieradło i zaczęła je wygładzać, gdy usłyszała nagle odgłos kroków. Zamarła. Potem powoli się obejrzała.

Stał w otwartych drzwiach ze skrzyżowanymi ramionami.

Miał na sobie czarne, kowbojskie buty i obwinięty był ręcznikiem.

- O mój Boże... - szepnęła i drugie prześcieradło, które właśnie miała rozłożyć, wysunęło jej się z ręki.

Mad Dog uśmiechnął się; jego białe zęby lśniły w półmroku.

- Cóż za niespodzianka - powiedział. - Miła niespodzianka - dodał, unosząc lewą brew.

- Dobry wieczór - zdołała wykrztusić Mariah, chociaż brakowało jej tchu.

Nie była zdolna oderwać od niego wzroku. Pod spojrzeniem oczu tego mężczyzny, kuszącym i drapieżnym, zaczęła tracić panowanie nad sobą.

- Może mógłbym ci pomóc? - zapytał.

Podszedł do łóżka i stanął po jego przeciwnej stronie. Prześcieradło leżące pomiędzy nimi kusilo nieskazitelną bielą. Mariah starała się skoncentrować uwagę na łóżku, ale mimo tych wysiłków wyraźnie widziała umięśniony brzuch i miękkie włosy pokrywające pierś Mad Doga. Zapach mydła, złagodzony wonią męskiego ciała, unosił się w powietrzu.

Gdy nachylił się, długi kosmyk włosów opadł mu na czoło. Starła się nie patrzeć na niego, ale nie mogła się odwrócić. Był tak nieodparcie przystojny. Drobne zmarszczki koło oczu i bruzdy obok ust wskazywały na wesołe usposobienie. Teraz, kiedy nie miał brody, jego twarz bardziej niż wcześniej wyrażała siłę.

Uśmiechnął się i nachylił jeszcze niżej. Ich spojrzenia się spotkały. Wyciągnął rękę i powolnym ruchem wygładził fałdy na prześcieradle.

Mariah patrzyła na jego dłoń, zafascynowana kontrastem pomiędzy opaloną na ciemny brąz skórą a bielą prześcieradła. Nagle uświadomiła sobie, co się z nią dzieje. Cofnęła się raptownie i odsunęła włosy z twarzy.

- Już wszystko gotowe - powiedziała.

- Dziękuję - odparł głosem miękkim, intymnym. Jego brzmienie przypomniało jej słowa, które przeczytała. Słowa marzyciela.

Uniosła głowę i napotkała gorące, intensywne spojrzenie szarych oczu. Wstrząsnął nią dreszcz. Poczowała, że na ramionach pojawiła jej się gęsia skórka.

- Sprzątnęłam pokój. - Odwróciła głowę, zdając sobie sprawę, że się rumieni. Wiedziała, że nie powinna wymówić słów, które cisnęły jej się na usta, ale nie potrafiła się powstrzymać. - Dla ciebie - dodała.

Uśmiechnął się i rozejrzał.

- Wygląda... - Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. Zmarszczył czoło. - Gdzie jest mój worek?

- Wyjęłam z niego twoje rzeczy. Worek jest pod komodą.

Mad Dog pojrzał na nią wzrokiem chłodnym jak zimowe niebo.

- Grzebałaś w moich rzeczach? - zapytał spokojnym tonem.

Nerwowo zwilżyła językiem wargi. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Zniknąć, byle tylko nie patrzeć mu w oczy.

- Nie grzebałam. Ja tylko...

Równie szybko, jak się pojawił, wyraz gniewu zniknął z jego oczu. Wzrok Mad Doga znów pałał namiętnością.

Mężczyzna powoli okrążył łóżko, zatknął kciuki za ręcznik, którym był opasany, i podszedł do niej.

Mariah obserwowała srebrne krople wody, które zebrały się na końcach jego włosów. Starala się patrzeć tylko na nie, ale nie całkiem jej się to udawało.

- Mariah...

Kropla wody spadła z włosów na jego pierś. Mariah widziała, jak zygzakiem spływa w dół przez gęstwinę porastających ją włosów, a potem po opalanej skórze brzucha i wreszcie znika, wchłonięta przez grubą tkaninę ręcznika. Śledziła ją wzrokiem, może nieco zbyt długo.

- Mogę to zdjąć... - powiedział, sięgając dłonią do ręcznika.
- Nie! - zawołała, uniosła głowę i napotkała jego pełen
pożądania wzrok.

Zachwiała się, cofnęła o krok i plecami przywarła do ściany.

- Nie bój się - rzekł cicho Mad Dog. - Nie zrobię ci nic
złego.

Zaśmiała się histerycznie i natychmiast zasłoniła dłonią usta,
przeżona swoją reakcją.

On tymczasem oparł się dłońmi o ścianę po obu stronach głowy
kobiety, zbliżył twarz do jej twarzy, tak że nosem dotknął
policzka.

- Czego... Czego chcesz ode mnie - szepnęła, nie od
wracając wzroku od jego twarzy.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Wiesz dobrze czego.

Odchrząknęła i starając się, by głos zabrzmiał spokojnie,
powiedziała:

- Nie, nie wiem.

Opuścił nieco głowę, tylko odrobinę, ale serce Mariah
zamarło. Zdawało jej się, że czas się zatrzymał.

Pocałował ją delikatnie. Jego usta musnęły jej wargi tylko na
moment, na ułamek sekundy.

- Pragnę cię, Mariah. Na Boga, wiem, że nie powinienem
cię pragnąć, ale tak jest.

Poczuła znów dotknięcie jego ust na swoich wargach i
wstrząsnął ją dreszcz. Po chwili Mad Dog się cofnął.

- Chodź do łóżka, Mariah - szepnął do jej ucha.

Zamarła. Ogarnął ją lęk i drżenie. Przypomniała sobie jego
słowa: „Nikt nie musi wiedzieć”. Jaka była naiwna, zastanawiając
się nad nimi, pomyślała. Przecież ja zawsze bym o tym pamiętała.
Zawsze „wiedziałybym”.

Chciała coś powiedzieć, ale zaschło jej w gardle. Powrócił

ZAGUBIENI

dawny, znajomy lęk, jednak nie wydawał jej się tak przykry jak zazwyczaj. Mimo wszystko było to uczucie, które rozumiała.

Przemknęła pod ramieniem Mad Doga, wybiegła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zatrzymała się dopiero przy płocie. Teraz uklękła na mokrej trawie i, zawstydzona, opuściła głowę. Miała ochotę się rozplakać.

„Pragnę cię”. Zdawało jej się, że te słowa dobiegają do niej ze wszystkich stron.

Cichy jęk rozpaczony wydobył się z jej ust.

Ona też go pragnęła. Nie mogła już dłużej bronić się przed tą myślą. Pragnęła, by ją całował, marzyła o tym. To prawda, że ją drażnił, dręczył, doprowadzał do furii, ale jej świat od momentu, gdy pojawił się na farmie, nie był już taki sam i pozostanie inny, kiedy on stąd odejdzie.

Na myśl o tym, że Mad Dog opuści ją, ból ścisnął jej serce, łzy napłynęły do oczu, ale nie popłynęły po policzkach. Klęczała schylona z opuszczonymi ramionami. Zrozumiała, że nie może pozwolić mu odejść już teraz bez zakosztowania rozkoszy, które jej obiecywał. Zbyt długo była samotna i chciała to zmienić.

Odetchnęła głęboko i wstała. Czuła, że drżą jej nogi... może od długiego klęczenia, a może sprawiła to decyzja, którą podjęła. Wyprostowała się i ruszyła w stronę chaty pracowników.

Z każdym krokiem narastał w niej lęk, ale i zdecydowanie. Zatrzymała się przed drzwiami. Tylko te kilka desek dzieliło ją od rozkoszy i bólu. Zdawała sobie sprawę, że jeśli zapuka, jej życie nigdy już nie będzie takie samo.

Zrób to. Nie rób tego.

Decyzja została jednak podjęta. Miała już dość samotności, pragnęła ciepła czyjegoś dotknięcia. Przez długie lata żyła tylko przeszłością, ubolewała nad nią, próbowała ją odpokutować. Teraz chciała żyć chwilą obecną.

Nie zastanawiając się dłużej, zapukała.

- Wejść - usłyszała w odpowiedzi głęboki męski głos.

Ugięły się pod nią kolana, ale wyprostowała się i otworzyła drzwi. Na łóżku, na białym prześcieradle leżał Mad Dog. Jedną nogę miał wyprostowaną, drugą podciągniętą, ręcznik okrywał mu biodra. Mężczyzna sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Mariah? - zapytał z niedowierzaniem i uśmiechnął się tak, że jej serce zaczęło bić w przyśpieszonym rytmie.

Spróbowała odpowiedzieć uśmiechem i próba niemal się udała.

- Czy będę tego żałować? - zapytała drżącym głosem, tak cicho, że zastanawiała się, czy ją ułyszał.

Usiadł i spojrzał jej w oczy. Tym razem nie uśmiechał się.

- Prawdopodobnie.

- A ty?

- Prawdopodobnie nie.

Po usłyszeniu tych słów Mariah pozbyła się resztek wątpliwości. Ku własnemu zdumieniu, roześmiała się.

- Panie Stone, naprawdę podziwiam pańską szczerość.

Była to prawda. Właśnie szczerość najbardziej pociągała ją w Mad Dogu. Nie męska twarz, uśmiech, żartobliwe słowa, ale szczerość, brawurowa, szaleńcza.

Pragnęła sama stać się taka i pomyślała, że może mając obok siebie Mad Doga, nawet na tę jedną zmysłową noc, potrafi znów odnaleźć w sobie dawną szczerość.

Postanowiła zacząć już teraz. Patrząc w jego szczere oczy, których spojrzenie niczego nie skrywało, powiedziała:

- Pragnę cię.

Do licha, ona mówi poważnie.

Mad Dog uniósł się na łokciach i ciasniej obwinął biodra ręcznikiem.

Marian stała w otwartych drzwiach z rękami splecionymi na piersiach. Twarz miała pobladła, zaciśnięte usta tworzyły wąską linię. W świetle księżyca, sączącym się przez otwarte drzwi, wydawała się młoda, bezbronna i wystraszona.

Chryste, jak ona niewinnie wygląda, stojąc tam i prosząc o coś, czego prawdopodobnie sama nie rozumie, pomyślał. Mógł jej to dać, ba, pragnął tego, ale wiedział, że takiej kobiecie jak ona trudno będzie żyć z wynikłymi z tego konsekwencjami. Co więcej, jemu też nie byłoby łatwo. Lubił Mariah i nie chciał jej skrzywdzić. Nie należała do kobiet odpowiednich dla niego. Nie zasługiwała na to, by się z nią zabawić, a potem opuścić. Zasługiwała na coś więcej, niż on mógł jej ofiarować.

Przyglądził dłonią włosy i potrząsnął głową. Po raz pierwszy w życiu zanosilo się na to, że stanie się cholernym, szlachetnym bohaterem. Sam nie mógł w to uwierzyć.

Poprawił rękawiczkę opasując mu biodra, wstał z łóżka i podszedł do niej powoli.

Nie cofnęła się. Stała nieruchoma jak głaz, wpatrzona w niego.

- Wracaj do domu, Mariah.

Na moment zamknęła oczy, potem znów popatrzyła na Mad Doga.

- Nie komplikuj i tak już niełatwej dla mnie sytuacji. Proszę cię. Ty sama nie wiesz, czego oczekujesz.

- Nie jestem dziewicą... w zasadzie - powiedziała, patrząc mu w oczy.

- Nie jesteś? - odparł dopiero po chwili, zaskoczony w równym stopniu tymi słowami, jak i całym jej zachowaniem.

- Nie - potwierdziła, a w jej głosie zabrzmiało coś, co nosiło ślad może dumy, może zakłopotania. - Nie pozbawisz mnie cnoty. To zrobił już ktoś inny. A poza tym... - zawahała się na moment i dokończyła spokojnie - nie mogę mieć dzieci, więc nie musisz się tego obawiać.

Wyczuł ból w jej głosie i domyślił się, jak wiele to wyznanie musiało ją kosztować. Poruszyła go jej odwaga. Wiedział, że najłatwiej i najbezpieczniej jest albo najważniejsze sprawy traktować obojętnie, albo zaatakować, zanim zostaniesz zaatakowany. Były to rodzaje obrony, które stosował przez lata.

Nie wątpił, że Mariah jest kobietą, która pragnęłaby mieć dziecko. Przypomnił sobie dziecięcy kocyk znaleziony w jej pokoju i teraz to odkrycie nabrało sensu. To ona go wyhaftowała dawno temu, czekając, mając nadzieję.

Smutek ścisnął mu serce. Znów odczuł niewytłumaczalną potrzebę pocieszenia tej kobiety. Odgarnął pasmo włosów z jej policzka.

- Przykro mi bardzo... Mówię o dzieciach, ale doktorzy mogą się mylić. Często się mylą.

- Nie chcę twojego współczucia. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Chcę twojego ciała.

Roześmiał się wbrew sobie.

- Na Boga, Marian...

Uśmiech zniknął z jej twarzy, patrzyła na niego z wyrazem przejmującej powagi.

- Od lat tkwię na tej farmie, ukrywając się przed wszystkim i wszystkimi. Nie chcę dłużej ukrywać się i uciekać. Proszę cię, Mad Dog... Kochaj się ze mną.

Odebrał te spokojne słowa jak silny cios w żołądek. Nigdy wcześniej nie słyszał ich od żadnej kobiety. „Kochaj się ze mną”. Poczul się pokonany. Odwrócił głowę i zacisnął dłonie w pięści.

Nie, ona nie powinna stać tutaj, piękna i bezbronna, i prosić, bym kochał się z nią, pomyślał. Tego rodzaju postępowanie nie przystoi damie takiej jak ona i to wobec mężczyzny takiego jak ja.

Przyszło mu do głowy, że powinien natychmiast się stąd wynieść, zabrać swoje rzeczy i ruszyć w drogę, nawet się nie oglądając. Zrobić wszystko, by nie mogła patrzeć na niego, dotykać go i wygłaszać tych szalonych słów „kochaj się ze mną”.

- Zmieniłeś zdanie? - zapytała gardłowym szeptem. - Nie pragniesz mnie już?

Roześmiał się i odwrócił głowę.

- Nie mógłbym tego powiedzieć.

Ta odpowiedź najwyraźniej dodała jej odwagi. Powoli przysunęła się do niego i zatrzymała się tak blisko, że mógł ją pocałować. Ciepło promieniujące z jej ciała było niemal dotykalne, poruszało zmysły Mad Doga. Pachniała mydłem, wodą i polnymi kwiatami.

Opuścił głowę, gdy próbowała spojrzeć mu w oczy.

- Czy coś..., coś ci się we mnie nie podoba?
- Niech to licha, czy ty nie dostrzegasz, że nie jest mi łatwo poradzić sobie z tobą?
- Wydaje mi się, że akurat teraz jest to wyjątkowo łatwe, -

Znów spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie jestem odpowiednim dla ciebie mężczyzną - stwierdził.
- Dla mnie to bez...
- Zostawię cię.
- Czy myślisz, że o tym nie wiem? Wszystko, czego pragnę, to tej nocy... jednej nocy, której wspomnienie będzie mnie grać w czasie długich samotnych dni. Czy proszę cię o zbyt wiele?

Spojrzał w jej pociemniałe oczy i poczuł, że kapituluje. Nie mógł jej nie dotknąć. Zbyt mocno pragnął tej kobiety.

- Zasługujesz na coś więcej, Mariah.
- Nie... Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię błagała.
- Na Boga, Mariah, nie chcę cię upokorzyć. Po prostu nie chcę, żebyś znenawidziła mnie już jutro rano. Za bardzo cię lubię.
- Znenawidzę cię jeszcze bardziej, jeśli powiesz nie.

Chciał się cofnąć, odsunąć, ale nie był w stanie się poruszyć.

Powoli uniosła głowę, tak że ich twarze znalazły się na jednej wysokości.

- Pocałuj mnie... - Głos jej się załamał, wargi drżały.
- O Chryste... - szepnął.

Nie potrafił się powstrzymać. Nie zastanawiając się dłużej, objął ją i przyciągnął do siebie. Wpił w nią usta w gorącym pocałunku, zapierającym dech w piersiach.

Mad Dog poczuł w tym momencie, że jest zgubiony. Krótkotrwałe pragnienie, by okazać się bohaterem, spaliło na panewce. Czuł na ustach oddech kobiety. Odchylił nieco głowę i spojrzał jej w oczy. Uśmiech ożywił jego twarz.

ZAGUBIENI

- Boże, jaka ty jesteś piękna, Mariah.
Poczuta nagły ucisk w gardle. W jej pamięci pojawił się Stephen i jego kłamstwa.
- Nie musisz tego mówić. - Odwróciła głowę.
- Wiem.
Czuła na sobie jego wzrok. Uniosła głowę, spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich coś, czego nie dostrzegła wcześniej. Smutek.
- Uważasz, że cię okłamuję, prawda? - zapytał.
- Ty... i kłamstwo? - Roześmiała się.
- Podejdź tutaj. - Podprowadził ją do starego owalnego lustra, które wisiało nad komodą, i stanął za nią. - Co widzisz? - szepnął jej do ucha.
- Och, na litość boską, co to ma wspólnego z...?
- Co widzisz?

- Widzę swoją twarz i połowę twojej - odparła. Położył jej dłoń na ramieniu.
- Jakiego koloru są twoje oczy?
Trudno jej było się skoncentrować, gdy czuła magiczne, uwodzicielskie dotknięcie jego palców.
- Brązowe.
- Mylisz się. -
Twierdzisz, że moje oczy nie są brązowe - zdziwiła się i spojrzała na jego odbicie w lustrze. Mad Dog potrząsnął głową i się uśmiechnął.
- Twoje oczy nie są tak zwyczajnie brązowe. Powiedz, jakiego są koloru?
- No... mają takie niewielkie... złote plamki.
Pocałował ją w policzek. Czuła jego gorący oddech na skórze.
- Są koloru dojrzałych winogron albo gorącego syropu klonowego - stwierdził. - A co powiesz o włosach?
- Kasztanowe. No dobrze... rudokasztanowe.

Odchylił głowę, potem jego dłoń powędrowała ku smukłej szyi Mariah. Zaczął wyjmować jedną po drugiej spinki z włosów. Słyszała jakby z oddali, jak spadają na podłogę. Po wyjęciu ostatniej włosy zsunęły się na ramiona.

Zdumiona patrzyła na własne odbicie w lustrze. Falująca, mahoniowej barwy kaskada włosów otaczała jej twarz, łagodząc ostre linie kości policzkowych. Światło lampy nadawało włosom połysku. Oczy, na tle kremowobiałej twarzy, wydawały się złotobrązowe.

- Jesteś piękna, Mariah.

Tym razem te słowa nie niosły echa przeszłości, nie wyczuwała w nich śladu kpiny. Poczula się piękna. Nieśmiały uśmiech ożywił jej twarz.

Mad Dog odwrócił ją twarzą do siebie. Zmysłowy wyraz jego oczu wywołał falę gorąca w ciele Mariah.

Powoli, bez słowa zaczął rozpinać jej suknię. Oddychała szybko. Zmusiła się, by odruchowo nie odsunąć jego ręki. Zamknęła oczy, gdy poczuła na plecach chłód wieczornego . powietrza.

Jak pod dotknięciem magicznej różdżki suknia zsunęła się z niej i z szelestem opadła na podłogę. Odtrąciła ją nogą na bok.

- Otwórz oczy, Mariah.

Drgnęła. Ton głosu Mad Doga sprawił, że jej imię zabrzmiało niczym pieśń miłosna. Bardzo powoli otworzyła oczy.

- Chcę, żebyś widziała, jak cię całuję - szepnął i nachylił się ku niej.

Najpierw było to lekkie muśnięcie, które nie trwało dłużej niż jedno uderzenie serca. Ciche westchnienie wydarło się z rozchylonych ust Mariah. Ten pocałunek był inny. Tamten pierwszy sprawił, że czuła się pożądana, teraz poczuła się kochana.

Zamknęła oczy i pozwoliła sobie uwierzyć, że... tylko w tym momencie... kochają się wzajemnie.

Jego wargi poruszyły się na jej ustach, złączyły się z nimi, stopiły się. Mad Dog cofnął nieco głowę, tak że ich usta się rozdzieliły. Teraz ona poszukała jego ust. Chciała więcej.

Przyciągnął ją mocno do siebie. Pocałunek stał się teraz gorący, namiętny.

Serce Mariah biło coraz mocniej. Ogarnęło ją głębokie nieokreślone pragnienie... bliskości. Te uczucia przerażały ją, a zarazem napępniały radością. Chciała dotykać tego mężczyzny, pieścić go, ale nie była w stanie poruszyć się,

Jego dłoń powędrowała wzdłuż jej karku ku plecóm. Mariah drgnęła, gdy najpierw jeden palec, potem drugi wślizgnął się pod koronkowy brzeg koszulki. Po chwili stała przed nim półnaga, drżąca.

Chwycił ją za nadgarstki i unióśł ręce tak, że objęła go za szyję. Przywarła do niego, wplotła palce we włosy.

Mad Dog mruknął coś cicho, wziął ją na ręce, zaniósł na łózkó i położył ją na czystej pościeli. Pobudzone zmysły sprawiły, że Mariah zauważyła wszystko z wyjątkową ostrością: światło księżycza sączące się przez okno, chłód powietrza na nagim ciele, miękkość pościeli.

Mad Dog zamknął drzwi i podszedł do łózká. Nie położył się jednak, tylko stał i patrzył na nią spod opuszczonych powiek. Jego oczy wydały się ciemne, lśniące jak hartowana siał. Chociaż leżała półnaga, wcale nie odczuwała wstydu czy lęku. Pożądanie znieczuliło ją, sprawiło, że czuła się zarazem senna i niezwykle pobudzona.

Tymczasem on sięgnął do opasującego go ręcznika, rozluźnił go i czekał, aż spadnie na podłogę.

Mariah z podziwem patrzyła na jego nagie ciało. Widząc podniecenie Mad Doga, sama poczuła ostry, niemal bolesny

skurcz w głębi ciała; krew gorącym strumieniem pulsowała w jej żyłach.

- Och, mój... - szepnęła.

- Widzisz, do jakiego stanu mnie doprowadziłaś - powiedział. Nachylił się ku niej i sięgnął do zapięcia jej pantalonów, potem zsunął je aż do kostek, wreszcie ściągnął z nóg i rzucił na podłogę.

Leżała całkiem naga pod jego palącym, intensywnym spojrzeniem. Wstrząsnął nią dreszcz.

- Nie bój się - szepnął i położył się na łóżku obok niej. Stary materac ugiął się pod jego ciężarem, metalowa rama łóżka zgrzytnęła.

- Ja nie jestem... - zaczęła cicho Marian.

Przytulił ją do siebie. Ich nagie ciała połączyły się w gorącym uścisku. Na ustach Mad Doga igrał uśmiech, gdy nachylił się nad nią, by ją pocałować.

Zamknęła oczy i czekała. Wreszcie jego usta dotknęły jej warg w miękkim, pieszczotliwym pocałunku, na który odpowiedziała z zaskakującą śmiałością. Słyszała przyspieszony męski oddech i ten dźwięk wypełniał ją świadomością własnej zmysłowości. Oplotła Mad Doga ramionami i przytuliła się do niego.

Całowała go z całą namiętnością, która nagromadziła się w niej przez lata. Przygryzła jego wargę, ssła ją, językiem szukała smaku ust mężczyzny. Całowali się ze ślepym, szaleńczym zapamiętaniem.

Szorstkimi opuszkami palców dotykał gładkiej skóry jej piersi, potem z dręczącą powolnością badał ich kształt. Wreszcie dotknął nabrzmiąłych sutków.

Mariah wstrzymała oddech, zacisnęła powieki. Zdawało jej się, że całe ciało rozplywa się, topi, gdy ścisnął je palcami -najpierw delikatnie, potem mocniej.

Jej oddech stał się krótki, urywany. Serce biło szybko;

słyszała mocne pulsowanie krwi w uszach, zgodne w swym rytmie z pulsowaniem fali pożądania.

Mad Dog odsunął się i szepnął drżącym, stłumionym głosem:

- Dotknij mnie, Mariah.

Pragnęła tego, na Boga, jakże tego pragnęła.

- Ja... Ja nic wiem jak.

- Spróbuj - poprosił cicho. Uniosła rękę i dotknęła jego szyi.

- Niżej.

Jej palce powędrowały w dół i prześlizgnęły się po owłosionej piersi. Czowała się oszołomiona własną śmiałością, nagle zyskanym prawem swobodnego dotykania męskiego ciała.

- Niżej.

Poczuła pod palcami zebra, a potem gładką skórę muskularnego brzucha. Pod jej dotknięciem pojawiła się na niej gęsia skórka.

- Niżej. - Głos Mad Doga stał się chrapliwy, oddech przerywany.

Zwilżyła wargi i przesunęła dłoń nieco niżej. Nagle, zamiast gładkiej skóry, poczuła pod palcami szorstkie włosy u dołu brzucha.

- Och...

- Niżej.

Odetchnęła głęboko i zacisnęła palce na nabrzmiętym członku, zaskoczona jego twardością i aksamitną gładkością skóry. Wyczuła, jak bardzo Mad Dog jej pragnie, i to nappełniło ją poczuciem własnej siły. Nagle uwierzyła, że jest piękna, ponętna, pożądana.

Cichy pomruk wydobył się z jego ust, tak przepęlniony zmysłowością, że spotęgował w sercu Mariah falę pożądania. Mocniej zacisnęła dłoń.

- O Chryste... - mruknął. Znieruchomiała i spojrzała na niego.
- Czy robię coś niewłaściwego?
- Raczej nie. - Dotknął drżącą ręką jej twarzy, potem objął ją mocno i przytulił.

Znów połączył ich gorący, namiętny pocałunek. Marian zdawało się, że traci oddech. Drżała z pożądania. Jego usta powędrowały wzdłuż jej szyi aż do miękkiego zaokrąglenia piersi. Czubkiem języka dotknął sutka. Krzyknęła cicho, wygięła się w łuk i opasała go ramionami.

- Och Boże... -jęknęła i odrzuciła głowę do tyłu.

Palce Mad Doga szukały teraz tego jednego, szczególnie wrażliwego miejsca. Gdy je znalazły, krzyknęła. Drżała, czuła, że się rozpływa, że jest gotowa. Objęła go mocniej, wbijała paznokcie w jego plecy. Wszystkie zmysły miała skoncentrowane na ruchu jego palców, dotykających jej gorącego wilgotnego ciała. Uniosła biodra.

- Proszę... proszę... -szeptała.

Nie wiedziała, co powiedzieć, czego chce od tego mężczyzny. Zdawała sobie tylko sprawę, że rozpaczliwie pragnie tego, co przyniesie jej odprężenie.

Mad Dog bez słowa odwrócił ją na plecy i nakrył swym ciałem. Czuła twardość członka pomiędzy nogami. Uniósł się na łokciach i spojrzał w oczy kobiety, potem wykonał jeden gwałtowny ruch i ich ciała się połączyły.

Mariah poczuła ostry ból. Zdawało jej się, że jej wnętrze rozdierane jest na części. Próbowwała się odsunąć, ale jego ciężkie ciało przyciskało ją do materaca. Odruchowo zacisnęła dłonie w pięści.

Mad Dog znieruchomiał.

- Czy coś się stało? - zapytał

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- To... trochę boli

- Myślałem... - Potrząsnął głową. - Przecież mówiłaś, że nie jesteś dziewicą.

- Nie jestem... - Przygryzła dolną wargę. - Mam nadzieję, że nie czujesz się zawiedziony.

- Powiniennem to zrobić nieco inaczej - powiedział łagodnie, potem pochylił głowę i pocałował ją delikatnie.

Mariah uświadomiła sobie nagle, że pragnie go coraz mocniej. To dzięki temu mężczyźni poczuli się piękni i pożądani. Obudził w niej uczucia, jakich nigdy nie zaznała, i sądziła, że nigdy już nie zazna.

Mad Dog zaczął się w niej powoli poruszać. Fizyczny ból minął, zastąpiło go pożądanie, znów pulsujące w jej wnętrzu. Przywarła do niego, opłótła mu nogami biodra, ręce odrzuciła na boki. Pojękując cicho, próbowała poruszać się w rytmie jego ruchów. Podniecenie sięgało szczytu. Starła się uchwycić coś, czego nie mogła osiągnąć, oczekiwała ulgi, której nie potrafiła sobie wyobrazić.

- Och, Boże!

- To właśnie to, Mariah - szepnął. - Chodź, chodź. Nie mogę już czekać...

Zagłębił się w niej mocniej, potem opadł, przyciskając ją swoim ciałem.

Objęła go ramionami, głowę odchyliła do tyłu. Całym jej ciałem wstrząsnął nieoczekiwany dreszcz. Wyzwolenie przyszło nagle gorącą falą, która wtrąciła ją w otchłań czystej rozkoszy. Napięcie powoli mijało. Z westchnieniem opadła na skłębioną pościel. Ciało jej drżało jeszcze, ale nogi i ramiona wydawały się zdrętwiałe, bezwładne.

Czuła się wyczerpana, ale bezgranicznie bezpieczna.

- Czy zawsze tak jest? - zapytała cicho. Mad

Dog się roześmiał.

- Nie. Prawie nigdy tak nie jest.

Dźwięk jego głosu nappełnił ją szczęściem. Nie mogła

KRISTIN HANNAH

oderwać od niego wzroku. Miała mu bardzo wiele do powiedzenia, ale na razie nie była w stanie nic mu wyznać. Obawiała się, że może nigdy to nie nastąpi.

- Miałaś rację.

Czułym gestem odsunął wilgotne pasmo włosów z jej czoła i założył je za ucho.

- W czym miałem rację?

- Mówiąc, że ofiarujesz mi chwilę, jakich nigdy nie zaznałam.

- Powiedziałem ci już, że nigdy nie kłamię.



A były najpiękniejsze chwile, jakie Mad Dog kiedykolwiek przeżył z kobietą.

Spojrzał na Mariah, spokojnie śpiącą obok niego, i nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Leżała z jedną ręką na jego piersi, z drugą podwinętą pod głowę. Twarz miała bladą, mahoniowe włosy rozrzucone na poduszce.

Patrzył na nią, zdumiony radością, jaką napelnia go ten widok. Była tak niepodobna do kobiet, na ogół dziwek, z którymi sypiał. Nigdy nie przypuszczał, że różnica pomiędzy nimi a Mariah może być aż tak wielka. Jego wcześniejsze kobiety sypiały jak drwale, z otwartymi ustami, ich oddech był ciężki od zapachu tequili i tytoniu. Rozmazany w ciągu nocy makijaż sprawiał wrażenie, jak gdyby ktoś podbił im oczy.

Nic dziwnego, że zawsze, wiedząc, jaki widok czeka go po przebudzeniu, jak najwcześniej zrywał się z łóżka.

Tym razem było inaczej. Chciał spać obok Mariah. Pragnął wyciągnąć się obok niej, trzymać ją w objęciach i być z nią rano, kiedy w oknie załśnił pierwsze promienie słońca.

Jej ciało wydawało się gładkie i delikatne jak kość słoniowa.

Równy, spokojny oddech poruszał nieznacznie powłoczkę poduszki. Różowe usta miała leciutko rozchylone, czarne rzęsy drgały od czasu do czasu. Wpatrywał się w jej usta z niezwykłą intensywnością, pamiętając jej pocałunki, pieszczoty.

Nie potrafił do końca określić różnicy między Mariah a kobietami, z którymi sypiał dotychczas, nie wiedział dokładnie, na czym polega, ale z pewnością istniała. Lubił zadawać się z dziwkami. Były to łatwe, nic nie znaczące podboje, o których zapominał z nadejściem świtu. A już na pewno nie pociągało go układanie się z nimi do snu.

Odsunął się nieco od Mariah i położył na plecach. Bezmyślnie wpatrywał się w białe ściany pokoju. Po raz pierwszy to miejsce nie wydało mu się w najmniejszym stopniu więzieniem.

A przecież spędził tu niemal tydzień. Te ściany powinny już na niego napierać, krępować go, tymczasem pokój wydał mu się... przytulny.

Przytulny? Skąd mogło się wziąć takie słowo. Wydało mu się to tak absurdalne, że uśmiechnął się do siebie.

Nie było to jednak zabawne. Było niepokojące.

Spojrzał na zamknięte drzwi.

Należało z nich skorzystać, i to zaraz.

Pomyślał o tym, że powinien wstać z łóżka, ubrać się, zarzucić worek na ramię i ruszyć w drogę. Robił to dziesiątki razy, nigdy nie oglądał się za siebie i nie żałował podjętej decyzji. Odejście od kobiety, jak do tej pory, było proste i łatwe.

Spojrzał na Mariah i nagle z całą jasnością uświadomił sobie, że się myli.

Wcale nie tak łatwe.

- Do diabła! - mruknął. Opuścił głowę na drewniane oparcie łóżka i przyglądał ręką włosy.

Co się, u licha, ze mną dzieje?!

Ogarnął go dziwny niepokój. Ta cholerna chata dla pracowników wydawała mu się przytulna i wcale nie miał ochoty się stąd wynosić, nawet teraz, kiedy przespał się już z Mariah.

Na razie, powiedział sobie w myślach i te proste słowa jakoś go uspokoiły. Jeszcze nie miał ochoty odejść, ale to nie znaczy, że chciał zostać. Na tym polegała różnica.

Mariah budziła się stopniowo. Nie zniknęły jeszcze ostatnie obrazy przyjemnych, sennych marzeń, wywołujących uśmiech na jej twarzy, gdy przeciągnęła się, ziewnęła i wreszcie otworzyła oczy.

Jedynie, co dostrzegła w polu widzenia, to męska pierś porośnięta ciemnymi włosami. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że leży przytulona do nagiego boku Mad Doga, z policzkiem przyciśniętym do jego piersi, ręką pieszczotliwie obejmującą go w pasie.

Odżyły w jej pamięci wspomnienia minionego wieczoru. Erotyczne obrazy kłębiły się w jej wyobraźni. Mariah zarumieniła się na myśl o swoim zachowaniu. Była dzika, nieopanowana, agresywna.

Ale jakie to było rozkoszne... Uśmiech pojawił się na jej twarzy.

Było jej niewiarygodnie dobrze, czuła się w pełni odprężona. Tej nocy Mariah udało się przełamać najpoważniejszą barierę, jaka pojawiła się w jej psychice po przejściach z przeszłości -barierę seksualności - i to okazało się cudowne. Znow poczuła się kobietą. Kobietą wolną.

Uniosła głowę i spojrzała na mężczyznę, który przywrócił jej zdolność do uśmiechu.

Zauważyła, że w skupieniu wpatruje się w drzwi; zdawało

się, że coś go dręczy, ale była w zbyt dobrym nastroju, by się tym przejąć.

Odwróciła się na plecy i wyprostowała ramiona.

- Boże, jaka jestem obolała - powiedziała.
- Wkrótce ci to minie - odparł niemal obojętnie.

Podciągnęła się wyżej i oparła o jego ramię.

- Myślę, że najlepiej by mi pomogło, gdybyśmy zrobili to jeszcze raz. - Pocałowała go w ramię. Poczula na ustach słony smak skóry.

- Chcesz zrobić to jeszcze raz? Teraz? - zapytał, wyraźnie zaskoczony.

Mariah zdawała sobie sprawę, że powinna się czuć zawstydzona, bać się, wahać, jak przystało na przyzwoitą kobietę, ale jakoś żadne z tych uczuć nie miało do niej dostępu.

Odchyliła prześcieradło, odsłaniając nagie ciało Mad Doga.

- Coś mi się wydaje, że nie tylko ja mam ochotę powtórzyć to...

- Na to wygląda. - Roześmiał się, po czym objął ją ramieniem i zapytał: - Powiedz mi, Mariah, jak ktoś, kto tylko „w zasadzie” nie jest dziewicą, może być tak pobudzony?

- Ty to sprawiłeś.
- Tylko ja? - zażartował.

Spoważniała. Nagle stało się dla niej ważne, by poznał prawdę, żeby zrozumiał, czym obdarował ją tej nocy.

- Tylko ty.

Gdy zmarszczył czoło, zorientowała się, że palnęła coś niestosownego.

- Mariah... - zaczął

Zaniepokoiła się. Nie chciała usłyszeć tego, co zamierzał powiedzieć. Objęła go mocniej i położyła się na nim, wyczuwając jego podniecenie.

- Zróbmy tym razem coś innego - zaproponowała.

Powiódł dłońmi w dół po jej plecach, palcami dotknął pośladków.

- Co sugerujesz?
- Ja? - zdziwiła się.
- Może nauczyłaś się czegoś interesującego wtedy, gdy straciłaś dziewictwo.

Roześmiała się. Teraz już wiedziała, bez najmniejszych wątpliwości, że *tej nocy* podjęła właściwą decyzję. Od wielu lat nie była w stanie myśleć o swoim fizycznym związku ze Stephenem bez palącego uczucia wstydu i upokorzenia. Teraz to wszystko minęło bez śladu.

- Z czego się śmiejesz? - zdziwił się Mad Dog.

Potrząsnęła głową. Czula się całkowicie uwolniona. Odtąd przeszłość stała się czymś odległym.

- Powiem ci tylko, że relacja z moich doświadczeń nie trwałaby dłużej niż czas gotowania jajka na miękko.

- A więc stąd to „w zasadzie”. To wszystko trwało dwie minuty?

- Może mniej. Było zbyt ciemno, żeby patrzeć na zegarek.
- A chciałaś?
- Kochać się?
- Patrzeć na zegarek. - Roześmiał się
- Och, o to chodzi. Wydaje mi się, że liczyłam sekundy.
- Ile ich było?
- Niezbyt wiele.

Podciągnął ją wyżej i objął.

- Nie warto wracać do tamtych wspomnień. Postarajmy się, żebyś mogła pamiętać o czymś innym.

Ich usta połączyły się w długim gorącym pocałunku, który od nowa rozpalil w nich ogień pożądania. Mariah poddała się kochankowi całkowicie. Nie myślała o Stephenie, o przeszłości, nawet o tym, że Mad Dog wkrótce ją opuści.

Nie przejmowała się tym. Skoncentrowała się na cudow-

nych, radosnych przeżyciach, jakie dzięki niemu odczuwała. Zamknęła oczy i przeniosła się w świat czystej fizycznej rozkoszy.

Rass zamknął drzwi za sobą i w tym momencie poczuł się zmęczony i stary. Ruszył w stronę ulicy. Deski ganku zatrzęszczały pod jego stopami i ten dźwięk wydał mu się w nocnej ciszy niezwykle głośny.

- Rass, czy to ty?

Profesor uniósł głowę i spojrzał na stojący przed domem doktora Shermana powóz, ledwie widoczny w srebrzystym świetle księżyca. Sylwetka Cleo, czarnej klaczy, zlewała się całkowicie z tłem nocnego nieba.

- Jestem tutaj, Jake! - zawołał, idąc wysypaną żwirem ścieżką w stronę pojazdu.

Chłopiec zręcznie zeskoczył z kozła i wyciągnął rękę w jego stronę.

- Może ci pomóc?

- Dziękuję - odpowiedział Rass, po czym z pomocą Jake'a wspiał się po metalowych stopniach powozu i usiadł na pokrytym skórą siedzeniu.

Jake zajął miejsce obok niego, szarpnął lejcami i Cleo ruszyła leniwie w stronę domu.

Po chwili znaleźli się poza miasteczkiem, na polnej drodze biegnącej pomiędzy rozległymi łąkami i uprawnymi polami. Słychać było tylko jednostajne stukanie kopyt o ubitą ziemię i skrzypienie kół powozu.

- Dziękuję za kolację, Rass. Jedzenie było wspaniałe - odezwał się w pewnym momencie Jake.

- W chińskiej restauracji dania są smaczniejsze - odparł Rass, próbując się uśmiechnąć.

- Ale ja nie byłbym w stanie ich przełknąć. To, co nam zaproponowali, wyglądało jak glisty w marynacie.

Rass roześmiał się nieoczekiwanie dla samego siebie. Nastrój nieco mu się poprawił.

- To prawda, że w tej restauracji z domowymi obiadami też potrafią podać coś smacznego.

- O tak, tylko że obsługują bardzo wolno. Chyba dochodzi już jedenasta.

- Nie mamy powodu do pośpiechu.

Profesor opadł na skórzane oparcie i westchnął ciężko. Znowy myślał o Mariah i Mad Dogu i po raz setny chyba zastanawiał się, czy dobrze zrobił, zostawiając ich samych.

Znakomicie do siebie pasowali. Był tego z każdym mijającym dniem coraz bardziej pewny. Tylko że Mad Dog to nie najlepszy wybór i Rass wiedział o tym doskonale od momentu, gdy pierwszy raz go zobaczył. Zazwyczaj odsuwał tę myśl od siebie, ale uparcie wracała, zwłaszcza gdy czuł się stary i osamotniony. Dręczyła go wtedy obawa, że ten człowiek opuści jego córkę i to pogłębi tylko jej ból i wtrąci ją w otchłań rozpaczy, z której się już nigdy nie wydobędzie.

Ach, Greto, pomyślał, zamykając oczy. Czy ja słusznie postępuję? W wyobraźni ujrzał twarz żony, której obraz nosił w sercu jak cenny skarb. Ogarnęła go fala wspomnień. Był zbyt zmęczony, by z nimi walczyć. Osamotnienie i tęsknota przygniatały go tak bardzo, że z trudem oddychał. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Ach, Greto - westchnął cicho.

- Zle się czujesz, Rass? - zaniepokoił się Jake.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Byłeś z wizytą u lekarza. Widziałem szyld i pomyślałem... Rozumiesz, gdybyś się dobrze czuł...

- Doktor Sherman jest moim przyjacielem.

Nie była to do końca prawda, ale Jake chyba tego nie zauważył.

- Ach, tak - mruknął.
- Ale lepiej nie mów Marian., że go odwiedziłem.
- W porządku.

Profesor przyjrzał się twarzy chłopca, oświetlonej bladym światłem księżyca. Jake siedział wyprostowany, z rękami opartymi o krawędź powozu, i mocno ścisnął lejce. Rass patrzył na jego starannie przycięte włosy, złocistorude pukle wystające spod czapki.

Przypomniawszy sobie teraz kogoś innego, kto też miałby zapewne rudą czuprynę. Tak, Thomas skończyłby już szesnaście lat, byłby dokładnie w wieku Jake'a. Mimo że upłynęło tyle czasu, profesor nie mógł bez bólu myśleć o tamtym niemowlęciu, którego życie tak szybko zgasło.

- Rass...- Cichy głos Jake'a przeciął nic wspomnień starego mężczyzny.
- Słucham?
- Potrzebna mi twoja pomoc w pewnej sprawie.

Dzięki tej prośbie Rassowi udało się odsunąć od siebie bolesne rozmyślania i wrócić do rzeczywistości, do tego, co działo się wokół.

- Pomogę ci, Jake, jeśli tylko potrafię.
- Ja... Jakoś trudno mi nawiązać kontakt z Mad Dogiem... a przyszedłem po to, żeby go poznać...

Profesor wyprostował się. Ta informacja była zupełnie nieoczekiwana. Kim był Mad Dog dla Jake'a? .?. - Naprawdę? Nie mówiłem ci o tym?

Rass przygryzł wargę i uważnie wpatrywał się w chłopca. Jake siedział jeszcze sztywniej niż przed chwilą, ale zaciśnięte na lejcach dłonie drżały. ~ Nie - odpowiedział Rass. - Nie mówiłem ci o tym.

- Hm... musiałem zapomnieć. - Chłopiec spróbował się rozeźmiać, ale ten wymuszony śmiech nie oszukał starszego pana.

- Ach, tak - mruknął.

Jake nerwowo zwilżył językiem wargi.

- Tak czy inaczej, przyszedłem tu z powodu Mad Doga. On jest sławnym bokserem. Wiesz chyba o tym.

Rass skinął głową. Oczywiście, nie wierzył w to, że Jake chce nawiązać kontakt z Mad Dogiem tylko dlatego, że jest on sławnym bokserem.

- W czym wobec tego tkwi problem? Obaj przebywacie na tej samej farmie, więc nie brakuje ci okazji, żeby go bliżej poznać.

Chłopiec odwrócił głowę; zarumienił się, może z zakłopotania, a może poczuł się zawstydzony.

- Tylko że on nie wykazuje chęci, żeby mnie bliżej poznać.

- Rozumiem. Chcesz wiedzieć, jak zbliżyć się do człowieka, który się tobą nie interesuje.

- Tak.

- To wcale nie jest takie trudne. Jeśli góra nie przyszła do Mahometa, to Mahomet powinien przyjść do góry.

- Co to znaczy?

- Sprawa jest prosta. Przybyłeś tu, żeby poznać Mad Doga. Skoro on nie kręci się obok twoich drzwi, to ty powinieneś zapukać do niego.

- Jemu się to nie spodoba. - Jake potrząsnął głową.

- No więc co proponujesz?

- Uważasz, że powinienem snuć się za nim, dopóki nie zwróci na mnie uwagi i nie zacznie ze mną rozmawiać?

- Czemu nie. - Rass wzruszył ramionami.

- A co będzie, jeśli od niego oberwę?

- Wtedy mu oddasz.

- On jest zawodowym bokserem, nie pamiętasz? Mógłby

mnie zabić. Nie mam zielonego pojęcia, jak się bronić. Mama nie chciała, żebym uczył się walczyć. Uważała, że to jest marnowanie czasu.

- Wszystkie kobiety tak myślą. To jest wspólna cecha ich natury.

- Tego nie wiem, ale ona zawsze mówiła, że bójki niczego nie rozwiązują.

- A może Mad Dog nauczyłby cię walczyć? To mogłoby was zbliżyć na jakiś czas.

- Świetny pomysł. - Jake się rozpromienił.

- Jestem profesorem, mój chłopcze. Pomysły to moja specjalność - powiedział z dumą Rass i poczuł, że ostatnie smutne myśli rozplywają się. Wrodzony optymizm wziął w nim górę.

Mariah powoli budziła się ze snu. Ziewnęła i przeciągnęła się leniwie. Przy każdym ruchu czuła ból w mięśniach.

Jęknęła. Miała wrażenie, że jest kompletnie rozbita, a przy tym czuła się cudownie. W na pół uśpionym jeszcze umyśle odżyły wspomnienia minionej nocy, niosąc ze sobą przyjemną falę ciepła.

Z wysiłkiem otworzyła oczy. Oślepiło ją słoneczne światło, szeroką smugą przecinającą jej sypialnię. Przez uchylone okno dobiegał świergot ptaków i odległe stłumione głosy.

Przeciągnęła się jeszcze raz i opuściła nogi na podłogę. Uśmiechając się ciągle, sięgnęła po flanelowy szlafrok i narzuciła go na siebie.

Wtedy właśnie przyszła jej do głowy myśl, którą odczuła jak silny, niespodziewany cios. Otulając się szlafrokiem, szybko podeszła do okna i otworzyła je szeroko. Poczowała na twarzy powiew chłodnego porannego powietrza.

Boże, spraw, żeby on jeszcze był, błagam, modliła się w myślach.

Rozsunęła koronkowe firanki i spojrzała na chatę dla pracowników. Drzwi były otwarte. Serce podskoczyło jej do gardła. On zawsze je zamykał. Wychyliła się z okna i rozejrzała po niewielkim podwórzu.

Wreszcie go zobaczyła. Stał przy pompie i mył twarz. Miał na sobie tylko wypłowiałe dżinsy.

Drżącymi dłońmi oparła się o parapet okna i opuściła głowę.

- Dzięki Bogu - szepnęła z ulgą.

Powoli uniosła głowę i spojrzała w jego stronę. Zastanawiała się, co właściwie czuje do Mad Doga. Wiedziała tylko, że po raz pierwszy od wielu lat cieszy się nadchodzącym dniem, niecierpliwie czeka na to, co jej przyniesie. Poczula się młoda, wolna i na tyle śmiała, by sięgnąć po to, czego pragnie.

A pragnęła Mad Doga.

Wszystko wydawało jej się niezwykle proste. Zdawała sobie sprawę, że nie zatrzyma go tu na długo, a kiedy on *odejdzie, ona nigdy już nie będzie w takim nastroju jak teraz*. Musiała więc wykorzystywać czas, kiedy są razem, cieszyć się każdą chwilą.

Uśmiechnęła się. Boże, jak to dobrze cieszyć się tym, co jest, i nie oczekiwać od losu wielkich zmian.

Mad Dog spojrzał nagle w stronę Mariah, uśmiechnął się i pomachał jej ręką.

Odżyły wspomnienia minionej nocy i wywołały miły dreszcz. Wysunęła rękę za okno i odwzajemniła gest powitania.

- Dzień dobry, panie Stone - zawołała.

- Dzień dobry, panno Throckmorton - odkrzyknął. Zauważyła ojca, który od strony sadu zbliżał się do Mad

Doga. Powiedział coś, czego nie dosłyszała. Dotarło do niej tylko słowo „chmury”.

Mad Dog odwrócił się w stronę Rassa i wtedy Mariah dostrzegła czerwone ślady zadrapań, biegnące w poprzek jego pleców. Patrzyła na nie przez chwilę z przerażeniem, po czym

przyjrzała się swoim paznokciom i wprost nie mogła uwierzyć, że zrobiła coś takiego. W końcu zerknęła na ojca.

- O mój Boże! - jęknęła i zasłoniła usta dłonią. On zaraz zauważył, co zrobiłam z plecami Mad Doga, i oczywiście natychmiast będzie wiedział, co się działo w nocy, pomyślała w panice. - O Boże!

Cofnęła się od okna i podbiegła do szafy. Wyjęła pierwszą z brzegu brązową suknię, ubrała się pośpiesznie i boso zbiegła po schodach do sieni.

Zerknęła przez otwarte drzwi do kuchni i zobaczyła na stole naczynia pozostałe po porannym posiłku.

- Na Boga, zapomniałam o śniadaniu! - jęknęła cicho.

Wybiegła na ganek, potem na podwórze i kiedy dotarła wreszcie do ojca i Mad Doga, była zadyszana i zarumieniona.

- Dzień dobry - powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał w miarę spokojnie.

- Witaj, Mariah. Nie zeszaś na śniadanie. - Rass spojrział na nią i na moment ściągnął brwi. - Masz rozpuszczone włosy.

- Ja... Gdzieś zawieruszyły mi się spinki...

- Hm... Po raz pierwszy. - Starszy pan spojrział na nią wymownie.

- Ściśle mówiąc nie. - Mad Dog się roześmiał.

Gdy Mariah szturchnęła go łokciem w bok, jęknął z bólu, potem kaszlem starał się zamaskować ten dźwięk.

Mariah próbowała uśmiechnąć się do ojca. Ten nieznacznie zmarszczył czoło i zapytał:

- Czy w nocy nie mieliście tu żadnych kłopotów? Mariah poczuła, że rumieni się jeszcze bardziej.

- Nie, wszystko było w porządku.

Stali przez chwilę, patrząc na siebie i milcząc. Wreszcie Mad Dog odwrócił się, zamierzając odejść.

- No dobrze, pójdę już...

- Zaczekaj. - Mariah schwyciła go za ramię.

Nagle uświadomiła sobie niezręczność sytuacji, w jakiej się znalazła. Ona, stara panna w średnim wieku, z potarganymi włosami, trzyma za rękę półnagiego, nieznajomego mężczyznę, jak gdyby miała prawo go dotykać.

Zmusiła się do uśmiechu, schyliła i podniosła leżącą na ziemi czarną koszulę.

- Chciałam tylko zwrócić uwagę, panie Stone, że jest pan niekompletnie ubrany. - Podała mu koszulę. - Nie wypada pokazywać się w takim stroju.

- Naprawdę?

Profesor gwizdnął cicho i potrząsnął głową.

- Może to dziwne, ale odnoszę wrażenie, jakbym nie został o czymś poinformowany.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, Rass - powiedział Mad Dog, wkładając koszulę.

Mariah odetchnęła z ulgą, widząc, że jego plecy są już osłonięte. Zastanawiała się, jak rozładować sytuację.

- Kiedy stałam w oknie, zdawało mi się, że usłyszałam, jak któryś z was mówi coś o chmurach.

- To ja wspomniałem Mad Dogowi o naszym dawnym zwyczaju obserwowania chmur. Znakomity dzień na taką zabawę - powiedział Rass.

„Obserwowanie chmur”. Fala pięknych, a zarazem gorzkich wspomnień ogarnęła Mariah.

- Nie robiliśmy tego od lat. Od czasu, gdy.... - Słowa utknęły jej w gardle.

- Od czasu, gdy byłaś dzieckiem - dokończył starszy pan, uśmiechając się do córki. Potem zwrócił się do Mad Doga; -To była jedna z naszych ulubionych rozrywek.

- Masz na to ochotę? - zapytał Mad Dog, zerkając na Mariah.

Wymówił te słowa cicho, ciepło, z takim życzliwym zainteresowaniem, że poczuła ucisk w sercu. Miała ochotę go

dotknąć, podziękować za wszystko, co od niego otrzymała. Zdobyła się jednak tylko na to, by powiedzieć:

- Tak.

W milczeniu ruszyli w stronę pagórka nad strumieniem. Mijając stodołę, zobaczyli Jake'a, który szykował się do malowania płotu.

- Chodź, Jake! - zawołał Rass. - Idziemy na ładny spacer.

Chłopiec odłożył pędzel i podbiegł do nich. Profesor zaprowadził ich na niewielki, porośnięty gęstą trawą pagórek i się zatrzymał.

- Jesteśmy na miejscu. Kładziemy się teraz na trawie tak, żeby utworzyć kształt krzyża. Głowy mają się stykać.

Rass ułożył się nogami w stronę północy; nogi Mad Doga zwrócone były na południe, Jake'a na zachód, a Mariah na wschód. Pośrodku krzyża stykały się ich głowy.

- Ty, Mariah, zaczynasz - polecił cicho Rass.

Mariah zamknęła oczy. Poranny wiatr chłodził jej policzki. Leżąc na chłodnej, na wpół zeschniętej trawie, czuła, że zapada się w przeszłość. Znów była dzieckiem...

Potrafili tak leżeć i obserwować chmury przez długie godziny. Ona i jej rodzice traktowali to jak wielką rodzinną przygodę; pograżali się w ukryte marzenia, szukali zapomnianych radości. Spędzali ten czas wspólnie, rozmawiając, chichocząc.

Głowy musiały się stykać, gdyż Rass uważał, że w ten sposób splatają się ich myśli i tworzy się pomiędzy nimi magiczna, trwała więź.

Mariah uśmiechnęła się na to wspomnienie. Jako dziecko wierzyła, że mogą wzajemnie odczytywać swoje myśli, i zdawało się, że naprawdę potrafią to robić. W miarę dorastania przestawała w to wierzyć. Dojrzewający umysł kwestionował wszystko. W jakiś sposób, niemal niepostrzeżenie, została wyłączona z tego kręgu miłości. Nie umiała już odczytywać myśli rodziców, a oni nadal potrafili nawzajem się rozumieć.

Wtedy właśnie przestała się w to bawić. Powiedziała rodzicom, że jest zbyt dorosła, by wierzyć w magiczne działania rytuału obserwowania obłoków, i że jest to nierozsądne marnowanie czasu. Wtedy po raz pierwszy okłamała ich i siebie.

Przypuszczała, że zaniechają tej zabawy, ale, oczywiście, nie zrobili tego. Obserwowali obłoki bez niej. I to właśnie było najbardziej bolesne. Pamięta, jak stała na ganku i patrzyła na rodziców. Szli przez pola, trzymając się za ręce, potem kładli się na trawie. Wyraźnie nie odczuwali jej braku.

- Mariah? - łagodny głos ojca sprowadził ją do rzeczywistości.

Zamknęła oczy, czując napływające do nich łzy. Zmagala się z własną słabością. Stopniowo udało jej się przyjść do siebie. Jej oczy znów były suche. Odchrząknęła i spojrzała w niebo, po którym płynęły puszyste białe chmury.

Obłok, przypominający kształtem śniegowego bałwana, oderwał się od dużej chmury i powoli żeglował w lewo.

- Widzę małego chłopca w czapce z pomponem... - Głos jej się załamał. Odżyło wspomnienie o Thomasie, wywołując bolesny skurcz serca.

Usłyszała jakiś szelest obok siebie, ale zanim zdążyła odkryć jego źródło, dłoń Mad Doga zacisnęła się na jej dłoni. W całym ciele odczuła ulgę wywołaną tym ciepłym, współczującym dotknięciem.

Odwróciła głowę w jego stronę. Ich twarze były blisko, rozdzielały ich tylko źdźbła zeschniętej trawy. Milczał, ale wyraz jego szarych oczu świadczył o tym, że wszystko rozumie.

Ogarnęła ją fala czułości i wdzięczności. Po raz pierwszy w życiu ktoś wyciągnął do niej rękę i powiedział - bez słów - że nie jest samotna.

Mariah uśmiechnęła się i w milczeniu uścisnęła dłoń Mad Doga. Nie wiedziała, co mogłaby mu powiedzieć.

- A co ten chłopiec robi, Jake? - zapytał Rass, próbując nadać bieg zabawie.

Mariah odwróciła twarz ku niebu, to samo zrobił Mad Dog, ale nadal trzymał ją za rękę.

- Opuszcza dom - powiedział Jake. - Ta duża chmura to dom, a druga, mniejsza, to jego ojciec. Chłopiec idzie w stronę ojca, ale nie może go dogonić. Wiatr popycha ich w różne strony.

- Ja tam widzę jeszcze barmankę z obfitym biustem i wielką fryzurą - rzekł Mad Dog. - Ona też ściga tego tatusia. - Uśmiechnął się i wskazał ręką w górę. - O, on właśnie zwolnił, żeby dać się złapać.

Jake roześmiał się i ten chłopięcy śmiech sprawił, że wszystkim poprawił się nastrój. Smutki rozplynęły się w pachnącym jabłkami powietrzu.

Długo jeszcze wszyscy czworo leżeli na trawie pośród opadłych jesiennych liści, patrząc na błękitne niebo i płynące po nim białe obłoki.

Mad Dog przez cały czas trzymał Mariah za rękę.

Jake, zdenerwowany do ostatnich granic, czekał na Mad Doga pod chatą dla pracowników. Przeształ z nogi na nogę, raz po raz zaciskając dłonie w pięści. Próbował zmusić się do uśmiechu, odpreżyć.

Przecież potrafię to zrobić, przekonywał siebie. Cóż w tym strasznego spojrzeć mu w oczy i zadać pytanie. To w końcu tylko pytanie, zwykłe proste pytanie.

„Mad Dog, czy mógłbyś mnie nauczyć walczyć?”

Skrzywił się. Nie, tak nie będzie dobrze. To zbyt oficjalne. Ojciec roześmieje się i nawet się nie zatrzyma.

„Hej, Mad Dog, chcesz się poboksować?”

Też nie. Zupełnie jakby chciał zrobić mu uprzejmość. Potrzebne mu były takie słowa, na jakie Mad Dog zareaguje, wreszcie go zauważy. To była sprawa zasadnicza.

Do tej pory Mad Dog nie zwracał na niego uwagi i Jake próbował nie myśleć o tym, jak bardzo go to boli. Wprawdzie rozmawiał z nim, nawet parę razy zażartował, ale nie wytworzyła się między nimi więź, ta magiczna więź łącząca ojca z synem, w którą Jake zawsze wierzył. Coś takiego pomiędzy nim i Mad Dogiem nie zaistniało.

Nawet wczoraj, kiedy razem obserwowali obłoki, nic takiego się nie pojawiło. Śmiali się, rozmawiali, ale nie było to tym, o czym chłopiec marzył całe życie. Mad Dog okazał się całkowicie głuchy na oczywistą aluzję, kiedy Jake powiedział o chłopcu-obłoku szukającym ojca.

- Hej, chłopcze, wyglądasz, jak gdybyś się czymś martwił. Co się stało?

Jake uniósł głowę. Mad Dog stał przed nim i się uśmiechał.

- Coś ci dolega?

Chłopiec nie był w stanie się poruszyć, nie mógł nawet przecząco pokręcić głową. Czuł się tak upokorzony, że chciał odejść, ale Mad Dog przytrzymał go za rękę.

- Chcesz może czegoś ode mnie?

- Co.. Czego mógłbym chcieć?

- Stoisz tu, jak gdybyś na mnie czekał. Po prostu pomyślałem, że masz do mnie jakąś sprawę.

Jake uświadomił sobie nagle znaczenie tego, co się dzieje. Mad Dog nie przeszedł obojętnie obok niego, zatrzymał się, zainteresował się nim, zapytał, czego chce. Zupełnie jak gdybym coś dla niego znaczył, pomyślał.

O to przecież chodziło. Teraz tylko musiał zrobić coś, by nawiązać z ojcem kontakt. Uniósł głowę, próbując zaczerpnąć odrobinę nadziei z jego oczu, ale natychmiast zorientował się, że to nie wystarczy.

- Pomyślałem... zastanawiałem się... to znaczy miałem nadzieję...

- Tak, Jake?

Chłopiec zwilżył nerwowo wargi, zacisnął dłonie w pięści i wreszcie wydukał:

- Czy... czy mógłbyś nauczyć mnie walczyć?

- Chcesz nauczyć się boksować. Dlaczego? - Mad Dog zmarszczył czoło.

Nie roześmiał się! Jake doznał ogromnej ulgi. Teraz wie-

ZAGUBIENI

dział, że jego plan może się powieść. **Odetchnął** głęboko i powiedział:

- Powiniennem umieć się bronić w razie potrzeby. - Opuścił głowę i cicho dodał: - Rozumiesz... chciałbym być taki jak ty.

- Nie uwierzę, że chciałbyś się stać kimś takim jak ja -rzekł Mad Dog po długiej chwili milczenia.

- Chciałbym.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno.

- Widzisz, chłopcze, ja popełniałem w życiu różne błędy. Poważne błędy. Nie jestem człowiekiem, który może być wzorem.

Jake zamarł, po chwili jednak zdobył się na odwagę, by zadać pytanie;

- Jakie błędy?

- Och, nie warto o tym mówić. Po prostu pomyłki.

Chłopiec wiedział, że nie powinien dalej pytać, ale nie mógł się powstrzymać.

- Czy... czy ty masz dzieci?

- O, nie. Nie jestem aż tak głupi. To jest ten rodzaj pomyłki, której nie możesz zostawić za sobą, nie możesz od niej odejść.

Rozczarowanie, jakiego doznał Jake, było wprost druzgocące. Odwrócił głowę, by ukryć łzy napływające mu do oczu. Zrozumiał, że nie powinien był zadać tego pytania.

Jestem durniem, idiotą, wyrzucał sobie.

Przecież nie powinno mnie to zaskoczyć, powinienem pamiętać to, co mówiła matka, pomyślał. Dla Mad Doga dzieci były pomyłką, a więc ja jestem jego pomyłką. Chłopiec nigdy dotąd nie pozwał sobie na takie myśli. Zawsze wierzył, że ojciec go zaakceptuje.

- Jake? Co z tobą? Coś cię dręczy?

Chłopiec chciał odpowiedzieć, że tak, wykrzyknąć, że jest jego synem, jego pomyłką.

Poczuł dłoń Mad Doga na ramieniu, ale nie przyniosło mu to ulgi. Całe to wędrowanie, ukrywanie się, kłamanie było marnowaniem czasu. Okazało się nic niewarte. Kiedy Mad Dog pozna prawdę, nie przejmie się tym. Nie będzie łez, czułych uścisków.

Jestem tylko cholerną pomyłką, użalał się nad sobą Jake.

Mad Dog odejdzie i będę tak samo samotny jak teraz. Pozbędę się tylko głupich, dziecięcych marzeń.

- Czy naprawdę chcesz, żebym uczył cię boksu? - odezwał się nagle Mad Dog tonem, w którym wyczuwało się wahanie, jak gdyby nie wiedział, co powiedzieć.

- Słucham?... Och, tak - odparł Jake, wyrwany z zamyślenia.

Mad Dog uśmiechnął się zachęcająco.

- Dobrze, idziemy. Kolacja będzie dopiero za godzinę.

Chłopiec poczuł, że coś w nim odżywa. Ziarenko nadziei znów zaczęło kielkować w jego sercu. Uśmiechnął się, chociaż zdawał sobie sprawę, że sam się oszukuje. Wiedział, że Mad Dog nigdy naprawdę nie zainteresuje się swoim synem, ale mimo to znów zaczął wierzyć, że jego marzenia się spełnią. Pomyślał, że jest chyba równie szalony jak matka. Ona też nigdy nie przestała wierzyć w powrót Mad Doga.

Milcząc, poszli w ustronne miejsce obok szklarni. Tam Mad Dog się zatrzymał.

- W porządku - rzucił. - Zaczniemy od podstaw. Pokaż najpierw, czego nauczył cię twój ojciec.

- Kto?- Pytanie wyraźnie zaskoczyło Jake'a.

- Twój ojciec. Na pewno próbował pokazać ci, jak się walczy. Czego cię nauczył?

- N...niczego - wyjąkał Jake. Potem pomyślał, że to może być dobry początek rozmowy. Mógł dowiedzieć się czegoś o Mad Dogu.

- A czy twój ojciec uczył cię walczyć? - zapytał.

Mad Dog znieruchomiał. Jake dostrzegł w jego twarzy, w oczach coś, czego nie rozumiał.

- Czego cię nauczył? - zapytał chłopiec ponownie, zbliżając się do niego.

Mad Dog roześmiał się, ale nie był to radosny śmiech.

- Od ojca obrywałem tylko ciosy - powiedział, potem odchrząknął i potrząsnął głową. Gdy dziwny wyraz zniknął z jego twarzy, uśmiechnął się i zwrócił *do* Jake'a: - Stań tutaj. Nogi szeroko rozstawione, plecy proste, pięści na wysokości piersi.

Chłopiec posłusznie wykonał polecenie.

- Jesteś za bardzo napięty. Spróbuj się rozluźnić. Poskacz trochę.

Jake podskoczył niezdarnie; czuł się wyjątkowo głupio.

- Nie będę patrzył, dobrze? Skacz, dopóki nie poczujesz się całkiem swobodnie - poradził Mad Dog.

Chłopiec doznał ulgi, gdy ojciec się odwrócił. Podskakiwał przez chwilę, machał rękami, aż napięcie powoli minęło.

- Już się odprężyłem.

- To świetnie. Teraz stań z pięściami uniesionymi... o tak.

Jake przyjął pozycję taką samą jak Mad Dog.

- Zaczniemy od ćwiczenia refleksu. Kiedy zadam cios, ty zrób unik.

- Od razu zaczniemy od ciosów? - zapytał nieco przestraszony chłopiec.

- To jest walka, Jake, a nie zabawa. Boks polega na zadawaniu ciosów.

- Och... czy to będzie bolało?

- Będzie, jeśli w porę nie zrobisz uniku - odparł Mad Dog, unosząc jedną brew.

Mariah skradała się schodami prowadzącymi na piętro, krzywiąc się za każdym razem, gdy deski skrzypnęły pod jej stopami.

- Rass?! - zawołała. - Jesteś tam?!

Odpowiedziała jej cisza.

Zerknęła w głąb ciemnego korytarza. Drzwi sypialni ojca były zamknięte. Minęła je, przeszła obok gabinetu, swojej sypialni i zatrzymała się dopiero przy drzwiach pokoju matki.

Serce biło jej jak u spłoszonego królika. Od ośmiu miesięcy, od czasu śmierci matki, nie zaglądała do tego pokoju, nawet nie próbowała w nim posprzątać. Raz tylko, tuż po pogrzebie, weszła samotnie do tego sanktuarium Grety. Mimo bólu głowy, wywołanego zmęczeniem i długo tłumionym płaczem, starając się nie myśleć o matce, uporządkowała pozostawione przez nią rzeczy, potem wyszła z pokoju, zamknęła za sobą drzwi i nigdy tu już nie wróciła. Dopiero teraz.

Możesz to zrobić, przekonywała siebie. Możesz tu wejść, To jest po prostu pokój...

Wyprostowała się, sięgnęła do klamki, nacisnęła ją i pchnęła .. drzwi.

Przez duże okno w zachodniej ścianie wpadały promienie słońca, przytłumione koronkową firanką, kupioną przez matkę w jednym z najdroższych magazynów. Meble przykryte białymi pokrowcami przypominały duchy.

Przez dłuższą chwilę nie mogła się poruszyć. Potem odetchnęła głęboko, weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Czowała zapach zastarzałego kurzu i pajęczyn. Kaszląc, podeszła do stojącego pod oknem mebla i zrzuciła z niego pokrowiec.

Sekretarzyk matki. Dotknęła jego dębowego blatu. Wyobrażenia kazała jej cofnąć się w przeszłość.

„To jest sukienka dla ciebie, kochanie. Dla mojej najdroższej dziewczynki...”.

Mariah z westchnieniem odsunęła od siebie wspomnienia. Nie mogła myśleć o matce. Nawet teraz, po upływie niemal roku, nie była w stanie. Gdyby to zrobiła, zaczęłaby płakać i chyba nigdy by nie przestała.

Ostrożnie uniosła blat sekretarzyka. Wnętrze było niemal puste, czego się zresztą spodziewała. Niegdyś pełno w nim było drobiazgów -ołówków, papierów, zdjęć w rzeźbionych ramkach - szuflada pachniała lawendą. Teraz Mariah czuła tylko zapach drewna i kurzu.

Jedyne, co zostawiła tutaj, porządkując pokój po śmierci matki, to parę pożółkłych egzemplarzy zurnali „Godey's Lady's Book”.

Podpierając głową odchylony blat, wyjęła kilka magazynów, potem, starając się nie hałasować, zamknęła sekretarzyk. Narzuciła na mebel pokrowiec i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

Przyciskając magazyny do piersi, poszła do sypialni. Dopiero tu, w zaciszu swojego pokoju, kiedy oparła się o drzwi i głęboko odetchnęła, potrafiła się obronić przed napierającą na nią ze wszystkich stron falą wspomnień.

Powoli odzyskała równomierny oddech i podeszła do łóżka. Usiadła na jego krawędzi i zaczęła przeglądać magazyny, szukając fryzury, którą mogłaby zastąpić ciasno związany kok, jaki nosiła od lat. Starła się myśleć tylko o fryzurze, co pomogło jej pozbyć się przykrych myśli wywołanych wizytą w pokoju matki.

Przeglądała trzeci z kolei magazyn, gdy usłyszała jakieś dziwne odgłosy, dobiegające do niej przez uchylone okno.

Odłożyła czasopisma, podeszła do okna, otworzyła je szeroko i wychyliła głowę na zewnątrz.

To, co zobaczyła, przeraziło ją. Mad Dog zamachnął się i uderzył Jake'a w szczękę. Chłopiec zachwiał się i oparł o ścianę szklarni.

Mariah krzyknęła cicho. Ogarnął ją gniew. Odskokczyła od

okna i wybiegła z pokoju. Po chwili, z rozwianymi włosami, pędziła przez podwórze do szklarni.

- Co ty, u diabła, robisz?! - krzyknęła do Mad Doga.

- O co chodzi? - zapytał zaskoczony, odwracając się w jej stronę.

- Uderzyłeś to dziecko - powiedziała, wskazując palcem Jake'a.

- Nie jestem już dzieckiem - sprostował chłopiec. - Mam szesnaście lat.

Mad Dog uśmiechnął się do niej.

- No widzisz, Jake, wygląda to tak, jak gdyby biorące się za czuby kurczęta przyłapała groźna kwoka. - Wyciągnął rękę do Mariah.

- Nie próbuj obracać tego w żart. - Odtrąciła jego dłoń. - Uderzyłeś go.

- Owszem, uderzyłem.

- Nawet nie próbujesz się usprawiedliwić.

- Czyżby było to potrzebne?

- Mad Dog uczy mnie walczyć, Mariah - odezwał się Jake, pocierając zaczerwieniony policzek.

- Uczy cię walczyć? Po co? - Zaskoczona, odwróciła się w stronę Jake'a.

- Chłopiec musi umieć się bronić. To męska sprawa - stwierdził Mad Dog.

- Niepotrzebne mu są pięści do obrony - oświadczyła ze złością, nie dając się ułagodzić przymilnym uśmiechom Mad Doga.

- Nawet jeśli ktoś zaatakuje go kolbą strzelby? Co ty na to, Mariah? - zapytał i podszedł do niej tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech. Na ułamek sekundy zapomniała, o co się spierają.

- Chcę się nauczyć walczyć, Mariah. Naprawdę chcę - wtrącił się Jake.

Spojrzała chłopcu w oczy i dostrzegła w nich zdecydowanie. Westchnąwszy, skrzyżowała ręce na piersiach. Stało się dla niej jasne, że Jake z pewnych oczywistych dla siebie powodów bardzo tego pragnie.

Nie jesteś jego matką, pomyślała i bardzo ją to zabolalo. Cóż mogła wiedzieć o pragnieniach młodego chłopca, prawie mężczyzny? Wzruszyła ramionami i powoli opuściła ręce.

Jake patrzył na nią błagalnie, jakby prosił ją, żeby zrozumiała.

- Ja po prostu nie uskokczyłem w porę i to wszystko -próbował ją przekonać.

- Boję się, żebyś nie zrobił mu krzywdy - zwróciła się do Mad Doga. Starala się przy tym uniknąć zbyt matczynego tonu.

- Trudno, jeśli nie będzie dość szybki, to zawsze oberwie. To jest jasne i proste - stwierdził poważnie Mad Dog, a potem zerknął na Jake'a: - Chcesz się dalej uczyć?

- Tak! - zawołał z zapałem chłopiec. — Oczywiście.

- Ból jest składnikiem życia, Mariah - rzekł Mad Dog, patrząc na nią. - Nierozsądne byłoby udawać, że jest inaczej. Chłopiec musi się nauczyć dbać o siebie, a lekcje boksu nie zawsze są przyjemne. Chyba to rozumiesz?

Jego spokojne słowa napełniły ją smutkiem. Były w jego stylu, szczere i trafiające do serca. W przeciwieństwie do niej, patrzył na wszystko trzeźwo, widział jasno to, czego ona starała się nie dostrzegać.

- Tak, rozumiem - odparła cicho i naprawdę rozumiała, zapewne lepiej, niż on sądził. Co jak co, ale bolesne życiowe lekcje rozumiała doskonale.

Ich spojrzenia spotkały się - jej przepelnione smutkiem, jego czulością.

. - Ach, Mariah... - Wyciągnął do niej rękę. Drgnęła w oczekiwaniu jego dotknięcia.

On jednak jej nie dotknął. Nachylił się tak, że czuła jego oddech na policzku, i szepnął jej do ucha tak cicho, że tylko ona mogła usłyszeć:

- Postąpiłaś bardzo ładnie, przybiegając tu, gdy sądziłaś, że go biję. Większość... - głos mu się załamał - większości kobiet zabrakłoby odwagi. Byłabyś wyjątkowo dobrą matką.

Marian straciła na moment oddech. Wypełniła ją taka radość, że miała ochotę rozplakać się. Te słowa znaczyły dla niej więcej, niż mógł przypuszczać. Z wysiłkiem stłumiła łzy cisnące się do oczu.

Spojrzała na niego i napotkała przejmująco szczere spojrzenie. Nagle zapragnęła opowiedzieć mu o Thomasie, po dzielić się z nim przygniatającym ją ciężarem smutku. Wiedziała, że przyniosłoby to ulgę jej udręczonemu sercu.

- Chodź, Mad Dog, walczmy dalej.

Dziecięcy głos Jake'a zniweczył te zamiary, zepchnął je w otchłań niezrealizowanych szans.

- Tylko nie zrób mu krzywdy - szepnęła.

- Zawsze się staram tak postępować, by nikogo nie zranić - odrzekł Mad Dog, a jego szare oczy nadał wyrażały ściskającą, serce szczerość.

- Ale to się zdarza - powiedziała Mariah.

Mad Dog westchnął. Oboje wiedzieli, o czym mówią, i nie miało to nic wspólnego z boksem.

- Zdarza się.

Mariah jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Nerwowym ruchem próbowała wcisnąć jakiś niesforny lok w luźno zapleciony warkocz opadający na plecy.

Nie była to dokładnie ta fryzura, jaką od kilku godzin starała się ułożyć według wzoru znalezionej w jednym

z magazynów, ale nie przejmowała się tym. Zdecydowała, że zamiast wyszukanej elegancji wybierze swobodną fryzurę.

Wszystko byłoby dobrze, ale nie potrafiła się odprężyć. To tylko warkocz, tłumaczyła sobie. Kobiety zaplatają włosy od lat. Nie mam powodu, by czuć się tym skrepowana.

A jednak była. Zrobiła to dla Mad Doga. Chciała ładnie wyglądać. Teraz jednak nie wiedziała, co niepokoi ją bardziej - czy to, że on zauważy nową fryzurę, czy to, że jej nie zauważy. Od lat nie troszczyła się o swój wygląd i teraz uświadomiła sobie, jakie to miało zalety. Na samą myśl o reakcji Mad Doga odczuwała skurcz żołądka.

W tym momencie miała nadzieję, że nie zauważy.

Wyprostowała się, przyglądziła brązowy fartuch i odwróciła się od lustra. Z uniesioną głową i warkoczem kołyszącym się na plecach wyszła z domu.

W rogu podwórza, w obramowanym ceglami palenisku, płonął ogień, który rozpałała przed kilkoma godzinami. Nad nim wisiały poczerńiałe od sadzy kotły. Jake stał przy jednym z nich i mieszał wrzący przecier jabłkowy długą drewnianą łyżką. Rass siedział oparty plecami o szklarnię i *smacznie* spał.

Chłopiec spojrział na nią i się uśmiechnął.

- O rety!

- Co się stało? - zapytała, zatrzymując się obok niego.

- Jak ty ślicznie wyglądasz z tym warkoczem. Mariah poczuła falę ciepła podchodzącą do gardła.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się niepewnie.

Chłopiec wyjął łyżkę z soku i położył ją na ustawionym obok paleniska prowizorycznym stole.

- Zaczekaj chwilę, dobrze? - rzucił. - Zaraz wrócę.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł w kierunku stodoły i po chwili zniknął w jej wnętrzu.

Mariah uśmiechała się. Nagle poczuła się ładna, Pogwiz-

dując cicho, zaczęła obierać leżące na stole jabłka, ostatnie już z tegorocznego zbioru.

Po chwili ze stodoły wyszedł Jake i podbiegł do niej. Zdyszany zatrzymał się przed nią.

- Mariah?
- Słucham?

Przygryzł dolną wargę i nerwowo przełknął ślinę.

- Ja... chciałbym ci to dać. - Wyciągnął rękę. Na jego dłoni leżała wystrzępiona, pognieciona różowa wstążka.

Mariah patrzyła na nią i nagle poczuła przemożną chęć, by się rozpłakać.

Jake stał z opuszczoną głową.

- Należała do kogoś, kogo bardzo kochałem. Chciałbym, żebyś ty ją teraz miała.

Patrząc na niego, gdy tak stał z opuszczoną głową, wyciągniętą ręką, samotny i przestraszony, Mariah poczuła nieodparty przyływ czułości. Boże, jakże pragnęła wziąć go w ramiona i powiedzieć mu, jak wiele ten ofiarowany przez niego kawałek wstążki dla niej znaczy. Bała się jednak, że go przestraszy, że reagując zbyt emocjonalnie, pomniejszy znaczenie prezentu.

- To jest tylko stara, zwykła wstążka - powiedział drżącym nieco głosem.

Mariah uświadomiła sobie, że zbyt długo stoi tak, nic nie mówiąc. Wyciągnęła rękę i wzięła wstążkę.

- Zawiążesz mi ją?

Uniósł głowę i zauważyła, że oczy ma dziwnie lśniące, zapewne od łez.

- Naprawdę chcesz...?- zaczął.
- Cieszę się, że będę mogła ją nosić, Jake.

Podszedł do niej, wziął z powrotem wstążkę, a ona odwróciła się do niego plecami.

Z wyraźnym wahaniem rozwiązał tasiemkę na końcu jej warkocza i zastąpił ją różową wstążką.

ZAGUBIENI

- Gotowe. - Cofnął się o krok.

Odwróciła się.

Chciała mu coś powiedzieć, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Od tak dawna nie wyrażała swoich uczuć, że nie wiedziała już, jak się to robi. Patrzyła tylko na niego, mając nadzieję, że chłopiec potrafi odczytać jej myśli.

Uśmiechnął się i był to uśmiech pełen pogody i serdeczności.

Pomyślała, że chyba je odczytał.



Mariah stała przy kuchennym oknie i patrzyła na podwórze. Budzący się świt rozjaśnił horyzont i rzucał smugi purpurowego i różowego światła na ciemne jeszcze nocne niebo.

Długo, niczym zahipnotyzowana, patrzyła, jak pierwsze promienie słońca przełamują mrok. Na zeschniętych trawach porastających pola lśnił szron. Przy bramie pastwiska stała Cleo, czekając na poranną porcję owsa. W chłodnym powietrzu unosiły się białe obłoczki pary, wydmuchiwane z jej nozdrzy przy każdym oddechu.

Lada dzień mógł spaść śnieg i pokryć okolicę skrzącym się białą dywanem.

Farma była przygotowana do zimy. Ciężka praca przy zbiorach dobiegła końca. Owoce zostały zerwane, posegregowane i zabezpieczone przed mrozem. Opadły ostatnie kolorowe liście z drzew. Nagie, bezlistne jabłonie wyciągały ramiona konarów ku mroźnemu niebu.

A Mad Dog nadal był tutaj.

Mariah uśmiechnęła się do siebie. Nie mogła w to uwierzyć. Każdego ranka, zaraz po przebudzeniu, biegła do okna,

odsuwała firankę i widziała smugę dymu wydobywającą się z komina chaty dla pracowników.

Dzisiaj też tak było.

Nachyliła się i przez zaparowaną szybę spojrziała na mały biały budynek. Ten widok jak zawsze nappełniał ją nadzieją. Jeszcze jeden dzień spędzą razem.

Podśpiewując cicho, wyjęła z szafki jajka i boczek oraz talerz z pozostałymi po wczorajszej kolacji jabłkami w cieście. Wrzuciła placki na patelnię i postawiła na piecu.

Usłyszała skrzypienie schodów, potem odgłos powolnych kroków ojca.

- Dzień dobry, Mariah - powiedział ochryplym, nieco bełkotliwym głosem.

- Dzień dobry, Rass. - Podeszła do kuchennego pieca i nappełniła filiżankę gorącą aromatyczną kawą. - Usiądź przy stole. Śniadanie będzie za piętnaście minut.

Starszy pan opadł ciężko na krzesło i wziął od córki filiżankę. Zaciskając drżące dłonie na gorącej porcelanie, oparł łokcie na stole i wypił łyk kawy.

- Za gorąca. Mam nadzieję, że zdążę ją wypić, zanim podasz śniadanie.

Mariah roześmiała się, słysząc jego codzienne poranne narzekania.

- Najwyżej zjesz trochę później - powiedziała i zajęła się krojeniem boczku na cienkie, równe plasterki.

Zaskrzypiały drzwi wejściowe i po chwili do kuchni wszedł Jake.

- Dzień dobry! - zawołał.

Mariah odwróciła się w jego stronę.

- Szykuję dzisiaj twoją ulubioną potrawę - powiedziała.

- Och, Boże! Mariah, mam już dość tych jabłek w cieście - jęknął Rass.

- Jake je bardzo lubi - zaprotestowała.

- Wiem, ale codziennie jabłka w cieście to trochę za wiele. -
Profesor się skrzywił, po czym zwrócił się do Jake'a: -Czy ty nie
lubisz czegoś innego?

- Owszem. Naleśniki z jabłkami -odparł chłopiec z uśmiechem.

Rass potrząsnął głową.

- Urodziłeś się chyba po to, żeby zamieszkać na farmie z
dużym sadem.

- Na tej farmie - powiedziała Marian.

Jake spojrział na nią, Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy, a oczy
zaczęły mu błyszczeć, jak gdyby napłynęły do nich łzy.

- Ja nie mam żadnego innego miejsca - odezwał się cicho.

Mariah odłożyła nóż i wytarła ręce w fartuch.

- Zawsze możesz traktować to miejsce jak swój dom, Jake. Mam
nadzieję, że wiesz o tym. Jesteś mi... - spojrzała na ojca i
poprawiła się -jesteś nam potrzebny. Pomyślałam, że teraz, jak
zrobiło się już chłodno, mógłbyś się przenieść do gościnnego
pokoju na parterze.

- Dziękuję. Z przyjemnością się przeniosę, jeśli jest to możliwe.

Zaskrzypiały otwierane drzwi wejściowe i z sieni dobiegł do
nich odgłos kroków.

- Chryste! - usłyszeli głos Mad Doga. - Znowu jabłka
w cieście.

Wszedł do kuchni, uśmiechając się, a Mariah poczuła, jak jej
serce rozpiera uczucie szczęścia na widok tego mężczyzny stojącego
w kuchni tak swobodnie, jak gdyby przebywał tu od zawsze. To
uczucie codziennie towarzyszyło jego pojawianiu się. Niekiedy
zastanawiała się, czy on też czasami czuje się jak członek ich
rodziny, ale szybko odsunęła od siebie tę myśl. Przyjęła jako
zasadę, że nie będzie zadawała takich pytań ani jemu, ani sobie. Na
razie musiała zadowolić się tym, że jeszcze są razem.

- Rozpieszczasz tego chłopca. - Oparł się o framugę drzwi.
- Jeśli masz jakąś ulubioną potrawę, to i ciebie będę rozpieszczać - odparła.
- Co byś powiedziała na kieliszek tequili?
- Jeśli jeszcze raz podasz nam jabłka w cieście, to gotów będę stanąć po stronie Mad Doga - mruknął Rass.
- Ale one są takie smaczne. Uwielbiam je - wtrącił Jake.

Mad Dog ruszył w stronę Mariah. Słyszała każdy jego krok, wyczuwała każdy ruch. Wstrząsnął nią dreszcz oczekiwania. Serce biło mocno, oddech stał się szybszy. Napotkała jego spojrzenie i dostrzegła skrywany ogień w jego wzroku. Wiedziała, że jest on odbiciem ognia, który płonie mu w sercu.

Odwróciła głowę, obawiając się, że ojciec zauważy wyraz jej twarzy. Coraz trudniej przychodziło jej ukrywanie uczuć do Mad Doga. Od tamtej pierwszej nocy kochali się kilka razy. Snuli się po terenie farmy jak para nastolatków, rozmawiali ze sobą, śmiali się i szukali miejsca, gdzie mogli być sami. Niezależnie od tego, jak często byli razem, ona chciała więcej.

Nie opuszczało jej pragnienie przebywania z nim. Ilekroć na niego spojrzała, czuła, że zmienia się wewnątrz.

Stanął za nią tak blisko, że wyczuwała na plecach ciepło jego ciała.

- Dzień dobry, Mariah - szepnął.
- Miała ochotę oprzeć się o niego, pozwolić, by ją podtrzymał.
- Dzień dobry, panie Stone.
- Roześmiał się i łagodny dźwięk jego śmiechu wywołał w niej niespodziewany skurcz serca.
- Pomyślałem... panno Throckmorton...
- Słucham, panie Stone? - zapytała i wstrzymała oddech.
- Nachylił się ku niej. Czuła jego oddech na szyi, gorący, wilgotny.
- Pomyślałem, że dzisiejszej nocy będę miał trochę, wol-

nego czasu - powiedział tak cicho, że tylko ona mogła to usłyszeć.

Odwróciła się i spojrzała w jego płonące pożądaniem szare oczy. Zachwiała się. Boże, jakże chciała go pocałować, tutaj, pośrodku kuchni, w obecności ojca i tego wrażliwego chłopca.

Próbowała zachować spokój, wyglądać tak, jak gdyby zupełnie nie poruszyło jej to, co usłyszała. Kolana drżały jej mocno; obawiała się, że ojciec to zauważy.

- Wieczorem - mruknęła.

- Nad rzeką jest już cholernie zimno - szepnęła i nachylił się ku niej tak, że na czole poczuła jego gorący oddech.

- Postaram się, żeby Rass poszedł wcześniej spać, i przyjdę do ciebie.

- Liczę na to, że już o zmroku będzie senny.

Nie potrafiła się powstrzymać; roześmiała się. Profesor poruszył się na krześle i zerknął w ich stronę.

- Co tak chichoczenie? - zapytał.

Mariah odwróciła się gwałtownie i zaczęła pośpiesznie kroić bekon.

- Nic takiego, Rass. Pan Stone chciał, żebym mu dała przepis na przyrządzanie kawy.

- Tak, Rass. - Mad Dog podszedł do stołu. - To takie moje hobby. Gdy tylko mam okazję, staram się poznać nowe przepisy na przygotowanie kawy.

Milczeli przez chwilę, potem wszyscy czworo wybuchnęli śmiechem.

Mariah schyliła się po wiklinowy kosz wypełniony ubraniami, potem sięgnęła po pudełko z przyborami do szycia i ruszyła do wyjścia.

Otworzyła frontowe drzwi i spojrzała na podwórze skąpane w ametystowym świetle wczesnego zmierzchu. Zobaczyła

Mad Doga i Jake'a, którzy w zakątku, obok szklarni, odbywali kolejną lekcję boksu.

Na ich widok poczuła falę miłego ciepła w okolicy serca. Przycisnęła mocniej do siebie wiklinowy kosz. Radością nappełniał ją fakt, że wychodząc z domu, w chłodny jesienny wieczór, może widzieć swoich chłopców zabawiających się na podwórzu.

„Moi chłopcy”. Przez moment wyobraziła sobie, że oni naprawdę są jej rodziną. Jake jest jej synem, a Mad Dog mężem.

Zamknęła oczy i próbowała bezskutecznie odpędzić od siebie te naiwne marzenia. Ostatnie dni jesieni stały się dla niej okresem magicznym, w którym realizują się niezwykle marzenia. Niewiele brakowało, by uwierzyła, że ten stan będzie trwał wiecznie.

- Chodź tutaj, Mariah.

Obejrzała się i zobaczyła ojca siedzącego na huśtawce -wygodnej ławie, zawieszanej na mocnych linach u sufitu ganku.

- Dobry wieczór, Rass.

Odsunął się na bok i wskazał jej miejsce obok siebie.

- Usiądź tu ze mną - powiedział.

Mariah spojrzała na ojca i się uśmiechnęła. Boże, jak dawno nie siedziała z nim na tej kołyszącej się ławie. Ścisnęło się jej serce na myśl, że znów mogłaby usiąść obok niego, należeć...

- Lubiałś tę huśtawkę. Zbudowałem ją dla ciebie, pa miętasz?

Słowo „pamiętasz” poruszyło ją głęboko. Trzymając w rękach kosz i pudełko z przyborami do szycia, podeszła do ojca i usiadła. Drewniana ława zatrzeszczała pod jej ciężarem. Przez chwilę milczeli, potem starszy pan zaczął powoli, delikatnie kołysać huśtawką. Ten jednostajny ruch przeniósł

Mariah w okres dzieciństwa, w miejsce i czas, kiedy nie czuła bólu złamanego serca. Na krótki czarowny moment wszystko wydawało się takie jak dawniej. Takie, jakie powinno być.

Jednego tylko brakowało. Matki.

Greta godzinami potrafiła siedzieć na huśtawce, cerując spodnie męża i skarpetki córki. I śmiała się. Zawsze była taka radosna.

- Co tu przyniosłaś? - zapytał profesor.

Sięgnęła do kosza i wyjęła połataną spodnie Jake'a. Pomyślała, że nie zdoła odpowiedzieć na pytanie ojca. Smutek ścisnął jej gardło. W milczeniu patrzyła na podwórze, sad i zabudowania farmy.

- Mariah? - odezwał się cicho, niemal szeptem Rass.

W tym momencie poczuła nagły przypływ odwagi. Odwróciła się w stronę ojca i zapytała: - Czy nadal... czy cały czas za nią tęsknisz?

- W każdej sekundzie, każdego dnia. - Starszy pan weschnął.

Mariah poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Ja też - szepnęła przez zaciśnięte gardło. Rass położył drżącą dłoń na jej ramieniu.

- Kochała cię, Mariah. Boże, jak ona cię kochała. Mariah wydawało się, że ciepło jego dotknięcia przenika

wprost do jej serca.

- Wiem o tym. I ja ją kochałam, żałuję tylko, że nie powiedziałam jej tego.

- Grecie niepotrzebne były słowa. I bez tego wiedziała. Rass mocniej ścisnął jej ramię.

- Ale powinnam jej powiedzieć.

Huśtawka kołysała się łagodnie. Mariah zacisnęła dłonie na szorstkim materiale spodni i wbiła w nie wzrok. Łzy napłynęły jej do oczu. Wiedziała, że gdyby w tym momencie spojrzęła ojcu w oczy i powiedziała „kocham cię”, wszystko mogłoby

się zmienić. Albo gdyby on wziął ją w ramiona tak jak niegdyś...

Ale ani ona, ani on nie poruszyli się. Dzielili ich zbyt wiele lat milczenia, zbyt wiele skrępowania. Mariah nie potrafiła wyciągnąć ręki do nikogo, a tym bardziej do ojca. Tak więc ich milczenie stawało się coraz bardziej niezręczne, wypełnione wspomnieniami pogodnego nastroju, śmiechu, który niegdyś rozbrzmiewał na tym ganku.

Pocieszała się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku, że któregoś dnia jej stosunki z ojcem się ułożą. Czuła, że z każdym dniem staje się silniejsza i wkrótce będzie już w stanie wymówić słowa, które skrywała w głębi serca. Może nawet już jutro...

- O, do licha! - Okrzyk Mad Doga przerwał przedłużające się milczenie.

Mariah uniosła głowę i zobaczyła mężczyznę leżącego na ziemi. Jake, przykucnięty obok niego, potrząsał go za ramię. Zerwała się na równe nogi, upuszczając przy tym spodnie, i głośno zawołała:

- Mad Dog! - Usiadł i uśmiechnął się do niej.

- Ten chłopiec jest coraz lepszy - powiedział, rozcierając dłonią brodę. - Jestem z ciebie dumny, Jake - dodał, zwracając się do niego.

Jake promieniał. Mad Dog wstał, nachylił się ku chłopcu i zaczęli o czymś półgłosem rozmawiać.

Mariah ponownie usiadła na huśtawce i podniosła leżące na podłodze spodnie.

- On jest dobrym człowiekiem - powiedział Rass.

Nawet nie próbowała udawać, że nie wie, o kim mowa.

. - Tak, z pewnością.

Kochasz go?

Pytanie zaskoczyło Mariah. Od paru dni błąkało się jej w podświadomości, ale broniła się przed nim, chociaż z każdą

godziną wymagało to więcej wysiłku. Ilekroć spojrzała na Mad Doga, wbrew sobie, zastanawiała się, czy go kocha.

Nie miała wątpliwości, że on jej nie kocha, i godziła się z tym. Wydawało jej się to mało ważne. Chciała natomiast wiedzieć, czy sama go kocha. Czasami, gdy patrzyła na jego uśmiechniętą twarz albo gdy czuła ciepło jego dotknięcia, odnosiła wrażenie, że łączy ją z tym człowiekiem coś więcej niż zwykły fizyczny pociąg.

- Skąd mam to wiedzieć, Rass? - zapytała, odwracając się twarzą do ojca.

- Powinnaś wiedzieć. - Uśmiechnął się do niej.

- No dobrze. — Marian westchnęła. — Na pewno nie jest to miłość od pierwszego wejrzenia.

- Nie wiem. W pewnych kulturach uderzenie mężczyzny kolbą w głowę może być potraktowane jako zaloty - zażartował profesor.

Mariah roześmiała się, ale już po chwili odezwała się poważnie:

- Sądzę, że go nie kocham, ale... -Przerwała i zamyśliła się.

- Ale co?

Zwilżyła nerwowo językiem wargi i spojrzała na ojca. W jego przymglonych niebieskich oczach zobaczyła taką czułość, jakiej nigdy dotąd nie widziała. Przez moment zastanawiała się, czy to uczucie *jest* czymś nowym, czy *też* wcześniej go nie dostrzegała. Nie wiedziała, ale nie miało to teraz znaczenia. Po raz pierwszy zrozumiała, że dla ojca nie jest wyłącznie źródłem rozczarowania. Poczuli się nagle młodsza i pełna nadziei na przyszłość

- Ale myślę, że mogłabym go pokochać... gdybym sobie na to pozwoliła - dokończyła.

Dostrzegła smutek w oczach ojca i pomyślała, chyba bezpodstawnie, że on czuje się odpowiedzialny za jej niezdolność do miłości.

ZAGUBIENI

- Nie bój się, Mariah, wspiąć na to drzewo. Tam właśnie jest ten najcenniejszy owoc.

- Nie wiem, czy on potrafi odwzajemniać uczucia. Sądzę, że nie umie kochać.

Starszy pan uśmiechnął się smutno.

- Tego nigdy nie wiemy, Boo.

- Nie zwracałeś się do mnie w ten sposób od lat - powiedziała zaskoczona.

- A powinienem - szepnął. Potem nachylił się do córki. -Wiesz, co ja myślę? Myślę, że on też potrafi cię pokochać.

- Jeśli tu zostanie. - Powiedziała głośno te trzy często powtarzane w myślach, nabrzmiałe nadzieją, ale i zwątpieniem słowa.

Uśmiech zniknął z twarzy Rassa. Starszy pan powoli opadł na oparcie huśtawki. Nawet on, wieczny optymista, nie mógł udawać, że zna odpowiedź na to pytanie.

- Jeśli zostanie - szepnął.

Po tych słowach znów zapadło milczenie.

Mad Dog wyszedł spod prysznic, wytarł się, okręcił biodra ręcznikiem, po czym, pogwizdując cicho, podszedł do zaparowanego lustra.

Mariah znalazła doskonały sposób, by mogli zostać sami na cały wieczór. Jake zaprzął już Cleo; lada moment Rass razem z chłopcem pojedą do miasta.

Uśmiechając się, Mad Dog sięgnął po brzytwę profesora i zaczął się golić.

Przed domem ktoś głośno krzyknął.

Brzytwa wysunęła się z ręki Mad Doga i z brzękiem wpadła do porcelanowej umywalki. Zrzucił z siebie ręcznik i błyskawicznie włożył dzinsy. Wybiegł do sieni, a potem dopinając w pośpiechu spodnie, wypadł na ganek.

Scena, którą zobaczył, była przerażająca. Rass leżał rozciągnięty na ziemi, nad nim klęczała Mariah. Po twarzy stojącego obok Jake'a płynęły łzy.

Mad Dog zeskoczył ze schodów i pobiegł ku nim.

- Rass, Rass! -Rozpaczliwy krzyk Mariah niósł się echem po podwórzu. Trzymała ojca za ramiona i potrząsała nim gwałtownie. - Rass, ocknij się, Rass!

Mad Dog ukląkł i dotknął jej ramienia.

- Co się stało?

Spojrzała na niego ogromnymi, przerażonymi oczami.

- On... stracił przytomność. - Przycisnęła dłonie do ust, jak gdyby wymówienie tych słów potęgowało grozę sytuacji. - Och, Boże...

Mad Dog sięgnął do nadgarstka profesora.

- Puls jest — powiedział. — Żyje.

Gdy z ust Mariah wydobył się dźwięk przypominający szloch, ścisnął ją lekko za ramię, potem wziął Rassa na ręce. Stary człowiek był całkiem bezwładny, głowa opadła mu do tyłu.

- Przynieś koc - rzucił Mad Dog.

Klęczała sztywno jak posąg, z opuszczoną głową i dłońmi zaciśniętymi w pięści, opartymi na kolanach, i patrzyła tępo przed siebie.

- Mariah!

Choć sparaliżowana lękiem, usłyszała jednak głos Mad Doga i z wysiłkiem uniosła głowę. - Przynieś koc. Natychmiast! - krzyknął.

Zerwała się i pobiegła w stronę domu. W sypialni zerwała koc z łóżka i po chwili ukazała się znów na podwórzu. Rass leżał już na siedzeniu powozika; bezwładne ręce skrzyżowane miał na piersi.

- Och, Boże... - jęknęła Mariah i znieruchomiała. Koc wypadł jej z rąk.

ZAGUBIENI

- Chryste, Marian! - Mad Dog porwał z ziemi koc i rzucił go Jake'owi, który szybko otulił nim chorego.

. Potem Mad Dog wspiął się na kozioł i wziął w ręce lejce.

- Otwórz bramę, Mariah!

Brama...

. Mariah zaczęła drżeć; oddychała z trudem.

- Otwórz tę cholerną bramę!

Możesz to zrobić, możesz, powtarzała sobie w myślach.

Ruszyła w stronę bramy. Długi srebrny skobel lśnił w blasku wschodzącego księżyca. Patrzyła na niego, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu. Przez moment zdawało jej się, że upadnie.

Wyciągnęła rękę. Palce drżały jej tak mocno, że minęła długa chwila, zanim dotknęła skobla. Gdy poczuła jego chłód, ogarnął ją lęk niemożliwy do opanowania. Cofnęła rękę.

Nie mogła dotknąć zamka bramy, nie mogła jej otworzyć. Nawet dla ojca.

Usłyszała za sobą stukot kopyt, skrzypienie kół powozu. Cleo zatrzymała się tuż za jej plecami. Mad Dog zeskoczył z kozła, otworzył bramę i ponownie zajął miejsce na koźle.

- Wsiadaj! - zawołał.

Mariah otępiłym wzrokiem patrzyła na niego. Zdawało się, że nie wie, o czym on mówi.

- Wsiadaj, *na* litość boską!

Potrząsnęła głową. Chciała coś powiedzieć, ale mimo że poruszała wargami, z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Ogarnęła ją rozpacz. A więc okłamywałam się przez te wszystkie lata, pomyślała. Wmawiałam w siebie, że po prostu nie chcę opuścić farmy. Teraz dopiero przekonałam się, że naprawdę nie mogę tego zrobić, że jestem chora, bezużyteczna, nienormalna...

- Mariah, co ci jest? - Mad Dog ściągnął brwi.

Czuła się tak, jak gdyby poddano ją torturom. Rozpaczliwie próbowała odzyskać oddech, coś powiedzieć.

- Ja... nie mogę... opuścić... - wyjąkała wreszcie.
- Co ty opowiadasz?
- Nie mogę opuścić farmy! - Krzyk, który w niej narastał wyrwał się wreszcie z jej ust.
- Nie wiem, o czym ty, u diabła, mówisz! Wsiadaj do tego cholernego powozu.
- Nie mogę! -krzyknęła, potem stanęła nieruchomo z dłońmi zaciśniętymi w pięści.
- Mariah...
- Jedź już, jedź. - Uniosła głowę i spojrzała na Mad Doga oczami pełnymi łez. - Zaopiekuj się nim, błagam... - Głos jej się załamał. Zdołała jeszcze szepnąć: - Błagam cię, on jest dla mnie wszystkim...
- Wiem, gdzie mieszka doktor - odezwał się Jake.
Mad Dog spojrział jeszcze na Mariah, potem mocno szarpnął lejcam. Cleo ruszyła. Okute koła powozu zgrzytnęły na żwirowej drodze, potem z cichym skrzypieniem potoczyły się polną drogą w stronę miasta.



Mariah zdawało się, że pogrąża się w ciemności. Ból pulsował w jej ciele, ścisnął serce, palił w piersiach z każdym oddechem.

Rass umierał. Rass, który trzymał ją za rękę, gdy była małym dzieckiem, osuszał jej łzy. Rass, który tak lubił wędrować po bezdrożach i cieszył się każdym znalezionym okruchem białego kwarcu. Jej ojciec.

- Och, Boże...

Opadła na kolana i patrzyła za powozem, coraz słabiej widocznym w gęstniejącym mroku. Słysząc było jeszcze stukanie kopyt Cleo, wreszcie i ten odgłos ucichł. Zbolała, pogrążona w pustce i ciemności Mariah została sama.

Powinam przy nim być, wyrzucała sobie, Jezu, powinam przy nim być.

Szlochła, dopóki nie zaschło jej w gardle, dopóki płacz nie zmienił się w żalony jęk. Zdawało jej się, że białe sztachety płotu kpią z niej, śmieją się bezgłośnie.

Czuła do siebie odrazę. Próbowała wstać, ale zaplątała się w fałdy sukni, zachwiała i całym ciężarem oparła o płot. Ostre zakończenia sztachet wbijały się w jej dłonie.

Dreńczył ją wstyd i poczucie winy. Ukłękła znów na twardej ziemi i opuściła głowę, przygnieciona brzemieniem swej nieprzydatności.

- Opuściłam cię, Rass - szepnęła. Szloch wstrząsnął jej ciałem. - Boże spraw, żeby żył. Błagam...

Przypomniała sobie popołudniową rozmowę, kiedy naiwnie sądziła, że ona i ojciec mają jeszcze wiele czasu, by się do siebie zbliżyć. Nie powiedziała wówczas tego, co chciała, tego, co powinien usłyszeć. Zabrakło jej odwagi, a teraz był bliski śmierci - może nawet już umarł - i nigdy nie będzie miała okazji wyznać mu swych uczuć, powiedzieć, jak bardzo go kocha.

Ogarnęła ją czarna rozpacz i lęk.

Nie wiedziała, co zrobić, w jaki sposób dać ujście rozpacz. Czuła narastającą w niej z każdym oddechem, z każdym uderzeniem serca histerię.

Zaczęła głośno krzyczeć, ale głos, który wydobył się jej z gardła, był stłumiony, chrapliwy.

- O Boże, o Boże, o Boże!...

Zamknęła oczy i osunęła się na chłodną twardą ziemię. Skuliła się, z trudem łapała powietrze, rozpaczliwie próbowała się rozplakać.

Czekała na powrót ojca do domu.

Powóz zatrzymał się przed domem doktora Shermana. Jake zeskoczył na ziemię, podbiegł do wejścia i załomotał pięściami w drzwi.

Nikt nie odpowiedział. Ogarnął go lęk. Zastukał jeszcze mocniej i zawołał:

- Doktorze! Doktorze, czy jest pan w domu?!

Wreszcie drzwi się otworzyły i stanął w nich przygarbiony siwy mężczyzna w okularach. - Co się stało? Kim ty jesteś?

Jake wskazał ręką w kierunku powozu, przy którym stał już Mad Dog z nieprzytomnym Rassem na rękach.

- Przywieźliśmy pana Throckmorta. On jest... - Głos chłopca się załamał, łzy napłynęły mu do oczu.

Doktor Sherman wyprostował się.

- Dajcie go tutaj. Natychmiast!

Mad Dog szybkim krokiem przemierzył wysypaną żwirem ścieżkę, potem pośpieszył za doktorem Shermanem do gabinetu na tyłach domu.

- Proszę położyć go tutaj - powiedział doktor, wskazując kanapę, potem sięgnął po czarną skórzaną torbę.

Mad Dog ostrożnie położył chorego na kanapie, nachylił się nad nim i patrząc na jego woskowobiałą twarz, szepnął:

- Rass, nie poddawaj się. Nie...

- Dość, dość - rzucił doktor, wieszając stetoskop na szyi. - W kuchni, na piecu, stoi dzbanek z gorącą kawą. Napijcie się i czekajcie na mnie w salonie. - Spojrzał na Jake'a i dodał: - Czeka nas długa, ciężka noc.

Chłopiec poszedł do salonu. Starał się nie wybiegać myślami poza to, co działo się dzisiejszej nocy, ale nie mógł opędzić się od wspomnień, które podstępnie wdzierały się w jego świadomość. Przeżył już dwa podobne dramaty. Stracił dziadka i matkę. Pamiętał, że kiedy znaleźli się w takim stanie jak Rass, nie przeżyli już nocy.

Łzy napłynęły mu do oczu, potem popłynęły po policzkach. Usiadł na twardym, obitym skórą krześle i ukrył twarz w dłoniach. Wspomnienia i obrazy z krótkiego pobytu na farmie odżyły w jego pamięci.

„Pomyślałem, że możesz być głodny...”.

„Jeśli góra nie przyszła do Mahometa, to Mahomet powinien przyjść do góry...”.

„Urodziłeś się, żeby zamieszkać na farmie z dużym sadem”. I zaproszenie Marian: „Na tej farmie”.

Przyjęli go tak serdecznie, tak wiele mu dali. Z nimi czuł się tak, jak gdyby znowu miał rodzinę, którą utracił po śmierci matki. Rass stał się dla niego dziadkiem, kochającym, troskliwym. Nawet jego prawdziwy dziadek, Jacob Vanderstay, nigdy taki nie był. Rass nie złościł się, niczego nie żądał. Śmiał się, kochał, dawał.

- Boże, błagam cię - szepnął, obcierając dłonią łzy. - Błagam, nie zabieraj go jeszcze.

W tych słowach brakowało jednak nadziei. Wiele razy w swoim życiu powtarzał je i teraz znał już prawdę. Bóg w takich chwilach jak ta nie odpowiada.

Zamknął oczy. Czuł na wargach słony smak łez. Nigdy w życiu nie czuł się tak samotny, chociaż miał obok siebie ojca.

- Podać ci filiżankę kawy, chłopcze?

Jake uniósł głowę. Nagle zirytował go ten mężczyzna, który był jego ojcem, ale i nim nie był.

- Nie nazywaj mnie chłopcem. Mam na imię Jake - rzucił ze złością.

Mad Dog przykucnął przy nim.

- Mój ojciec zwracał się do mnie w ten sposób, ale myślę, że to nie najlepszy zwyczaj. Daruj.

Irracjonalny gniew Jake'a zniknął równie szybko, jak się pojawił. Chłopiec znów poczuł się samotny, opuszczony. Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i dłońmi zasłonił twarz.

Mad Dog położył rękę na jego ramieniu. Dotknięcie było tak delikatne, że Jake w pierwszej chwili pomyślał, że je sobie jedynie wyobraził.

- On z tego wyjdzie, Jake - powiedział cicho Mad Dog. To silny mężczyzna.

Chłopiec powoli uniósł głowę i oczami pełnymi łez spojrzał na ojca. Przez krótką chwilę nie był pewny, czy płacze

z powodu Rassa, czy rozczulił się nad sobą. On go dotknął, chciał pocieszyć. Jake przygryzł dolną

wargę, żeby opanować jej drżenie. Ten zwykły gest, lekkie uściśnięcie za ramię, znaczył dla niego niesłuchanie wiele. Był bowiem dowodem na to, że ojciec chociaż trochę się nim interesuje.

Mad Dog powoli cofnął rękę. Zaczął mijać urok tej krótkiej chwili, ale Jake nie chciał się z tym pogodzić. Nagle, teraz, kiedy doświadczył przelotnej więzi z ojcem, mimo sytuacji, w jakiej się znaleźli, mimo obecności śmierci, czającej się u progu gabinetu doktora, poczuł przypływ odwagi. Zapraǳał lepiej poznać swego ojca.

- Jakim człowiekiem był twój ojciec? - zapytał. Mad Dog spojrział na niego zaskoczony.

- Nie wiem.

- Jesteś do niego podobny?- zapytał.

Coś, jak gdyby ciemna chmura, przysłoniło oczy Mad Doga. Wstał, odszedł od chłopca i ze spuszczoną głową wpatrywał się w swoje bosa stopy na miękkim wschodnim dywanie.

- Tak-odezwał się po chwili. - Wydaje mi się, że jestem.

- Masz szczęście - powiedział cicho Jake.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Przynajmniej znałeś swojego ojca. - Jake z wysiłkiem starał się opanować drżenie głosu. - Mój ojciec porzucił moją mamę, zanim się urodziłem.

- Mój ojciec też nas porzucił - rzekł smutno Mad Dog. Podeszedł do Jake'a, usiadł obok niego na krześle i wysunął nogi przed siebie.

- A ty potrafiłbyś uciec od własnego dziecka? - zapytał chłopiec i wstrzymał oddech.

Nie mógł uwierzyć, że zdobył się na zadanie takiego pytania, ale kiedy już to zrobił, niecierpliwie oczekiwał odpowiedzi. Może Mad Dog powie, że zawsze chciał mieć dziecko... syna... i nigdy by go nie opuścił...

Ten tymczasem opadł na oparcie krzesła.

- Może mi uwierzysz, a może nie, ale kiedy byłem młody, chciałem mieć dzieci. Myślałem, że będę dobrym ojcem. -Roześmiał się cicho i potrząsnął głową. - Potem wydorostałem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że dobry ojciec siedzi spokojnie na jednym miejscu, Jake. Ja nie należę do ludzi tego typu.

- Skąd o tym wiesz?

Mad Dog wydawał się zaskoczony tym pytaniem. Zmarszczył czoło i zwrócił się do chłopca.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Czy kiedyś próbowałeś zostać gdzieś na stałe?

Mad Dog odwrócił głowę i wpatrywał się w pokrytą czerwoną tapetą ścianę. Otworzył usta, jak gdyby chciał się odezwać, ale znów je zamknął.

- Odpowiesz mi? - nalegał Jake.

- To jest bezsensowne pytanie. Jeśli powiedziałem, że nie mogę zostać w jednym miejscu, to widocznie nie mogę. Przynajmniej jestem szczerzy. Mój ojciec okłamywał nas. Zachowywał się tak, jak gdyby miał zamiar zostać z nami na zawsze, a potem odszedł. Ja nigdy nie kłamię.

- Wiem, że nie kłamiesz.

- Kiedy zorientowałem się, że mam naturę wędrowca, że jestem nieodpowiedzialny i w ogóle... przestałem myśleć o tym, żeby mieć dzieci.

- I nadal nie chciałbyś ich mieć?

- Nie, podoba mi się życie, jakie prowadzę. Idę tam, gdzie chcę, robię to, co chcę. Jestem wolny. Kiedyś zrozumiesz, o czym mówię.

- Ja też spędziłem jakiś czas w drodze, ale chciałbym mieć miejsce, w którym mógłbym pozostać. - Jake potrząsnął głową. Potem spojrział w szare oczy ojca, mając nadzieję, że zmusi go, by zrozumiał jego słowa. - Ja, tam, w drodze, zawsze czułem się osamotniony.

Zanim Mad Dog zdążył coś powiedzieć, otworzyły się drzwi. Doktor Sherman wyszedł z gabinetu i po chwili zjawił się w salonie. Usiadł w głębokim fotelu na wprost nich.

Chłopiec zamarł ze wzrokiem wbitym w lekarza.

Doktor zdjął okulary i potarł palcami nos.

- Co z nim, doktorze? - zapytał Mad Dog.

- Nie najlepiej. Apopleksja. Lewa połowa ciała częściowo sparaliżowana. No i nadal się nie ocknął. Śpiączka... tak to nazywają.

Jake poczuł się tak, jak gdyby cały świat zwałił mu się na głowę. Wstrząsnął nim szloch. Mad Dog znów ścisnął go za ramię i to dotknięcie dodało mu otuchy.

- Czy jest pan w stanie coś dla niego zrobić? - zapytał Mad Dog.

Doktor pokręcił głową.

- Przed paru dniami rozmawiałem o tym z Rassem. Od pewnego czasu miał już wyraźne objawy choroby. Wiedział, do czego to prowadzi. On... on chciał umrzeć w domu.

Słowo „umrzeć” Jake odebrał jak silny cios w głowę.

- Ile ma życia przed sobą? - zapytał Mad Dog.

- Któż to wie? Może tydzień, może jeden dzień.

- Czasami zdarzają się cuda - powiedział cicho chłopiec, patrząc na doktora i bezskutecznie oczekując potwierdzenia.

Mad Dog uśmiechnął się smutno i Jake pomyślał, że ojciec, podobnie jak on, nie wierzy w cuda.

- Nie traćmy nadziei, Jake. Rass potrzebuje kogoś, kto wierzy w cud - powiedział Mad Dog, a potem zwrócił się do doktora: - Co jeszcze możemy dla niego zrobić?

Lekarz wyciągnął kartkę z kieszeni koszuli.

- Tutaj napisałem wszystko - powiedział, wręczając mu ją.

- Co więcej? - zapytał Mad Dog po przeczytaniu zaleceń.

- Mariah, jak sądzę, nie wiedziała, że jej ojciec jest tak poważnie chory. Rass starał się oszczędzać jej przykrości. -

Doktor przerwał, zamknął na chwilę oczy i znów potarł palcami grzbiet nosa. - Będzie to dla niej ciężki cios. Poza nim nie ma nikogo na świecie.

Jake uniósł głowę. Ona ma mnie, chciał powiedzieć, ale nie potrafił wydobyć głosu z zaciśniętego gardła.

- Dla każdego zgon bliskiej osoby jest ciosem - mówił dalej doktor- a ona jest taka... krucha. Szkoda, że nie ma nikogo, kto mógłby się nią zaopiekować. Rass bardzo nad tym bolał.

Jake otworzył usta, żeby powiedzieć, że on to zrobi, ale ubiegł go ktoś inny.

- Ja się nią zaopiekuję - powiedział Mad Dog.

Zdumiony chłopiec spojrzał na ojca. Mad Dog siedział pochylony, z łokciami opartymi na kolanach, i patrzył na doktora. W jego oczach widać było zdecydowanie, które zaskoczyło Jake'a. Mad Dog powiedział to poważnie. On naprawdę zaopiekuje się Mariah.

Chłopiec potrząsnął głową. Gdyby nie był tak zdruzgotany nagłą chorobą Rassa, mógłby się nawet uśmiechnąć. To nieoczekiwane przywiązanie do Mariah musiało coś znaczyć.

Nie wiedział jednak co.

Mariah usłyszała turkot kół powozu. Zerwała się z łóżka, z rozwianym włosiem zbiegła po schodach i wypadła przed dom.

Mad Dog ściągnął lejce i pojazd się zatrzymał.

Kie spojrzała na niego. Stała nieruchomo z rękami splecionymi na piersiach.

- Nie żyje? - wyszeptła.

- Nie... Rass żyje.

Oczami pełnymi łez spojrzała na Mad Doga i ręce opadły jej wzdłużała.

~ Dobrze się czuje?

Mad Dog opuścił głowę i cały gmach nadziei, który Mariah zbudowała wokół siebie, legł w gruzach. Ból związany z utratą tej sekundy nadziei zdawał się głębszy niż w czasie godzin spędzonych w oczekiwaniu na wiadomość o śmierci ojca.

- Co z nim? - zapytała.

Mad Dog spojrzał na nią smutno i zapytał:

- Czy ma przygotowane łóżko?

Skinęła głową. Ogarnęła ją rozpacz i lęk. Czowała ucisk w gardle i w piersiach. Była bliska utraty resztek panowania nad sobą. Nabrała głęboko powietrza w płuca i zatrzymała je.

Mad Dog zeskoczył na ziemię i wziął Rassa na rękę. Mariah krzyknęła cicho na widok pobladłej twarzy, odchylonej do tyłu głowy i bezwładnie zwisających rąk ojca. Rass, który zawsze był zdrowy, pełen życia, wydawał się teraz drobny, stary... umierający.

Jake zeskoczył z kozła i podszedł do niej. Oczy miał zaczerwienione od płaczu, twarz woskowo bladą, a usta zaciśnięte w wąską drżącą linię.

Widziała jego smutek, zdawała sobie sprawę, że jest równie nieszczęśliwy jak ona i robi, co może, żeby powstrzymać łzy. Widok chłopca poruszył ją głęboko. Miała ochotę wyciągnąć do niego rękę, przytulić go, ale nie była w stanie się poruszyć. Czowała jakąś pustkę wewnętrzną, wiedziała, że nie ma w niej nic, co mogłaby ofiarować temu potrzebującemu pociechy chłopcu. Oderwała wzrok od załzawionych oczu Jake'a.

Mad Dog, trzymając Rassa w ramionach, wszedł na schody ganku. Zatrzymał się przy Mariah i spojrzał na nią wzrokiem pełnym czułości i zrozumienia.

- Położę go do łóżka - powiedział.

Chciała skinąć głową, ale nie była w stanie wykonać nawet takiego ruchu.

- Jake - zwrócił się Mad Dog do chłopca. - Przynies z kuchni dzbanek z ciepłą wodą, ręcznik i łyżkę. Doktor polecił podawać mu jak najwięcej płynów, jeśli tylko będzie to możliwe.

Mariah wiedziała, że powinna być mu wdzięczna, ale była tak oszołomiona i obolała, że nie potrafiła się zdobyć na żaden gest, żadne słowo.

- Zaprowadź mnie do jego sypialni - powiedział łagodnym tonem.

Odwróciła się i niepewnym krokiem, przytrzymując się poręczy, ruszyła schodami w górę. Szedł za nią powoli; drewniane stopnie trzeszczały pod jego ciężarem.

Gdy znalazła się w ciemnym korytarzu, z trudem zmusiła się, by iść dalej. Każdy krok wywoływał spazmatyczny skurcz żołądka, palce jej drżały, czuła suchość w gardle.

Zobaczyła przed sobą zamknięte drzwi. To była sypialnia ojca, a wcześniej również i matki. Było to ich miejsce, ich azyl. Nie miała odwagi tam wejść, ułożyć umierającego ojca na łóżku i udawać, że wszystko będzie dobrze.

Drżącą dłonią sięgnęła do klamki i otworzyła drzwi. Białe światło księżycy, sączące się przez koronkową firankę, kładło się smugami na ciemnoniebieskim dywanie. W głębi pokoju, przy ścianie, stało łóżko z baldachimem podpartym czterema kolumnkami.

W odrętwieniu weszła do pokoju. Powietrze nasycone było wonią świeżo wypranej bielizny i... lawendy.

Zdumiał ją ten nieoczekiwany zapach. To niemożliwe, pomyślała, to tylko wytwór wyobraźni. Zapaliła dwie lampy i podeszła do łóżka. Ostra woń płonącego oleju szybko zabiła zapach lawendy.

Mad Dog położył chorego na łóżku, potem nachylił się nad nim i troskliwie okrył go kocem.

Teraz dopiero Mariah bliżej przyjrzała się ojcu. Nawet złotawe światło lampy nie przywróciło naturalnej barwy jego zapadniętym, pobladłym policzkom. Pod zamkniętymi oczami widać było głębokie cienie, potęgujące śmiertelną bladość twarzy. Wargi miał poszarzałe, ledwie widoczne na tle pomarszczonej skóry.

Ogarnęła ją rozpacz tak przemożna, że poczuła zawrót głowy. Szukając oparcia, przytrzymała się kolumnienki łóżka.

Mad Dog stanął przy niej, objął ją ramieniem i przytulił. Miała wrażenie, że ciepło jego dotknięcia dociera głęboko do jej duszy. Westchnęła i oparła się o niego. Sięgnął ręką po ławkę stojącą przy oknie i przysunął ją do łóżka. Usiedli na niej oboje.

- Mariah?

Skrzywiła się. Domyślała się, co on teraz powie, i nie chciała tego słyszeć. Zwilżyła językiem zaschnięte wargi.

- Słucham? - zapytała, wpatrując się w podłogę.

- Zapadł w śpiączkę - rzekł Mad Dog.

Skinęła głową. Miała wrażenie, że w jej wnętrzu zamieszkał ktoś inny, ktoś, kto zmusza jej usta do wypowiedzania słów, a ciało do wykonywania niezbędnych ruchów, gestów. Nie było w niej żadnych uczuć, nic poza lodowatym chłodem.

- Ach, tak - mruknęła.

- Doktor Sherman powiedział, że... nie ma nadziei na poprawę.

- Lekarze często się mylą. - Starła się, żeby te słowa zabrzmiały zdecydowanie, ale okazały się tylko żalonym szeptem.

- Być może...

- Może... może zdarzy się cud - powiedziała.

- Czy wierzysz w cuda?

- Nie - szepnęła.

- Doktor mówił, że nie zostało mu wiele czasu.

- Ile?

- Może tydzień... może jedna noc. - Położył dłoń na jej dłoni i uściskał ją, - Musisz się z nim pożegnać.

Spojrzała na Mad Doga pierwszy raz od momentu, gdy weszli do tego pokoju. On nic nie rozumie, pomyślała. Nikt nic nie rozumie.

- Czy uważasz, że to coś pomoże? - zapytała głosem pełnym gorzkości. - Takie pożegnanie?

- To wszystko, co możesz dla niego zrobić.

- Och, Boże - szepnęła. - Nie potrafię powiedzieć Rassowi „żegnaj”. Jemu również. -Gorące łzy napłynęły jej do oczu. -Nie potrafię.

- Nie wiem, co ci radzić, Mariah - szepnął, delikatnie dotykając jej włosów.

Słowa Mad Doga nie poruszyły jej; nadal czuła wewnętrzny chłód, pustkę.

- Nikt w takiej chwili nie potrafi mi nic doradzić.

- To prawda. Dobrze o tym wiem. - Tylko tyle powiedział, ale te słowa sprawiły, że Mariah uświadomiła sobie, że i jego dotknęła kiedyś śmierć kogoś, kogo kochał. Objął ją ramieniem i szepnął: - Jestem tutaj.

Na razie, pomyślała, ale zdawało jej się, że usłyszała te słowa, jak gdyby powiedział je ktoś głośno. Tak, teraz jest ze mną, ale wkrótce odejdzie. Rass i Jake też odejdą, a ja zostanę sama.

Całkowicie, rozpaczliwie samotna.

Opuściła głowę i tylko żałowała, że nie potrafi płakać.



Mad Dog stanął w otwartych drzwiach sypialni. W pokoju było zaskakująco widno. Mariah odsunęła zasłony i zapaliła wszystkie lampy. Jasne, złociste światło nie wystarczało jednak, by wypłoszyć chłód śmierci i rozgrzać blade, zapadnięte policzki mężczyzny, który leżał nieruchomo w ogromnym łóżu.

Smutek ścisnął pierś Mad Doga. Łzy napłynęły mu do oczu, sprawiając, że obraz zalanego światłem pokoju stał się niewyraźny, zamglony. Zamrugał, a kiedy odzyskał ostrość widzenia, to, co zobaczył, niemal złamało mu serce.

Obok łóżka, na przysuniętej blisko *ławce* siedziała Mariah. Pochylona, jedną dłoń położyła na kościstej, pokrytej niebieskimi żyłami dłoni ojca, w drugiej trzymała tomik poezji. Jej cichy, pełen napięcia głos rozlegał się w pokoju:

- „Całe moje mijające życie nie jest już moje, mijające godziny odpływają jak ulotne sny, tylko w pamięci zostają ich zatarte obrazy...”

Odłożyła książkę i pochyliła głowę. Widok Mariah, tak smutnej i załamanej, poruszył w sercu Mad Doga dawno zapomniane uczucia. Wiedział, że jest świadkiem momentu

jej słabości. Takie chwile zdarzały się jej rzadko. W ciągu ostatnich dwóch dni niejeden raz miał okazję ją obserwować. Często stał w drzwiach, milcząc i zastanawiając się, co mógłby dla niej zrobić.

Ona jednak nie pozwalała sobie pomóc. Siedziała przy łóżku ojca, trzymała go za rękę i czytała wiersze. Czasem, niezbyt często, odkładała książkę i po prostu mówiła do niego. Nie o czymś ważnym, nie o swojej samotności i rozpacz, ale o pogodzie, farmie, nadchodzącej zimie.

Zdarzały się jednak chwile, kiedy przestawała czytać i tak jak teraz, siedziała zadumana z opuszczoną głową.

Od dwóch dni nie odstępowała od łóżka ojca. Nie jadła, niewiele spała, prawie się nie poruszała. Zdawało się, że smutek przygniata ją swym ciężarem, pozbawia jej policzki kolorów, zabiera całą radość z serca.

Mad Dog nigdy nie zauważył, by się modliła.

Patrząc teraz na nią, widział efekty tego nieustającego czuwania. Była blada, twarz miała ściągniętą i poszarzałą. Oczy, jeszcze nie tak dawno skrzące się życiem, straciły cały blask.

Jej rozpacz wywierała na nim wrażenie silniejsze, niż mógłby oczekiwać. Było to absurdalne, ale cierpiał dlatego, że ona cierpi. Miał ochotę do niej podejść, objąć ją, przytulić. Ona jednak nie pozwalała na to.

Zapukał we framugę drzwi i powiedział:

- Marian, przyniosłem ci coś do zjedzenia.
- Nie jestem głodna. - Nie podniosła nawet głowy. Głos jej brzmiał płasko, bez życia.
- Musisz przecież coś jeść - powiedział, chociaż zdawał sobie sprawę, że stoi na straconej pozycji.

Położyła książkę obok siebie, okładką do góry, i sięgnęła do miski stojącej przy łóżku. Zanurzyła dłoń w letniej wodzie, wyjęła z niej chusteczkę i wyżeła ją. Potem troskliwie zwilżyła spierzchnięte wargi ojca.

Na Mad Doga nie zwracała uwagi, on jednak nadal stał w drzwiach i przyglądał się jej twarzy. Malował się na niej wysiłek, z jakim próbowała zachować spokój. Nie całkiem jej się to udawało. Zauważył drżenie dolnej wargi, gdy patrzyła na ojca, widział, jak drżą jej palce, gdy obciera mu twarz.

Ze wzruszeniem obserwował jej wysiłki, by zachować spokój, nie załamać się. Wiedział, co ona czuje, jak wiele ją kosztuje zachowanie pozorów opanowania, podczas gdy była bliska całkowitej utraty nadziei. Pamiętał, jak samotnie siedział przy łóżku swojej matki i w bezsilnej rozpaczycy patrzył, jak umiera.

Chciał powiedzieć Mariah, że ją rozumie, że jest przy niej, uświadomić jej, że nie jest samotna. Ona jednak nie chciała go słuchać, nawet na niego nie spojrzała.

Wiedział dlaczego. Wiedział i rozumiał. Kiedy cierpienie jest zbyt dotkliwe, żeby się przed nim obronić, wszelkie objawy współczucia stają się nie do zniesienia. Nie chciała, by ktokolwiek jej współczuł, bała się, że jeśli teraz pozwoli komuś zbliżyć się do siebie, jeśli podda się na moment, to pograży się w otchłani rozpaczycy, z której nigdy się już nie wydobędzie.

Mad Dog potarł dłonią grzbiet nosa. Zastanawiał się, co zrobić, żeby jej pomóc. Coś przecież...

- O Boże...! - zawołała cicho Mariah.
- Co się stało?
- Poruszył się.

Mad Dog wszedł do pokoju i stanął obok niej. Ścisnęła rękę ojca.

- Rass! Rass?

Chory jęknął. Był to cichy, chrapliwy dźwięk. Jego powieki drgnęły.

- Jestem tutaj, Rass. To ja, Mariah. I Mad Dog też jest tutaj.

Jęknął jeszcze raz. Powiódł językiem po zaschniętych wargach, a potem powoli otworzył oczy.

- Marian?

- Tak, to ja. Jestem przy tobie. - Uścisnęła mocniej jego rękę.

Rass ściągnął brwi, przymrużył oczy, próbując odzyskać ostrość widzenia.

- Mad Dog... to ty?

Przez chwilę Mad Dog nie mógł wydobyć słowa z zaciśniętego ze wzruszenia gardła. Wreszcie powiedział:

- Jestem tutaj, Rass.

Cień uśmiechu ożywił połowę twarzy chorego.

- To dobrze, będę bardzo...

- Rass chciałabym, żebyś coś zjadł... - zaczęła Mariah.

Ojciec przerwał jej ledwie dostrzegalnym ruchem zdrowej ręki.

- Ależ, Rass, nie...

- Chciałbym usiąść na ganku, na huśtawce - powiedział słabym głosem. - Ostatni raz popatrzeć na wieczorne niebo.

~ Och, nie mów takich rzeczy - szepnęła Mariah.

Starszy pan spojrzał na Mad Doga smutnym, przymglonym wzrokiem. - Zaniesiesz mnie na ganek, prawda?

Mad Dog poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Rass wyglądał tak staro, był tak zmieniony... niepodobny do siebie. Jego głos, jeszcze niedawno pełen życia, utracił całą barwę.

- Oczywiście - odparł.

Nachylił się, objął go ramionami, potem ostrożnie podniósł. Zdawało mu się, że Rass nic nie waży.

- Zaraz tam przyjdę - powiedziała Mariah.

Mad Dog skinął głową. Troskliwie przyciskając chorego do piersi, zaniósł go na korytarz, a potem schodami w dół.

Chwilę po nich na ganku pojawiła się Mariah, niosąc poduszkę i koc. Szybko przygotowała ojcu wygodne miejsce i przyniosła stołeczek, na którym mógł oprzeć nogi.

Mad Dog ułożył Rassa na siedzeniu huśtawki.

- Usiądź przy mnie, Mariah - powiedział Rass cicho, niemal szeptem.

Mariah zajęła miejsce obok ojca. Oparł się o nią, a ona oplótła ramionami jego szczupłe ciało. Trwali tak w milczeniu, na wpół siedząc, na wpół leżąc na kołyszącej się lekko huśtawce.

Starszy pan po chwili spojrzął na Mad Doga wzrokiem smutnym, rozdzierającym wprost serce. Ten znał to spojrzenie. Takim wzrokiem patrzyła jego matka na chwilę przed śmiercią.

- Zawołaj Jake'a - szepnął Rass.

- Dobrze. Zaraz go przyprowadzę - odparł Mad Dog ochryłym głosem.

Zaczekał jeszcze chwilę, bojąc się oddalić, wreszcie odwrócił się powoli i odszedł. Wiedział, gdzie znaleźć Jake'a. Chłopiec nie opuszczał stodoły od dwóch dni, od momentu, gdy przywieźli Rassa do domu. Siedział tam, sam, w ciemności, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Mariah patrzyła za oddalającym się Mad Dogiem, a kiedy zniknął, mocniej uściśniła ojca i powiedziała:

- Wiedziałam, że do mnie wrócisz. Wiedziałam...

- Musisz być silna, Mariah - przerwał jej stłumiony głos ojca.

- Pozostaniesz ze mną, nigdzie nie odejdziesz...

- Ja umieram, Boo...

- Nie, Rass. Nie. - Potrząsnęła głową. Łzy napłynęły jej do oczu.

Westchnął ciężko i spojrzął na nią. Jego zamglone niebieskie oczy były pełne niewypowiedzianego smutku.

- Musisz się z tym pogodzić, Marian. Nie możesz ukryć się czy od tego uciec.

- Nie... Nie chcę, żebyś mówił takie rzeczy. Błagam...

- Popelnilem błąd, osłaniając cię tak długo. Matka i ja... kochaliśmy cię tak bardzo, że nie mogliśmy znieść twojej rozpacz. - Zaciśnął powieki, po bladych policzkach pociekły mu łzy. - Nie pozwalaliśmy ci płakać. Teraz żałuję...

- Proszę, nie zamartwiaj się. - Jej głos przeszedł w ledwie słyszalny szept. - Proszę.

Otworzył oczy i spojrzał na córkę. Zobaczyła w tym spojrzeniu wszystko: ból, smutek, żal. Pamiętała, jak kiedyś patrzył na nią wzrokiem pełnym ojcowskiej troski, i czuła, jak pęka jej serce.

Zawsze był tu przy niej, zawsze, nawet wtedy, gdy była zbyt głupia, by to docenić. Teraz nie wyobrażała sobie życia bez niego...

- Kocham cię, Boo.

- Ja też cię kocham, tatusiu. Proszę cię, nie opuszczaj mnie - wyszeptała. Była tak bliska płaczu jak nigdy dotąd.

- Od lat tak się do mnie nie zwracałaś - powiedział z ledwie widocznym uśmiechem. - Ach, Boo - dodał cicho. Powoli podniósł drżącą prawą rękę i dotknął jej twarzy. - Jak to się stało, że przestaliśmy się rozumieć?

Potrząsnęła głową; nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

Długo, długo patrzyli na siebie. W ciszy słychać było tylko ich oddechy i regularne skrzypienie kołyszącej się lekko huśtawki. Blade światło księżyca przedzierało się przez bezlistne pnące obrastające ganek, tworząc na podłodze nieregularny bladoniebieski wzór.

Mariah z rozpaczą pomyślała, że kiedy bluszcz zakwitnie, ojca już tu nie będzie.

Odgłos kroków przerwał ciszę i wytrącił ją z ponurych

ZAGUBIENI

rozmyślał. Po chwili u podnóża schodów stanęli Mad Dog i Jake.

- Rass - odezwał się cicho chłopiec.

- Jak się miewasz, Jake? - Starszy pan uśmiechnął się smutno, a potem spojrział na Mad Doga. - Mógłbyś zanieść mnie na górę? Czuję się trochę zmęczony. Jake, chodź z nami.

Mad Dog wszedł na ganek, wziął chorego na ręce i zaniósł go z powrotem do łóżka.

Mariah i Jake weszli za nimi do sypialni.

- Podejdz do mnie, Jake - powiedział Rass, potem zwrócił się do Mariah i Mad Doga. -Zostawcie nas na chwilę samych.

Mariah spojrzała błagalnie na ojca. Tyle chciałabym mu jeszcze powiedzieć, pomyślała. Co będzie, jeśli zabraknie nam czasu?

- Potem porozmawiamy - odezwał się Rass, jak gdyby odczytując jej myśli. - Teraz idźcie.

Rass z westchnieniem ulgi oparł głowę na poduszkach. Każde słowo, każdy gest kosztował go bardzo wiele wysiłku. Cały był obolały, oddychał z trudem, zaschło mu w ustach, a sparaliżowana połowa ciała przygniatała go, jak mu się zdawało, swoim ciężarem.

Zamknął oczy, by na chwilę odpocząć.

Być może się zdrzemnął, ale nie był tego pewny. Wreszcie z wysiłkiem otworzył oczy i zobaczył chłopca, stojącego nad nim z zaczerwienionymi oczami pełnymi łez.

- Jake- odezwał się cicho.- Chciałem się z tobą pożegnać.

- Nie chcę, żebyś odchodził - szepnął chłopiec i łzy popłynęły mu po policzkach.

Rass poczuł bolesny ucisk w sercu i też nie potrafił powstrzymać łez.

- Nie mamy wiele czasu. Jestem bardzo zmęczony, -
Skinął ręką. - Podejdź bliżej.

Chłopiec ukląkł przy łóżku.

- On jest twoim ojcem, prawda?

- Powiniennem wiedzieć, że nie ukryję tego przed tobą -odparł
Jake, uśmiechając się smutno.

Tak wiele było słów, które Rass chciał powiedzieć, ale nie miał
siły, tracił powoli chęć życia.

- Powiedz mu prawdę, Jake. To twoja jedyna szansa.

- Boję się tego.

Starszy pan poczuł w piersi silny ból, skrzywił się, ale
próbował mówić dalej.

- Pozwoliłem Mariah korzystać z podobnej wymówki, ale
tobie nie pozwolę. Powiedz swojemu ojcu prawdę albo... albo
będę cię dręczył po śmierci.

- W porządku. - Jake próbował się uśmiechnąć.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Powoli, z ogromnym wysiłkiem, Rass uniósł rękę i dotknął
policzka chłopca.

- Kocham cię, synu - szepnął.

Jake zaczął rozpaczliwie płakać. Łzy strumieniami płynęły po
jego bladych policzkach. Pochylił głowę i oparł czoło , o krawędź
łóżka.

- Ja też cię kocham - powiedział głosem przerywanym
szlochem.

Rass chciał kontynuować, ale zanim otworzył usta, zapomniał, co
miał powiedzieć. Ból, który pojawił się w okolicy serca, ogarnął teraz
całe ciało. Czuł pulsowanie w uszach, palący ból w lewej ręce
przemieszczał się gorącym strumieniem ku nadgarstkom, potem
palcom.

- Zawołaj Mariah - zdołał jeszcze szepnąć.

Zdawało mu się, że zapada się w łóżku głęboko, coraz

głębiej. Dziwne uczucie ogarnęło jego ciało, jak gdyby wbijały mu się tuż pod skórę tysiące gorących igieł. Krew pulsowała w żyłach w szybkim, niemal słyszalnym rytmie.

Na krótki moment ogarnął wzrokiem pokój. To było przez *lata jego miejsce...*

Powieki mu opadły. Uniesienie ich wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Pojawiły się nagle wspomnienia z przeszłości, wywołując kolejną falę łez. Pamiętał dzień sprzed niemal trzydziestu pięciu laty, kiedy przywiózł tu z Nowego Jorku świeżo poślubioną małżonkę. Potem ten pokój, to łóżko było ich sanktuarium, miejscem, w którym przeżyli wiele radości.

Czuł, że jego ciało staje się coraz słabsze. Zapadał się nieubłaganie, znikał.

Próbował wyciągnąć rękę do Mariah, powinna być tu obok niego, wołać jego imię, ale jej nie słyszał. Głowę wypełniał mu niski, głęboki szum, który zagłuszał wszystko, nawet bicie serca. Nie potrafił unieść prawej ręki. Nagle stała się niewiarygodnie ciężka.

Otworzył usta, chcąc wymówić jej imię, ale gardło miał suche, a język wydawał się gruby, beзуyteczny, martwy.

Nagle wydało mu się, że widzi przed sobą nikłą poświatę bursztynowej barwy. Żłocisty blask narastał powoli i wlewał się przez okno do pokoju, kładąc się smugą na drewnianej podłodze.

Ze zdumieniem zauważył, że widzi to światło, chociaż oczy ma zamknięte. Próbował je otworzyć, ale nie mógł.

Obok łóżka pojawiła się jakaś postać. Początkowo był to *ciemny, niewyraźny* kształt, nie więcej niż cień, obrzeżony tym niezwykle światłem, ale cień rozjaśnił się i Rass zobaczył znajome rysy kobiety.

- Greta. - To imię wypłynęło z jego ust razem z cichym westchnieniem.

Widział jej uśmiechniętą twarz. Był pewien, że słyszy. „Witaj, kochany”.

- Jesteś tu... - Uśmiechnął się do niej i wiedział, że jest to prawdziwy uśmiech, a nie tylko skrzywienie ust w na wpół sparaliżowanej twarzy.

„Wiesz, że czekam na ciebie. Chodź, kochany. Nadszedł już czas” - usłyszał i zobaczył, jak wyciąga do niego rękę.

Chociaż oczy miał zamknięte, widział blask emanujący z jej ciała. Światło za plecami Greta stało się jaśniejsze, zmieniło barwę ze złocistej w jaskrawobiałą. Poczul nagle ciepło na policzkach; zdawało mu się, że odzyskuje siły. Wszelkie dolegliwości podeszłego wieku minęły bez śladu. Bez wysiłku uniósł się na łóżku i wyciągnął ręce przed siebie.

- Greta...

- Nie! Tatusiu, nie opuszczaj mnie. - Ochryply głos Mariah wdarł się do świadomości Rassa.

Znieruchomiał i z powrotem opadł na poduszki.

- Boo? - szepnął z wysiłkiem.

- Jestem tutaj, tatusiu. Nie odchodź.

Czuł na swej dłoni ciepłe dotknięcie dłoni córki, ale nagle zobaczył, że Greta wyciąga do niego ręce. „Nadszedł czas” - usłyszał jej głos.

Z wysiłkiem otworzył oczy. Mariah stała przy jego łóżku, trzymała go za rękę. Widział jej zaczerwienione, załzawione oczy na tle bladej twarzy.

- Mama jest tutaj - wyszeptał

- Och, tatusiu...

- Kochamy cię, Boo.

Oczy Mariah pełne były łez, ale nie popłynęły one po policzkach i to z nieokreślonego powodu zabolalo Rassa bardziej, niż mógł sobie wyobrazić.

- Płacz, Boo, płacz. Pozwól sobie na to...

ZAGUBIENI

„Nie martw się o nią. Wszystko będzie dobrze” - wyczuł raczej, niż usłyszał słowa Greta, które przyniosły mu spokój i ukojenie. Ciepłe białe światło zbliżało się, nappełniało go radosnym blaskiem. Powoli opadły mu powieki. Wydał ostatnie tchnienie.

Nagle znalazł się w zupełnie innym miejscu, otoczony ramionami jedynej kobiety, którą prawdziwie kochał.



W dniu pogrzebu nadeszła zima.

Słońce wiszące na szarym bezdusznym niebie wydawało się tylko matową tarczą, pozbawioną mocy i ciepła. Biała lodowata warstwa śniegu pokrywała pola, płoty i nagie konary drzew. Mroźny wiatr, wiejący od ośnieżonych wzgórz, zawodził ponurą pogrzebową pieśń.

Mariah szła wyprostowana, z uniesioną głową, wpatrzona w przestrzeń boleśnie suchymi oczami. Każdy krok, każde skrzypnięcie śniegu pod butami brutalnie przypominało jej, dokąd idzie, w jakiej ceremonii uczestniczy.

Oburącz podtrzymywała tył sosnowej trumny. Krawędzie w pośpiechu obrobionych desek wciskały się w jej miękkie dłonie. Pomyślała, że powinna była włożyć rękawiczki.

Idący przed nią Mad Dog i Jake poruszali się z taką samą jak ona powagą; szli wolno z pochylonymi głowami. Mad Dog podtrzymywał trumnę z prawej strony, Jake z lewej.

Krok za krokiem przemierzali łąkę, kierując się ku wzgórz, na którym pochowani byli Greta i Thomas. Wiatr poruszał nagimi gałęziami dębu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział cicho Mad Dog.

Pochylili się wszyscy troje i trumna spoczęła na zamarzniętej, pokrytej śniegiem ziemi.

Mariah wyprostowała się. Teraz dopiero zobaczyła dół, który Mad Dog i Jake wykopali poprzedniego wieczoru. Dojmujący ból, jakiego doznała na ten widok, sprawił, że się zachwiała. Próbowała odsunąć od siebie myśl o tym, co ma za chwilę nastąpić, ale nie miała dość sił. Nie chciała, żeby ojciec został złożony w takim zimnym, *ciemnym* i... ostatecznym dole.

Odsunęła się o parę kroków od trumny i stanęła na uboczu, wyprostowana i samotna. Lodowaty wiatr chłodził jej twarz, szarpał pasmami włosów, opadającymi na policzki. Nie zwracała na to uwagi; nie osłoniła się nawet futrzanym kołnierzem płaszcza.

Czuła się tak, jak gdyby przygniatał ją jakiś ogromny ciężar. Każdy oddech sprawiał jej ból, oczy paliły; chciała płakać, ale nie mogła. Tak jak zawsze, łzy utknęły gdzieś pod powiekami, wywołując dotkliwy pulsujący ból.

Skrzyżowała ręce na piersiach, próbując bezskutecznie znaleźć odrobinę ciepła.

- Mariah?

Z wysiłkiem uniosła głowę i zobaczyła stojącego przed sobą Mad Doga.

- Mad Dog - wyszeptała i nagle pomyślała, że dobrze byłoby podejść do niego, objąć go i pozwolić się pocieszyć.

Nie mogła się na to zdobyć. Czuła lodowaty chłód w swoim wnętrzu, jakby w jej sercu panowała absolutna pustka. Nie chciała mieć nic wspólnego z Mad Dogiem, z Jakiem, z nikim. Pragnęła być sama ze swymi wspomnieniami o ojcu i z bólem, który sprawiał, że przez całą noc nie zmrzyła oka, a w ciągu dnia poruszała się jak we śnie. Niechciała z nikim rozmawiać, nic mówić ani słyszeć.

Chciała umrzeć.

- Mariah? - odezwał się znów.

Patrzyła na niego, nic nie czując.

- Słucham? - zapytała

- Czy zechcesz powiedzieć parę słów?

Spojrzał na nią z takim współczuciem, że niemal przebił się przez jej odrętwienie. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Czowała ciepło tego dotknięcia, ale tym razem nic ono dla niej nie znaczyło.

- Tak - odparła. - Powiem parę słów.

Przeszła obok Mad Doga. Czowała na sobie jego wzrok, wiedziała, że jej współczuje, ale teraz nie miało to dla niej znaczenia. Stała pod nagimi konarami dębu i otepiałym wzrokiem wpatrywała się w dół, zięjący czernią na tle białego śniegu. Wstrząsnął ją dreszcz. Zamknęła oczy.

- Rass... - zaczęła niepewnie, potem przerwała i pochyliła głowę. - Rass powiedziałby: „Nie płaczcie za mną. Jestem już w innym świecie” - odezwała się po chwili. Uniosła głowę i spojrzała na farmę, którą tak bardzo kochał. - Wierzył, że śmierć jest bramą do innego, lepszego, świata. Mam nadzieję, że się nie mylił. On... - głos jej się załamał - on na to zasłużył - dokończyła.

Uklękła i oparła dłoń na trumnie. Smutek przygniatał jej ramiona jak ciężki głaz. Oddychała z trudem. Oczami, z których nie mogły popłynąć łzy, patrzyła na sosnowe deski.

- Żegnaj, tatusiu. Kocham cię - szepnęła.

Zamknęła na dłuższą chwilę oczy, wreszcie otworzyła je i wstała.

Mad Dog i Jake patrzyli na nią. W ich oczach widziała obietnicę wsparcia i pociechy. Wiedziała, że w tym momencie, wzajemnie sobie pomagając, łatwiej znieśliby ciężkie chwile.

Nie chciała jednak tego. Zbyt była załamana, by szukać wsparcia u kogokolwiek. Wiedziała, że Mad Dog i Jake wkrótce ją opuszczą. Spoiwem, które trzymało ich razem,

był Rass. Bez niego byli trójką obcych sobie ludzi. O nocach spędzonych z Mad Dogiem zaczęła już myśleć jak o wytworze fantazji, bajce, w której nie było krzty prawdy.

Spojrzała na Mad Doga i Jake'a, którzy stali połączeni wspólnym smutkiem. Wydawali się podobni do siebie.

Mariah poczuła się boleśnie samotna. Żałowała, że brakuje jej odwagi, by do nich podejść i stanąć razem z nimi.

Odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

Nie próbowali jej zatrzymać.

W czasie długich dni i jeszcze dłuższych nocy, które nastąpiły po śmierci Rassa, w domu zapanowała atmosfera rozpacz. Kurz pokrywał meble i szyby okienne. W kuchni, jeszcze tak niedawno sercu farmy, zagnieżdżyła się wyczekująca cisza.

Nie było słychać śmiechów ani rozmów przy posiłkach. Zresztą i pory posiłków przestały obowiązywać. Nikt z nikim nie rozmawiał. Pozostały tylko ponure, bolesne wspomnienia, wypełniające, jak się zdawało, każdy zakątek domu.

Mad Dog nie mógł już tego znieść. Wiedział, że Mariah potrzebny jest czas, żeby pogodzić się ze stratą, ale ona nie tylko pogrzyżyła się w żalobie, ona umierała. Powoli, dzień za dniem. Nie był już w stanie na to patrzeć.

Musiał albo coś zrobić, albo odejść.

Problem polegał na tym, że nie wiedział, co zrobić, a nie chciał odejść.

W zamyśleniu patrzył na gotujący się w garnku gulasz i mieszał go niemal bezwiednie. Smakowity zapach potrawy wypełnił kuchnię, drażnił powonienie.

Zazgrzytały frontowe drzwi, potem rozległ się odgłos kroków dobiegający z sieni. Mad Dog odwrócił się.

Do kuchni wszedł Jake z opuszczoną głową, dłońmi wciśniętymi w kieszenie. Zatrzymał się zaraz za progiem i spojrzął na ojca.

- Gotujesz? - zapytał.

- Ktoś to musi robić. - Mad Dog wzruszył ramionami. - Zaczynam chudnąć.

- Ona też. - Chłopiec ruchem głowy wskazał frontowe drzwi.

Mad Dog odłożył drewnianą łyżkę. Przyglądał włosy, podszedł do stołu i usiadł na krześle z wyciągniętymi przed siebie nogami.

- Tak, wiem. Wygląda jak strach na wróble. Jake odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko niego.

- Czy ona rozmawia z tobą? - zapytał.

Mad Dog potrząsnął głową i westchnął.

- Nie wiem, co robić, Jake. Ona po prostu... usycha.

- Wiem. Wczoraj dałem jej kwiatek, jedyny, jaki znalazłem po opadach śniegu. Nawet go nie wzięła. Podziękowała tylko smutnym głosem i odwróciła głowę.

- Kwiaty? Nie przyszło mi to na myśl.

- Na moją mamę zawsze to działało, ale jej smutek był innego rodzaju.

- Co masz na myśli? - Mad Dog zmarszczył czoło.

Chłopiec milczał przez chwilę. Rozmowa dotyczyła spraw, o których trudno mu było mówić.

- Moja mama kochała mężczyznę, który jej nie kochał. Smuciło ją to. Często płakała. - Odwrócił głowę. - Wreszcie pogodziła się z tym, ale nigdy o nim nie zapomniała i nie chciała, żebym ja zapomniał.

- Czy ona też snuła się w milczeniu, podobnie jak Mariah?

- Nie, ona nie była aż tak... zamknięta. , -

Kobiety rzadko są takie.

Mad Dog przez otwarte drzwi kuchni wpatrywał się w ciem-

na sień. Nie musiał nawet wstawać, żeby wiedzieć, gdzie jest Marian i co robi. Błada i wychudzona, siedziała na huśtawce na ganku i patrzyła się w przestrzeń oczami, które sprawiały wrażenie rozpaczliwie pustych.

Na Boga, ona wyglądała jak martwa, pomyślał. Bez śladu zniknęły żywe ogniki z oczu, cera straciła zdrowy wygląd. Ku swemu zaskoczeniu, Mad Dog doszedł do wniosku, że brakuje mu tej dawnej Mariah. Nawet nie jej ciała, ale jej, takiej jaka była, sposobu, w jaki pochylała głowę, gdy się uśmiechała, jej reakcji na jego obecność.

Oparł łokcie na stole i opuścił głowę na splecione dłonie.

- Do diabła! - mruknął. - Nigdy nie zatrzymywałem się w jednym miejscu dłużej niż na trzy dni. Jeśli ktoś miał kłopoty, to odchodziłem. Nie wiem, jak jej pomóc.

- Ona jest... zagubiona - odezwał się cicho Jake. - Czy czułeś się kiedyś podobnie? - zapytał, patrząc na Mad Doga.

- Tak. Kilka razy. Kiedy umarła moja matka... - Mad Dog potrząsnął głową, próbując znaleźć słowa, którymi mógłby wyrazić to, o czym nigdy nie mówił. - Myślę, że też chciałem wtedy umrzeć.

Zapadło milczenie. Jake'owi łzy napływały do oczu, po chwili jednak na tyle zdołał odzyskać głos, by powiedzieć:

- Nie sądzę, żeby przestała nas lubić. Ona po prostu... ją nic nie obchodzi.

- Ale co my możemy zrobić, żeby wyrwać ją z tego stanu? - Nie wiem - odparł Jake głosem pełnym rezygnacji.

- Powiedz mi, jak ty sobie poradziłeś, kiedy twoja matka umarła? - zapytał Mad Dog, patrząc na niego przez stół.

Oczy Jake'a pociemniały, jak gdyby pojawił się w nich wyraz bólu. Przez chwilę patrzył na ojca wzrokiem zaskakująco poważnym.

- Skupiłem się na czymś innym... czymś, co nadal jest dla mnie ważne. Ruszyłem na poszukiwanie ojca.

Mad Dog machnął z rezygnacją ręką.

- Takie doświadczenia na nic nam się nie przydadzą - powiedział.

- Ja też tak sądzę - odparł Jake głosem, w którym wyczuwało się nutę rozczarowania.

Mad Dog przygryzł dolną wargę i się zamyślił. To jest tak cholernie ważne, a ja nie wiem, co zrobić. Po chwili spojrzął na chłopca.

- Pomóż mi, Jake...

Jake'a zaskoczyły i zdumiały słowa ojca.

- Potrzebujesz mojej pomocy?

- Obaj jesteśmy w to wplątani. Musimy razem działać. — Mad Dog westchnął i potrząsnął głową. - O, Jezu, nie wiem, jak do niej dotrzeć, jak... - Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Uderzył dłonią o stół, uśmiechnął się i zawołał. - Już wiem, co zrobić!

- Co?

- Zobaczysz. - Odsunął krzesło i wstał. - Spróbuj ją namówić, żeby zjadła trochę gulaszu. Ja pójdę teraz do miasta i wrócę przed zmierzchem.

Jake stał przy kuchennym piecu i po raz drugi tego dnia nakładał na talerz porcję gulaszu. Nie mógł się jednak skupić na tym, co robi.

„Musimy razem działać...”. Razem... zdawało mu się, że nadal słyszy słowa ojca. Długo czekał, zanim je usłyszał, ale teraz nappełniły go nadzieją, jaką nie cieszył się od lat.

Jutro, pomyślał. Jutro powiem mu prawdę. I po raz pierwszy nie było w tym postanowieniu wahania. Wierzył, że to zrobi. Jutro wyzna ojcu prawdę.

Uśmiechnął się do siebie. Odłożył chochlę i wziął w dłonie gorący talerz. Po chwili wyszedł na ganek.

ZAGUBIENI

Na widok smutnej twarzy Mariah jego dobry nastrój minal bez śladu. Siedziała na huśtawce, kołysząc się lekko, obok niej na niewielkim stoliku stała świeca. Jej migotliwy blask rozpraszał mrok zapadającego już zmierzchu.

- Mariah, przyniosłem ci znów coś do zjedzenia.

Nie zareagowała, nadal kołysała się i patrzyła przed siebie.

- Mariah?! - zawołał, podchodząc bliżej.

- Nie jestem głodna. - Machnęła ręką.

- Musisz wreszcie coś zjeść... dla podtrzymania sił. - Chłopiec starał się, żeby to zdanie zabrzmiało poważnie, jak gdyby wygłosił je dorosły człowiek.

Roześmiała się gorzko, ale nie odezwała się ani słowem.

Jake postawił talerz na najwyższym stopniu schodów i podszedł do niej. Widział sieć zmarszczek, jakie pojawiły się na jej bladej twarzy wokół ust, widział przeraźliwy smutek w oczach.

- W ubiegłym roku umarła moja mama - powiedział, opierając dłonie na ugiętych kolanach.

Mariah zamknęła oczy i westchnęła ciężko.

- Przykro mi, Jake. Bardzo ci współczuję - szepnęła.

W sercu chłopca obudziła się nadzieja. Po raz pierwszy od kilku dni zareagowała na to, co się do niej mówi.

- Ty uratowałaś mi życie - powiedział cicho. - Ty i Rass.

Spojrzała na niego. Oczy miała przymglone bólem, zagięte ku dołowi kąciki ust nadawały jej twarzy wyraz bezgranicznego smutku.

- Proszę cię - odezwała się ochrypłym głosem, wydobywającym się gdzieś głęboko z gardła. - Proszę cię, nie mów o tym...

Jake nie wiedział, co zrobić. Żałował, że nie ma przy nim Mad Doga, bo może on doradziłby mu, co ma powiedzieć.

- Ja... - zaczął.

Odwróciła się od chłopca i znieruchomiła, wpatrując się przed siebie.

- Zostaw mnie samą. proszę - odezwała się po chwili.

Zakłopotany Jake wstał.

- Powiedziałaś kiedyś, że to miejsce zawsze może być moim domem. Czy nadal tak uważasz?

Milczała, ale po chwili skinęła głową.

- Ja... ja cię kocham, Mariah - wyznał.

Trwała bez ruchu, tylko w kącikach jej oczu pojawiły się łzy, lśniące jak diamenty w blasku świecy.

Była to jedyna wskazówka, że usłyszała jego słowa.

Mariah nadal siedziała na ganku, gdy Mad Dog wrócił z miasteczka.

Szybkim krokiem przemierzył podwórze i wbiegł na schody. Stopnie ugiwały się pod jego ciężarem, cały ganek wprawiony został w drzenie. Podszedł do niej, z uśmiechem postawił ciemnobrązową butelkę na poręczy i powiedział:

- Wróciłem.

Mariah nawet na niego nie spojrzała. Siedziała sztywna, wyprostowana i nie odezwała się ani słowem.

Mad Dog usiadł na szerokiej poręczy, ściskając w dłoni stojącą obok niego butelkę. Jego przyśpieszony oddech powoli wracał do normy.

- Dość już tego, Mariah - odezwał się.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójde do swojego pokoju. - Mariah powoli wstała i wyprostowana, ze wzrokiem wbitym w podłogę, próbowała go wyminąć.

Mad Dog oparł nogę na krawędzi huśtawki. Zawieszona na linach ławeczka ustawiła się tak, że zagroziła Mariah drogę. Znieruchomiła, uwięziona pomiędzy huśtawką a jego

nogą i poręczą ganku. Patrzyła na zakurzony kowbojski but Mad Doga, jak gdyby to był dwugłowy wąż. - Proszę cię, zabierz nogę. - Nie. - Powoli uniósł drugą i skrzyżował ją z pierwszą. - Nie jestem w odpowiednim nastroju do rozmów... przynajmniej na razie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu... - Patrzyła na niego smutnymi brązowymi oczami.

Na widok jej poszarzałej twarzy ogarnęła go fala współczucia. Wydawała mu się rozczulająco bezradna: młoda kobieta potrzebująca przyjaciela. Po raz pierwszy w życiu zapragnął stać się dla kogoś przyjacielem. Nie kumplem do butelki czy przelotnym znajomym, ale prawdziwym, szczerym przyjacielem. Ona na pewno potrzebuje kogoś bliskiego, ale najpierw muszę w jakiś sposób nawiązać z nią kontakt, przebić się przez mur jej obojętności, pomyślał.

- Ja jednak chcę z tobą porozmawiać - powiedział, przyjmując oschły, zdecydowany ton. - Dość już mam tych twoich dziecinnych, teatralnych gestów.

Uniosła dłoń do ust i jeszcze bardziej pobladła, choć zdawało się to niemożliwe.

- Straciłam ojca w ubiegłym tygodniu.

- Takie jest życie. To nie usprawiedliwia twojego dziecinnego zachowania. - Przerwał dla większego efektu, a potem, dokończył: - Rass byłby tobą rozczarowany.

Z jej ust wyrwał się okrzyk bólu.

- Dlaczego mi to mówisz? - jęknęła. Poruszył się. Chciał ją zmusić, by na niego spojrzała, ale ona wciąż stała z opuszczoną głową i wpatrywała się w jego skrzyżowane nogi.

- Tak trzeba - odparł łagodnie.

- Nie masz pojęcia, co mi jest potrzebne. Pozwól mi przejść. Jestem zmęczona i chcę się położyć.

~ Ale i tak nie będziesz spała, prawda? Co noc widzę, jak przesiadujesz na tej cholernej huśtawce.

- To moja sprawa - rzuciła, ale w jej głosie nie było złości, tylko przejmujący smutek.

- Postaram się, żeby to była i moja sprawa.

- Nie możesz tego zrobić.

- Spójrz na mnie.

- Czego ty chcesz ode mnie, Mad Dog? - Westchnęła i przyglądała dłonią potargane włosy.

- Chcę, żebyś się znów uśmiechała. Brakuje mi tego - powiedział głosem niskim, pełnym uczucia. - Tęsknię za tobą, taką, jaką byłaś.

Zamknęła oczy i pochyliła głowę tak nisko, że rozpuszczone włosy opadły jej na twarz.

- Och, Mad Dog...

- Matt - powiedział cicho, potem wyciągnął rękę, dotknął jej chłodnego podbródka i zmusił ją, by na niego spojrzała.

- Nie rozumiem. - Zamrugowała.

- Nazywam się Matthew Jedediah Stone. Matka zwykle zwracała się do mnie Matt. - Uśmiechnął się, zaskoczony swoim wyznaniem. - Od lat nikomu o tym nie mówiłem.

- To dlaczego mnie powiedziałeś?

Milczał przez chwilę, czując dojmujący smutek.

- Bo jest to wszystko, co mogę ci dać.

- Niczego od ciebie nie chcę - odparła, wzruszając ramionami i odwracając głowę.

- Wiem o tym.

- No, dobrze... Matt. Doceniam twoją szczerłość, ale... - Spojrzała wymownie na drzwi wejściowe.

- Jeszcze przed tygodniem inaczej zareagowałabyś na to, co powiedziałem - przerwał jej.

- Trzeba było wtedy to zrobić. Teraz nic mnie już nie obchodzi. Jeśli pozwolisz...

ZAGUBIENI

Mam lekarstwo na twoją apatię. Wątpię.

- Kieliszek alkoholu. - Podniósł butelkę tequili i uśmiechnął się do niej.

- Czyżbyś sądził, że spróbuję walczyć ze smutkiem, upijając się? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Na mnie to zawsze działało.

- Ale na mnie nie będzie działać. To głupi i bezsensowny pomysł, - Próbowała się uśmiechnąć, ale zauważył tylko smutne skrzywienie ust.

- A więc?

Spojrzała na niego wzrokiem chłodnym jak zimowy wiatr.

- Próbuję zrozumieć twój plan. Upijemy się, a kiedy obudzę się chora, z bólem głowy... mój ojciec znów będzie żył?

- On nigdy nie wróci między żywych, Mariah. - Patrzył jej głęboko w oczy z nadzieją, że jego wysiłki, by przynieść jej ulgę, zostaną wreszcie właściwie zrozumiane. - Zawsze będziesz cierpieć z tego powodu, ale może nie aż tak bardzo. Gdybyś potrafiła się wypłakać...

- Myślisz, że alkohol ułatwi mi płacz?

- Z pewnością.

Zmarszczyła lekko czoło. Zaczął mieć nadzieję, że Mariah zastanawia się nad jego propozycją, zaczyna ją poważnie rozważać.

- Dobrze - powiedziała z wahaniem. - Może jeden łyk. - Spojrzała na niego. - Jeśli obiecasz, że potrafię po tym płakać.

Mad Dog miał ochotę krzyknąć z radości. To jest początek, pomyślał. Zresztą, jak dotąd, nikt nie upił się jednym łykiem tequili.



Mariah nie mogła uwierzyć, że zgodziła się na wypicie alkoholu. Od tygodnia odmawiała sobie jedzenia, snu, rozmów, wszystkiego, a teraz zgodziła się na łyk tequili.

Zachęciła ją perspektywa płaczu.

Szła z pochyloną głową, wpatrując się w zamarzną ziemię pod stopami. Piekły ją oczy. Tak bardzo chciała płakać, że aż przyprawiało ją to o fizyczny ból. Wielokrotnie razem ze łzami próbowała wyrzucić z siebie żal zamknięty w sercu, ale nie potrafiła tego zrobić. Łzy tkwiły w niej jak lodowa bryła, przytrzymywane ćwiczoną przez lata siłą woli.

Zerknęła ukradkiem na idącego obok niej Mad Doga. Matt, jak sobie przypomniała, bez słowa prowadził ją w jakieś tylko jemu wiadome miejsce, na otaczających farmę polach.

Próbował wziąć ją za rękę, ale nie pozwoliła na to. Nie życzyła sobie żadnego zbliżenia, nie chciała, żeby ją pocieszał. Chciała tylko znaleźć się w jakimś ustronnym miejscu, wypić trochę tequili i płakać.

Starła się nie myśleć o Mad Dogu. Nieważne, ile pięknych słów jej powiedział, prawda była niezmienna: wkrótce odejdzie, a ona pozostanie sama. Jeszcze niedawno mogła wma-

wiać w siebie, że nie ma to znaczenia, ale wtedy miała Rassa. Nie była tak całkowicie osamotniona.

Teraz, gdy Mad Dog odejdzie, będzie rozpaczliwie samotna, więc tym bardziej nie chciała, żeby odchodząc, zabrał część jej serca.

On tymczasem zatrzymał się nagle i otworzył butelkę.

- To miejsce będzie dobre - powiedział.

Mariah rozejrzała się. Stali pośrodku zachodniego pastwiska. Śnieg już prawie zniknął, ale ziemia była twarda i zmarznięta. Poszarzałe pola zlewały się na horyzoncie z ciemnym gwiazdzistym niebem. Po lewej widać było srebrzystą wstęgę strumienia, oświetloną bladą księżycową poświatą. Po prawej, na tle nieba, zobaczyła nagą sylwetkę starego dębu ze stojącą pod nim żelazną kutą ławeczką. Odwróciła się szybko.

Mad Dog dotknął jej ręki.

- Nie przejmuj się. Zaraz poczujesz się lepiej.

- Mamy usiąść tutaj i pić? - Uniosła brwi.

- Możemy stać.

- Podaj mi butelkę - powiedziała. Wzięła ją do ręki i się skrzywiła. Ostry zapach alkoholu wyraźnie nie przypadł jej do gustu. - Okropnie pachnie - mruknęła.

- Smakuje jeszcze gorzej.

Mad Dog usiadł ze skrzyżowanymi nogami, potem wskazał jej miejsce obok siebie.

- Chodź, usiądź tutaj - zaproponował.

Powoli, z wahaniem, uklękła obok niego. Patrzyła na butelkę i próbowała się przekonać, że postępuje właściwie.

- Wahasz się? - zapytał.

- Nie.

Przysunęła szyjkę do ust i przechyliła butelkę. Zamknęła oczy i wypila spory łyk tequili. Łzy napłynęły jej do oczu. Zdawało jej się, że gardło płonie, a ogień sięga pulsującą falą aż do żołądka.

Odsunęła butelkę od ust i wytarła wargi rękawem.

- Och... nie do wiary... Boże.

- Mówiłem ci, że będziesz płakać - powiedział z uśmiechem Mad Dog, po czym wziął od niej butelkę, wypił potężny łyk, a potem znów podał ją Marian.

- Jeszcze jeden? - zapytała.

- Co najmniej.

- Może powinnam trochę odczekać...

- Nie robi się smaczniejsza, kochanie. Napij się jeszcze.

Skrzywiła się, wzięła butelkę i wytarła szyjkę rękawem.

- Po co to robisz? Wiesz przecież, czego dotykały moje usta. - Roześmiał się.

Mariah zignorowała tę uwagę i znów napiła się palącego płynu.

Mad Dog położył się podparty na łokciu, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, i wpatrywał się w bezkresne, usiane gwiazdami niebo. Ona klęczała obok niego.

Przekazywana z rąk do rąk butelka wędrowała tam i z powrotem, aż wreszcie Mariah zaczęło się wydawać, że tequila jest całkiem smaczna. Czuła się tak, jak gdyby przelykała gwiazdny pył, a po każdym łyku było jej coraz cieplej. Napięcie towarzyszące jej od kilku dni powoli zniknęło.

- Chodź tutaj - powiedział Mad Dog, wskazując miejsce obok siebie.

Mariah znów napiła się alkoholu, potem podała mu butelkę i otarła usta grzbietem dłoni.

Wypił łyk i oddał jej butelkę.

Sięgnęła po nią niepewnie, przez krótki moment nie mogła skoncentrować na niej wzroku. Niezgrabnie ujęła ją oburącz za szyjkę.

- Do licha! - mruknęła głosem, który wydał mu się belkotliwy.

- Chodź, przytul się do mnie - powiedział cicho.

Uniosła raptownie głowę. Chciała spojrzeć na niego zadowolonymi, piekącymi oczami, ale jego obraz rozmywał się, to oddalał, to zbliżał.

Wreszcie udało jej się skupić na nim wzrok. Leżał na trawie, podparty na łokciu. Księżyc oświetlał jego zbyt długie włosy, tworząc coś w rodzaju aureoli wokół opalonej twarzy.

Serce podskoczyło jej w piersi. Boże, jaki on jest przystojny. Już niemal zapomniała...

Ale przecież chciałam zapomnieć!

- Nie chcę cię - oświadczyła zdecydowanie i wypila kolejny łyk alkoholu.

Roześmiał się i ten wibrujący donośny dźwięk, który rozległ się niespodziewanie w otaczającej ich ciemności, wywołał w niej gwałtowny skurcz serca.

- Ależ chcesz, chcesz - rzekł Mad Dog po chwili.

Z jakichś niezrozumiałych dla niej powodów palce zaczęły jej drżeć. Postawiła butelkę na zamrożonej ziemi.

- Nie, nie chcę.

Usiadł, potem powoli wstał. Czują na sobie jego wzrok. Prześlizgnął się po jej odsłoniętej szyi jak język ognia. Wstrząsnął nią dreszcz. Słyszała szelest jego kroków na zmrożonej trawie, przyśpieszony oddech.

- Chodź. - Wyciągnął rękę.

- Gdzie chcesz iść? - spytała.

- Czy to ma znaczenie?

Sięgnęła po butelkę i podniosła ją do ust. Przytrzymał jej rękę,

- Myślę, że masz już dość.

- Uważasz, że mam dość? A czy to nie wszystko jedno? - Uśmiechnęła się lekceważąco i wypila ,Ostatni łyk

- Chodź.

Zignorowała wyciągniętą ku niej rękę i odstawiła butelkę tak niezręcznie, że resztkę alkoholu wylała się na ziemię.

Chichocząc radośnie, **próbowała ustawić butelkę w pozycji pionowej**.

- Chodź, Mariah.
- Och, już dobrze - zgodziła się.

Podpierając się dłońmi, wstała niezdarnie, ale w tym momencie zakreśliła jej się w głowie. Zachwiała się niebezpiecznie, rozłożyła szeroko ramiona; czuła, że nogi uginają się jej w kolanach.

- Nie mogę... - Zachichotała znowu.

Mad Dog wziął ją na ręce. Instynktownie zarzuciła mu ramiona na szyję i odetchnęła głęboko. Musiała przyznać, że czuje się wyśmienicie. Oparła głowę na jego piersi i zamknęła oczy. Nie wiedziała, dokąd ją niesie. Jednostajny, rytmiczny ruch jego ciała usypiał ją, uspokajał. Zdawało jej się, że płynie gdzieś w przestrzeni, nie myśląc o niczym.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Mad Dog i się zatrzymał.

Marian, uniosła głowę i rozejrzała się, próbując dostrzec coś w ciemności. Jej wzrok spoczął na bezlistnej sylwetce potężnego drzewa.

Krzyknęła cicho i dłonią przysłoniła usta. Nie, nie powinien mnie tu przynosić, pomyślała, Nie tutaj.

Postawił ją ostrożnie na ziemi, ale nogi ugięły jej się natychmiast w kolanach i powoli opadła na trawę.

Miejsce, w którym się znaleźli, było jej boleśnie znajome. Nawet w ciemnościach potrafiła je rozpoznać. Czuła się oszukana, zdradzona.

- Dlaczego mnie tu przyniosłeś? - zapytała z żalem.. . Ukłękł obok niej i wziął ją za rękę.
- Musisz się pożegnać, Mariah.
- Pożegnałam się na pogrzebie - odparła, odwracając się od niego.

ZAGUBIENI

- Powinnaś to zrobić jeszcze raz.
- Nie. - Potrząsnęła głową.
- Jestem tu z tobą.
- Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? - Roześmiała się głośno, niemal histerycznie.

- Tak.

Odpowiedź zabrzmiała tak szczerze, że gotowa była mu uwierzyć. Zawahała się na moment.

- Porozmawiaj z nim, Mariah - nalegał Mad Dog, ściskając ją za rękę. - Powiedz to, czego dotąd nie powiedziałaś.

Powoli, niechętnie odwróciła się w stronę świeżej mogiły, widocznej jako czarna plama na tle poszarzałej trawy. Nagrobny kamień lśnił w świetle księżyca. Słowa, które chciałaby na nim wyryć, majaczyły w jej świadomości: „Tu spoczywa Erasmus Throckmorton. Mąż, ojciec, przyjaciel”.

Nie wiedziała, jak powinien brzmieć napis na jego grobie. Co można powiedzieć o mężczyźnie, który w swoim długim, siedemdziesięcioczoletnim życiu nigdy nikogo nie skrzywdził? Mężczyźnie, który wierzył w Boga, cuda i możliwość odrodzenia.

Co można powiedzieć o ojcu, który odszedł? Tyle lat, tak wiele wspomnień... a tak mało miejsca na zimnej granitowej płycie.

- On bardzo cię kochał, Mariah.

Skinęła głową.

- Był moim życiem - powiedziała cicho.

- Na pewno nie chciałby, żebyś zrezygnowała ze wszystkiego i żyła tylko jego wspomnieniem.

- W jaki sposób poznałeś go tak dobrze?- zapytała, uśmiechając się gorzko.

- To nie był człowiek trudny do rozszyfrowania.

- To prawda - zgodziła się.

- Porozmawiaj z nim. Pożegnaj się - powtórzyl.
- To bezsensowne.
- Nie szkodzi. Jesteś przecież pijana.

Niewiele brakowało, by się roześmiała. Potem powoli uniosła głowę i spojrzała na ciemny prostokąt nieporosły jeszcze trawą. Ręce zaczęły jej drżeć. Chciała się z nim pożegnać. Pragnęła tego. Chciała powiedzieć to wszystko, co nie mogło przejść jej przez usta wtedy, gdy jeszcze żył.

- Czuję się głupio - szepnęła.
- Nie przejmuj się.

Zwilżyła językiem wargi, próbowała odwrócić głowę, zignorować zachęty Mad Doga, ale jej wzrok wracał ku ciemnej, zimnej mogile Rassa.

Na Boga, jakże tęskniła za nim, za mamą i Thomasem.

- Och, Boże, jak bardzo mi was brakuje - szepnęła i ciałem jej wstrząsnął szloch. Zaczęła łkać - Och, Boże...

Mad Dog objął ją ramieniem i mocno przytulił. Gorące łzy strumieniami płynęły po jej policzkach i wsiąkały w jego koszulę. Czowała na wargach ich słony smak i to sprawiało, że płakała jeszcze mocniej.

- Już dobrze, dobrze - mruknął uspokajająco i gładził jej potargane włosy.

- Tak bardzo za nimi tęsknię, Matt.

Płakała długo, tak długo, aż zaschło jej w gardle, a w głowie poczuła pulsujący ból. Płakała za rodzicami, za utraconą młodością, za dzieckiem. Za tym wszystkim, za czym nigdy nie płakała.

Poczuła zapach lawendy.

Spojrzała w niebo. Zdawało jej się, że gwiazdy nad jej głową poruszają się, płyną i wreszcie zlewają się w ogromną białą kulę pośrodku ciemnego nieba.

- Gwiazdy wędrują- powiedziała i otarła dłonią oczy.
- Halucynacja. To drugie stadium działania tequili. - Mad

Dog otarł jej wilgotne policzki. - Nie przejmuj się, to wkrótce minie.

Zamknęła oczy, a kiedy znów je otworzyła, zobaczyła matkę i ojca, stojących obok żelaznej ławeczki.

- Mamo... ojczy - szepnęła.

„Kochamy cię, Mariah”. Usłyszała te słowa, dotarły do niej tak wyraźnie, jak gdyby zostały wypowiedziane głośno. Rodzice nic więcej nie powiedzieli, ale wyczuwała ich bezgraniczną miłość. Błogie uczucie wypełniło najgłębsze zakamarki jej serca.

Wiedziała teraz, z całą pewnością, że ją rozumieli. Zawsze rozumieli i kochali.

- A Thomas... - szepnęła z nadzieją.

„Jego dusza odrodziła się”, usłyszała, jak jej się zdawało, słowa matki.

Łzy, które popłynęły teraz z oczu Mariah, były łzami szczęścia, łzami miłości. Po raz pierwszy od lat przepelniło ją uczucie prawdziwej radości i nadziei. Podniosła dłonie do twarzy i wytarła łzy.

Kiedy opuściła ręce, rodzice zniknęli. Na moment ogarnął ją smutek, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił. Uśmiechnęła się do Mad Doga.

- Widziałeś ich? - zapytała.

- Kogo?

Odsunęła włosy opadające jej na oczy i roześmiała się cicho.

- Och, nieważne...

- Lepiej się czujesz? - zapytał Mad Dog, przyglądając się jej uważnie.

- Nawet sobie nie wyobrażałam...

- Kto to jest Thomas?

Odruchowo spojrzała na niewielki, porośnięty przystrzyżoną trawą prostokąt obok grobu matki. Pierwszy raz od wielu lat patrzyła na to miejsce bez dręczącego poczucia winy.

- ~ To był mój syn.
- Twój syn? - zdumiał się Mad Dog.
 - Pamiętasz, mówiłam ci o tym, że straciłam dziewictwo - powiedziała, patrząc mu w oczy.
 - Tak.
 - Zaszłam w ciążę.
 - Och, Mariah. -Dotknął jej policzka gestem wyrażającym tak głębokie współczucie, że ścisnęło jej się serce.
 - Kiedy się zorientowałam, napisałam do Stephena. Jego zespół teatralny był wtedy w Spokane. Odpisał, że spotkamy się w Walla Walla i weźmiemy ślub. - Co dziwne, nie odczuwała teraz goryczy, mówiąc o Stephenie, może tylko odrobinę smutku. - Nie powinnam mu uwierzyć, ale uwierzyłam... Miałam wtedy szesnaście lat. Oczywiście, nigdy nie stanęliśmy przed ołtarzem.
 - Jak... Jak to się stało, że Thomas umarł?
- Mariah znów zaczęła płakać. Łzy płynęły jej po policzkach i spadały na spódnicę.
- On nigdy naprawdę nie żył. Urodziłam go o sześć tygodni za wcześnie. Był taki malutki... Doktor Sherman nic nie mógł zrobić. Powiedział potem, że nie powinnam mieć więcej dzieci.
 - Nie powinnaś czy nie możesz? - Mad Dog dotknął jej policzka.
 - Powiedział, że nie donoszę ciąży i nie powinnam więcej próbować.
 - Moja mama miała trzy poronienia, zanim mnie urodziła. Lekarze to samo jej mówili. A ty miałaś wówczas zaledwie szesnaście lat. Teraz jesteś silniejsza.
- Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Wstrzymała oddech. Nadzieja, która nagle jej zaświtała, była silniejsza, niż mogła sobie wyobrazić.
- Może - szepnęła i to słowo sprawiło, że uwierzyła.

- Dlaczego na jego grobie nie ma żadnej płyty, żadnego napisu?

Gdy patrzyła na ledwie zaznaczoną małą mogiłę, w pamięci jej odżył obraz trumienki spoczywającej w zamrożonej ziemi. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, dlaczego nie upamiętniła tego miejsca.

- Nie mogłam się z nim pożegnać - szepnęła.

Nie odrywając wzroku od grobu, wstała i niepewnym krokiem podeszła do niego. Uklękła, pochyliła się i przycisnęła czoło do zmrożonej trawy. Czowała zapach ziemi. Z gałęzi dębu nad jej głową oderwał się zeschnięty liść i powoli, w ciszy, opadł na jej włosy.

- Żegnaj, Thomasie - powiedziała głosem drżącym od tłumionego szlochu. - Kocham cię, dziecino.

Trwała długo nieruchoma, z pochyloną głową - może były to minuty, może godziny, nie potrafiła tego powiedzieć. Potem powoli wyprostowała się i natrafiła na wzrok Mad Doga. Stał w ciemności i czekał na nią.

- Matt - szepnęła i wyciągnęła do niego rękę.

Podszedł do niej natychmiast i pomógł jej wstać. Przytuliła się i ukryła twarz na jego piersi. .

- Dziękuję ci - powiedziała cicho.

Ruszyli powoli w stronę zabudowań. Mariah szła z odchyłką do tyłu głową, patrząc w niebo. W pewnym momencie poczuła skurcz żołądka, potem falę mdłości. Jęknęła cicho i przycisnęła dłonie do piersi. Zdawało jej się, że gwiazdy wirują na niebie i pulsują.

- Poczułam się niedobrze. Tak nagle...

- Nie jestem tym zaskoczony. - Mad Dog się roześmiał.

Po dłuższej chwili zatrzymali się. Otworzył drzwi i pod trzymując ramieniem Mariah, wprowadził ją do wnętrza.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytała, próbując bezskutecznie odzyskać ostrość widzenia.

- W moim pokoju. Wreszcie w domu.

Mariah, pozbawiona oparcia jego ramienia, zachwiała się niebezpiecznie. Rozbawiona tym, zachichotała.

Mad Dog wziął ją pod rękę. Oparła się o niego, drugą rękę przyciskając do żołądka, by jakoś opanować coraz silniejsze mdłości.

- Chcesz się położyć?

Zdawało jej się, że jego głos dobiega gdzieś z oddali. Skinęła głową,

Podprowadził ją do łóżka, ale wystarczył ruch niezbędny do przejścia paru kroków, żeby wywołać nagły skurcz żołądka i...

- Prze...przepraszam - wykrztusiła.

Roześmiał się, wziął ją na ręce i zaniósł do domu. W łazience pomógł jej umyć twarz, wypłukać usta, potem zaniósł ją do jej pokoju i ułożył do snu.

Kiedy po chwili chciał odejść, wyciągnęła do niego ręce i powiedziała:

- Nie odchodź. Chcę, żebyś...

Uśmiechnął się do niej i delikatnie odsunął włosy opadające jej na twarz.

- Musisz się wyspać - powiedział. - Poza tym jesteś pijana. Jutro, kiedy już wytrzeźwiejesz - uśmiechnął się znacząco - porozmawiamy...

- To chociaż śpij koło mnie

- Mam tylko spać? -Proszę... Rozebrał się szybko, położył obok niej i objął ją mocno. Leżała z policzkiem na jego nagiej piersi i się uśmiechała. - Przykro mi, że się tak upiłam - powiedziała.

- Nie przejmuj się. Nie jesteś pierwszą kobietą, której zdarzyło się coś takiego.

ZAGUBIENI

Nie porównuj mnie z innymi kobietami. Roześmiał się.

Przytuliła się do niego i *mocno* oplótła ramionami. Z przyjemnością wdychała znajomy zapach jego ciała. Westchnęła głęboko.

- Tequila wcale nie jest taka zła... - szepnęła i już po chwili zapadła w głęboki, spokojny sen.



Mariah powoli budziła się ze snu. Przez moment nie wiedziała, co się z nią dzieje, potem nagle przypomniała sobie miniony wieczór.

Zamrugła i poczuła, jak ciepła, pojedyncza łza spływa jej po policzku. Przyszło jej na myśl, że czeka ją wiele takich poranków, kiedy będzie się budzić z myślą o rodzicach, synu, ukochanych, których utraciła. I chociaż nie pozbyła się bólu, który nadal tkwił w jej sercu, po raz pierwszy miała pewność, że potrafi się z nim uporać. Wiedziała, że któregoś dnia znów będzie potrafiła się uśmiechać.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na śpiącego obok niej mężczyznę. Oświetlony wpadającymi przez okno promieniami słońca, leżał na wznak, z jedną ręką zwisającą poza krawędzią łóżka, a drugą przyciśniętą do piersi.

Kochała go.

Tego, co do niego czuje, nie musiał już jej podpowiadać ojciec. Sama wiedziała, że jego uśmiech, dobroć, jego szczerość są tymi niewidzialnymi nićmi, które ją z nim wiążą.

Pomyślała o minionej nocy, o tym wszystkim, co jej

ofiarował, i zapragnęła dać mu coś w zamian. Nie miała jednak nic cennego, nic, co jemu byłoby potrzebne.

A może miłość?

Ta myśl poraziła ją swoją prostotą.

Zanim zdołała się przed nią opędzić, zakradła się głęboko do jej duszy, nie chciała poddać się racjonalnemu rozumowaniu.

Może pod jego maską pogody i swobodnego zachowania kryje się człowiek równie samotny i poszukujący kogoś bliskiego jak ja? Może jestem mu potrzebna tak samo jak on mnie? - pomyślała. Może nawet kiedyś mógłby nauczyć się kochać?

Boże, pozwól, żeby on został... - modliła się w myślach. Łzy napłynęły jej do oczu i potoczyły się po policzkach, ale nie zadała sobie trudu, by je obetrzeć. Wiedziała, że już nigdy nie będzie bała się płakać i okazywać swoich uczuć. Odtąd potrafi stanąć twarzą w twarz z przeciwnościami losu i znajdzie dość siły, by walczyć o swoje szczęście.

Postanowiła oddać Mattowi wszystko, co ma do ofiarowania - serce, duszę oraz ciało - i miała nadzieję, że to wystarczy. Tylko to mogła zrobić.

Jeszcze w półśnie Mad Dog poczuł przyjemne mrowienie w całym ciele i miły, nietypowy zapach. Przeciągnął się w otulającej go pościeli i wtedy jego ręka dotknęła czegoś ciepłego, miękkiego.

Ktoś spał obok niego. To spostrzeżenie dotarło do jego świadomości i uwolniło ją z resztek gęstej mgły snu. Otworzył oczy.

Mariah leżała przytulona do niego, z brodą opartą na jego piersi, wargami *tuż* przy jego lewym sutku. Czuł na skórze jej delikatny oddech.

Niewiele brakowało, by krzyknął na jej widok. Fala ciepła przepłynęła mu przez ciało i zatrzymała się gdzieś w okolicach lędźwi.

Mariah odsunęła kosmyk włosów, opadający jej na oczy, i uśmiechnęła się do niego leniwie.

- Dzień dobry- przywitała go miękkim, gardłowym głosem.

- Dzień dobry. Widzę, że czujesz się już lepiej - powiedział, siląc się na obojętność.

- Czuję się wspaniale. - Spojrzała mu w oczy, potem językiem dotknęła jego sutka. - A ty smakujesz nie mniej wspaniale.

Ta niespodziewana pieszczota poraziła go. Poczł gwałtowne podniecenie ogarniające wszystkie zmysły. Nigdy nie spotkał kobiety, która inicjowałaby pieszczoty - nawet jeśli płacił za jej względy. To było nadzwyczaj miłe.

Dotknęła go znów językiem, potem uchwyciła sutek zębami. Jęknął cicho.

- Gdzie ty się tego nauczyłaś? - zapytał, starając się przybrać żartobliwy ton.

- Od ciebie. - Nie przerywała pieszczoty.

Mad Dog wcisnął głowę w poduszki i zamknął oczy. Kto mógł przypuszczać, że może to być aż tak przyjemne? Nikt nigdy nie pieścił go w ten sposób, nawet nie przyszło mu do głowy, żeby o taką pieszczotę poprosić. Taką oto wadę ma sypianie z dziewczynkami, pomyślał. Otrzymujesz tylko to, za co zapłaciłeś, i nic ponadto.

Teraz dostawał o wiele więcej i miał tego świadomość. Odczuwał coś, co wykraczało poza fizyczne podniecenie. Dotykała językiem jego ciała, ale to, co robiła, sięgało głębiej. Jak gdyby wilgotny koniuszek jej języka dotknął jego serca.

Spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Uchwycił spojrzenie

Mariah i w jej oczach zobaczył odbicie własnych uczuć.

Zrozumiał wagę tej chwili.

- Co ty robisz? - zapytał szeptem.
- Kocham się z tobą - odpowiedziała i spojrzała na niego wzrokiem wyrażającym bezgraniczną szczerość.

Przesunęła się teraz niżej, odsłaniając coraz bardziej jego nagie ciało. Czuł na skórze chłodne powietrze. Gorący czubek jej języka zostawiał wilgotny ślad na jego ciele, wywołując gęsią skórkę na piersi i brzuchu. Poruszała się powoli, leniwie.

Zamknął oczy. Pożądanie pulsowało w nim, przyprawiało o drżenie. Nigdy w życiu nie czuł się tak bliski utraty panowania nad sobą.

Uchwycił ją za ramiona i podciągnął ku górze wzdłuż swego ciała. Zaskoczona, zaprotestowała cicho, ale zanim zdołała coś powiedzieć, ustami nakrył jej wargi.

Całował ją długo, zaborczo, z całą namiętnością mężczyzny, który setki razy sypiał z kobietami, ale nigdy nie kochał się naprawdę. Wsunął język pomiędzy jej wargi i delektował się słodyczą, która była smakiem wyłącznie jej ust.

Odwzajemniła pocałunek z pełnym oddaniem. Językiem dotykała jego warg, zębów. Oplotła go ramionami, przywarła do niego piersiami.

Mad Dog nigdy nie pożądał tak bardzo żadnej kobiety. Pragnął, by ich ciała, płonące przy każdym dotknięciu, stopiły się w jedno.

Drżącymi palcami sięgnął do guziczków jej koszuli. Nie mógł sobie z nimi poradzić. Zaklął cicho i gotów był już rozedrzeć cienki materiał, ale Mariah roześmiała się i odsunęła od niego.

- Lepiej sama zdejmę, zanim ją podrzesz. - Zręcznie rozpięła guziczki i zsunęła koszulę z ramion, odsłaniając drobne piersi.

Jęknął na widok jej nagiego ciała. Zdawało mu się, że już

dawno poznał znaczenie słowa pożądanie, ale dopiero teraz rozumiał, co ono naprawdę oznacza.

Pożądał w tym momencie Mariah bardziej niż kogokolwiek w życiu. I to nie tylko pragnął jej ciała, spojrzenia, uśmiechu, ale tej części jej istoty, która nie potrafiła powiedzieć „żegnaj” tym, których kochała.

Odwróciła się i powoli, uwodzicielsko, z czego zresztą nie zdawała sobie sprawy, zaczęła rozwiązywać tasiemkę od długich jedwabnych majtek, potem zsunęła je z bioder.

- Na Boga, Mariah - szepnął. - Jesteś piękna.

Niebale odrzuciła bieliznę. Koszulka zawisła na komodzie, pantalonki udrapowały oparcie łóżka jak flaga oznaczająca poddanie się.

- Chodź tutaj - powiedział, nie odrywając od niej wzroku.

Potrząsnęła głową. Włosy opadły jej na piersi, częściowo osłaniając nabrzmiałe sutki.

- Ale...

- Cśś. - Nachyliła się i położyła palec na jego ustach. Powoli odrzuciła kołdrę i odsłoniła jego nagie ciało. Leżał z rozchylonymi nieco nogami, rękami wyciągniętymi wzdłuż boków i oddychał ciężko. Czuł na sobie jej gorący wzrok, wiedział, że dostrzega jego podniecenie. Nie był w stanie się poruszyć.

Oparła dłoń na jego piersi, potem się uśmiechnęła, uklękła nad nim i ściskając go kolanami powoli osunęła się niżej, tak że ich ciała się połączyły.

Położył dłonie na jej biodrach i mocniej przyciągnął do siebie. Nachyliła się nad nim, przytrzymując się rękami oparcia łóżka. Uniósł nieco głowę i zacisnął wargi na jej nabrzmiałym sutku.

Jęk rozkoszy wydobył się z rozchylonych warg Mariah. Zaczęła się poruszać, najpierw powoli, jak gdyby nie wiedziała, co robić, potem szybciej, coraz szybciej.

Kropelki potu pojawiły się na jego piersi. Ścisnął jej biodra, pośladki, przytrzymując ją, prowadząc. Biodra Mariah poruszały się w instynktownym rytmie, doprowadzając go niemal do szaleństwa.

Całował, ssał jej sutki, najpierw jeden, potem drugi. Pojękiwała cicho, co potęgowało jeszcze jego podniecenie. Zdawało się, że ich ciała zlały się w jedno; nie wiedział, gdzie kończy się ona, a zaczyna on. Wszystkie jego zmysły napięte były aż do bólu. Pożądanie spalało go, sprawiało, że czuł się bezbronny, nawet przez moment przerażony.

Spojrzał na Mariah i zobaczył jej naprężone ciało, głowę odrzuconą do tyłu. Oczy miała zamknięte, usta rozchylone, policzki palające rumieńcem. Wyginała się. Jęczała cicho.

Jego podniecenie sięgnęło szczytu, ale starał się opóźnić moment odprężenia. Po raz pierwszy w życiu troszczył się nie tylko o własne doznanie rozkoszy, ale i o to, by ona jej zaznała. Zaciśnął zęby, pot wystąpił mu na czoło. Drżał z wysiłku, by zachować kontrolę nad sobą.

Mariah nagle znieruchomiała.

- O Boże... Och... - szepnęła, potem opadła na niego. Wplotła palce w jego włosy i przycisnęła jego głowę do swoich piersi.

Uniósł biodra i wsunął się w nią głębiej. Krzyknęła i wtedy poczuł rytmiczne pulsowanie jej ciała.

- Och, Boże... Matt... - jęknęła.

Na dźwięk swojego imienia Mad Dog poczuł, że zupełnie traci panowanie nad sobą. Przycisnął ją do siebie i wreszcie doznał ulgi, na którą tak długo czekał.

Wyczerpany, opadł na poduszkę. Mariah przywarła do niego, objęła go i przytuliła twarz do jego piersi. Ostra woń potu i słodki zapach podniecenia nasyciły powietrze.

Przez chwilę trwał w nastroju błęgiego oszołomienia, potem nagle wrócił do rzeczywistości. Przypomniawszy sobie,

jakie ta kobieta budziła w nim uczucia, co o niej myślał, jak jej pożądał, i po raz pierwszy w życiu naprawdę się przestraszył. Nigdy nikt nie był mu tak potrzebny - co do tego nie miał wątpliwości. Dotąd żył bez żadnych ograniczeń, bez żadnych więzi z innymi ludźmi. Wędrował, kiedy chciał, zatrzymywał się, gdy miał na to ochotę. Nikt nie mówił mu, co ma robić.

Ten rodzaj wolności był mu niezbędny jak powietrze. Nie mógł bez niej żyć. Nie potrafiłby spędzić życia zamknięty za białym drewnianym płotem. Nie mógł dożyć starości na małej odludnej farmie.

A jednak, jeszcze przed chwilą, ta kobieta była mu potrzebna, i to nie tylko, by przeżyć z nią chwilę rozkoszy. Potrzebował jej. Przy niej, trzymając ją w ramionach, doznawał uczucia... spełnienia.

Ach, Mariah, pomyślał, w co myśmy się wplątali? Co my, u diabła, robimy?!

Znał odpowiedź.

To nie była tylko chwila rozkoszy. To była miłość.

Mariah leżała wtulona w niego, obejmując go ramionami. Mad Dog, milcząc, łagodnie gładził jej włosy.

Łzy napłynęły jej do oczu. Proszę cię, nie odchodź, Matt, błagała go w myślach.

Chciała głośno wyrazić tę prośbę, ale słowa utknęły jej w gardle. Zamiast tego powiedziała coś innego:

- Przeczytałam twoje artykuły, Matt.

Dłoń na jej włosach znieruchomiła.

- Zrobiłaś to?

Uniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Zauważyła, że przymrużył oczy i patrzy na nią niespokojnie.

- Tak - przyznała się cicho. - I uważam, że są znakomite.

ZAGUBIENI

- Tak sądzisz? - zapytał z niedowierzaniem.

Skinęła głową. Wydawało jej się nieprawdopodobne, że nikt dotąd mu tego nie powiedział. On mnie potrzebuje, pomyślała, niemal tak, jak ja potrzebuję jego.

- Nikt nie czytał tego, co napisałem.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe...

- Nie, nie. - Dotknął delikatnie jej policzka i uśmiechnął się smutno. - Czasem zastanawiałem się, czy nie zacząć pracować w jakiejś redakcji, ale tak się składało, że nigdzie nie zatrzymałem się na dłużej.

On odejdzie, powtarzała sobie w myślach i te słowa sprawiły, że poczuła się słaba, bezradna, przerażona. Próbowwała wyrzucić je ze świadomości, ale nie potrafiła tego zrobić. Wiedziała, że nie wolno jej patrzeć na życie przez różowe okulary. On odejdzie. Była niemal pewna, że tak się stanie.

- Matt... - szepnęła.

Popatrzyła na niego. Włożyła w to spojrzenie całą duszę. Nigdy w życiu nie bała się tak bardzo jak w tym momencie.

- Słucham?

- Kocham cię.

Zbladł. Przez chwilę myślała, że się roześmieje, ale nie, patrzył na nią tylko tymi smutnymi szczerymi oczami, Jego milczenie raniło jej serce.

- Mariah...Przycisnęła palce do jego ust.

- Nie powiedziałam tego dlatego, że oczekuję odpowiedzi. Teraz jednak nie potrafię już zachowywać się tak jak przedtem. Nie potrafię ukrywać uczuć. Kocham cię, Matt, i jestem z tego dumna. To, czy... - głos jej się załamał - to, czy ty mnie kochasz, nie ma znaczenia.

Odwrócił głowę i wpatrywał się w jasny kwadrat okna.

- To jednak ma znaczenie.

Wyciągnęła rękę, dotknęła jego twarzy i zmusiła go, by

na nią spojrział. W jego oczach dostrzegła smutek, który i jej się udzielił. Patrząc na niego, wyczuwała wagę tej chwili. Wiedziała, że nie powinna nic więcej mówić, mogła tylko przytulić się do niego i zadowolić się okruciami jego uczuć, tak długo, jak było to możliwe. Jeszcze tydzień temu potrafiłaby pogodzić się z tym, że otrzymuje mniej, niż oczekuje. Teraz już nie. Pod wpływem Matta zaczęła inaczej patrzeć na siebie, inaczej widziała świat i nie było od tego odwrotu.

- Zostań - powiedziała cicho, ale zdawało jej się, że to słowo zabrzmiało jak krzyk.

- Ach, Marian...

Wyczuła smutek w jego głosie i coś, co zabolalo ją jeszcze bardziej: żal. Łzy popłynęły jej po policzkach. Poczuła na wargach ich słony smak.

- Poszłabyś ze mną, gdybym cię o to poprosił? - zapytał i otarł łzę z kącika jej oczu.

- A prosisz mnie o to? - Jakiś cień nadziei pojawił się w jej myślach.

Odwrócił głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ścianę pokoju.

- Nie, raczej nie - powiedział wreszcie.

Zamknęła oczy i spróbowała się uśmiechnąć.

- I tak nie mogłabym porzucić farmy. Przez wzgląd na Rassa.

- Nigdy nie chciałem cię zranić, Mariah ~ szepnął.

Odsunęła się od niego i usiadła z nogami opuszczonymi na podłogę.

- Myślę, że nie byłabym dobrą partnerką dla wędrowca - stwierdziła.

Za jej plecami zaskrzypiało łóżko. Mad Dog wstał.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Mariah.

Wyprostowała się, ale nie odwróciła w jego stronę.

ZAGUBIENI

- Wiesz dobrze, co powiedzieć, Matt. Po prostu te słowa nie chcą ci przejść przez usta.

Stał nieruchomo przez dłuższy czas. Czują na plecach jego spojrzenie gorące jak języki ognia. Potem powoli ubrał się i wyszedł. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Mariah pochyliła głowę i zaczęła płakać.

Jake siedział przy kuchennym stole i czekał na Mad Doga. Usłyszał skrzypienie podłogi na piętrze, stuknięcie zamykanych drzwi.

Mariah wstała, pomyślał. Poczł się niepewnie. W jej obecności to, co miał zrobić, wydawało mu się wręcz niewykonalne. Przy niej nie będzie w stanie wyjawić swojej tajemnicy.

Postanowił zaczekać na Mad Doga na podwórzu, pod chatą dla pracowników.

Tak. To będzie najrozsądniejsze.

Ledwie wyszedł do sieni, zobaczył Mad Doga zbiegającego ze schodów w takim pośpiechu, że niewiele brakowało, a wpadłby na niego.

Jake patrzył na ojca i zauważył, że jest czymś zaaferowany, a przy tym smutny.

- Czy coś się stało? - zapytał.

Mad Dog roześmiał się gorzko.

- Och nie, wszystko jest w najlepszym porządku. - Ominął Jake'a i ruszył w stronę drzwi. - Muszę iść.

Chłopiec bezskutecznie próbował złapać go za rękę.

- Zaczekaj! - zawołał.

Mad Dog nawet nie zwolnił.

- Do licha! - Jake zacisnął pięści i pobiegł za nim. Przed wejściem do chaty dla pracowników dogonił ojca i złapał go za ramię. - Prosiłem cię, żebyś zaczekał.

- Co takiego? - Mad Dog patrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem, jak gdyby nie wiedział, o co chodzi. - Posłuchaj, chłopcze...

- Jake! Mam na imię Jake.
- Wybacz - mruknął Mad Dog, wznosząc oczy ku niebu.
- Czy ty wiesz, dlaczego jest to dla mnie ważne?

- Nie wiem. - Mad Dog zmarszczył czoło. Jake głęboko odetchnął i powiedział:

- Nazywam się Jacob William Vanderstay.

Chłopiec bez trudu rozpoznał moment, kiedy jego słowa dotarły do świadomości Mad Doga. Zauważył, jak przymrużył oczy i zacisnął usta w cienką białą linię.

- Co ty powiedziałeś?
- Laralee była moją matką.

Mad Dog niepewnie cofnął się o krok, jak gdyby chciał uciec przed słowami, które usłyszał.

- Ach, tak. Więc...
- Jesteś moim ojcem.
- To niemożliwe.

Jake odczuł te słowa, jak gdyby trafiła go w serce śmiertelna strzała. Zawahał się na moment. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Mad Dog mógłby mu nie uwierzyć. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej mały cynowy medalionik z namalowanym na nim fiołkiem. Pokazał go Mad Dogowi.

- Dała mi to mama. Powiedziała, że to prezent od mojego ojca.

Mad Dog przez dłuższy czas wpatrywał się w medalionik. Potem zamknął oczy i potarł palcami grzbiet nosa. Ramiona mu opadły; stał z opuszczoną głową.

- O Boże - szepnął.

Jake patrzył na niego. Klębiły się w nim nadzieja i lęk. Długo czekał na ten moment, całe życie. Marzył o tej chwili, przeżywał ją w wyobraźni.

ZAGUBIENI

- Odezwij się wreszcie.
- Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć. Nie wiedziałem, że ona jest w ciąży.

- Wiem o tym.
- Co teraz dzieje się z Lara. Co z nią? - zapytał po chwili.
- Zmarła - odpowiedział Jake.

Mad Dog milczał długo. Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos był ochrypły, zgaszony.

- Dlaczego mnie odszukałeś? Czego ode mnie oczekujesz?

Jake nie odpowiedział. Nie widział potrzeby. Prawdę dostrzegał w smutnych, zrezygnowanych oczach ojca. To był wstęp do rozstania. Długo przygotowywał się na spotkanie z nim, setki razy tłumaczył sobie, że może się ono zakończyć w taki właśnie sposób, ale ból, który odczuwał, był większy, niż sobie wyobrażał.

- Chciałem cię poznać - powiedział wreszcie. Mad

Dog potrząsnął głową.

- Ja nie potrafię być ojcem.

- Już nim jesteś - odparł Jake, nie patrząc na niego. -Masz pewnie na myśli to, że nie potrafisz pełnić roli ojca -dokończył głosem, który nawet jemu wydał się dorosły.

- Nie wiem, jak postępować.

Chłopiec chciał powiedzieć, że mogą się tego nauczyć razem, ale nie zdobył się na to. Czuł, że łzy napływają mu do oczu. Z rezygnacją opuścił ręce. - Tak, masz rację – rzekł. Mad Dog westchnął ciężko. - Widzisz, Jake, to wszystko zdarzyło się tak szybko,niespodziewanie. - Wiem.

- Zdaję sobie sprawę, jak bardzo to boli, gdy człowiek czuje się porzucony. Myślę... może powinniśmy spędzić trochę czasu razem, poznać się wzajemnie. Co ty na to?

- Nie oszukujesz? - Jake gwałtownie uniósł głowę.
- Właśnie szykuję się do odejścia stąd. Może... może chciałbyś pójść ze mną?

- Odejść? Dlaczego?

Mad Dog próbował zachować obojętny wyraz twarzy, ale Jake dostrzegł smutek w jego oczach.

- Nie chciałbym skrzywdzić Mariah bardziej, niż już to zrobiłem. Nadszedł czas, żeby odejść.

Jake usiłował zrozumieć to, co usłyszał. Powoli zaczęło do niego docierać znaczenie tych słów. Odczuwał je tak, jak gdyby Mad Dog pociągał za jakąś luźną nić i wszystko, co zdawało się trwałe, nagle rozsypywało się na części.

- Odchodząc, sprawisz jej ból - powiedział.

- Jakoś sobie z tym poradzi... - Przerwał, a potem dokończył niemal szeptem: - Ja też.

- Ale... ale...

- Żadne ale, Jake. Nie widzę tu przyszłości dla siebie. Jestem człowiekiem, który musi wędrować. Jeśli nie będę wędrował, umrę. To dla mnie jasne. A więc pójdziesz ze mną czy nie?

Jake spojrzał na dom. Jakiś cień poruszył się w oknie. Mariah.

Na myśl o niej poczuł ucisk w sercu. Łzy napłynęły mu do oczu. W ciągu minionych tygodni dała mu wszystko, czego pragnął, to, czego już nigdy nigdzie nie znajdzie. Czuł się z nią bezpieczny. Nie mógł od niej odejść, nie mógł zostawić jej samej, smutnej i przygnębionej. Kochał ją.

Spojrzał na ojca zażawionymi oczami i nagle zrozumiał, czego szukał w czasie tych długich miesięcy. Nie szukał tylko ojca, ale domu, rodziny, miejsca, w którym czułby się u siebie, Wszystko to znalazł przy Mariah.

- Ja... Ja nie mogę tego zrobić. Ona zostałaby sama.

Mad Dog milczał przez chwilę jakby porażony bólem. Potem spojrzał na syna.

ZAGUBIENI

- Jestem z ciebie dumny, Jake.

Te słowa wywarły na chłopcu ogromne wrażenie. Zdawał sobie sprawę, że powinny napęłnić go otuchą, świadczyły przecież o tym, że zyskał uznanie w oczach ojca, ale wywołały zupełnie odmienny efekt. Zabrzmiały jak słowa pożegnania. Pomyślał o latach nadziei, marzeń. Ból ścisnął mu serce. Uświadomił sobie, jak rozpaczliwie pragnął pokochać ojca.

- Zostań... Proszę. Możemy być rodziną. Mad

Dog powoli potrząsnął głową.

- Nie mogę - powiedział stłumionym głosem.

Pękła ostatnia nić nadziei. Jake skinął głową. Poczul się bezradny, osamotniony. Pochylił głowę, zapadł się w siebie, niezdolny nawet płakać. Ojciec go opuszczał. Po wszystkich tych latach nadziei, marzeń nastąpił taki właśnie koniec. Pozostało mu tylko pożegnać się i zostać tu, na małej, położonej na odludziu farmie. Nie mógł nic zrobić, nic powiedzieć, żeby to zmienić.

Stali długo w milczeniu, patrząc na siebie. Potem niespodziewanie Mad Dog wyciągnął do niego ręce. Jake rzucił się w ramiona ojca i objął go mocno. Jakże pragnął, żeby on został.

Po chwili Mad Dog uwolnił się z objęć syna i spojrzał na niego dziwnie lśniąco oczami.

- Będę za tobą tęsknił i stale myślał o tobie. A może któregoś dnia wrócę...

Jake otarł rękawem łzy.

- Lepiej nie mów takich rzeczy, jeśli nie jesteś tego pewny - powiedział.

— Bywaj zdrow, Jake.

Chłopiec-musiał zebrać wszystkie siły, by odpowiedzieć:

- Żegnaj.

Mariah popadła w odrętwienie. Krążyła po pokoju, nic nie widząc, nic nie czując.

W pewnej chwili zatrzymała się przy oknie i zobaczyła Mad Doga rozmawiającego z Jakiem. Serce ścisnęło się jej boleśnie na jego widok. Wyglądał tak, jak gdyby ta farma od zawsze była miejscem jego życia.

Krótki bezsilny szloch wydarł się jej z piersi. Boże, jakże przywykła do jego widoku każdego ranka, do wspólnych posiłków, rozmów z nim. W ciągu kilku tygodni ten mężczyzna tak wplótł się w jej życie, że teraz odczuwała dojmującą pustkę, jak gdyby jakieś żywotne włókna zostały wyrwane z jej ciała. Powrót do dawnego życia wydawał jej się niemożliwy. Bez niego farma stanie się opustoszała, przygnębiająco cicha...

Zobaczyła, jak z uśmiechem, który wydał jej się smutny, uściskał Jake'a, a potem wszedł do chaty. Jake stał jeszcze długo, bez ruchu, wpatrując się w zamknięte drzwi. Wyglądał na załamane. Po chwili wcisnął dłonie w kieszenie i ruszył w stronę stodoły.

Patrzyła na chatę dla pracowników i zastanawiała się, co Matt tam robi, co myśli. Zamknęła oczy i w wyobraźni

zobaczyła go uśmiechniętego, opartego o ścianę, tak przystojnego, że zapierało dech w piersi.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Westchnęła i oparła czoło o szybę. Para z jej oddechu osiadła na chłodnym szkle. Przez chwilę świat wydawał się zamglony, nierealny, ona znów była małą dziewczynką, a piękny książę z bajki czekał tam na nią, na dole...

Może czeka *na mnie?* - *pomyślała*. Podeszła do *szafy* i wyjęła brązową suknię. Ubrała się szybko, wybiegła z domu i zatrzymała się, zdyszana, przed zamkniętymi drzwiami chaty, w której mieszkał Mad Dog. Wytarła o suknię spocone dłonie i, znieruchomiła, wpatrywała się w nie.

„Nie rozumiem, co mi przyszło do głowy, Mariah. Nie mogę cię opuścić...” - zdawało jej się, że słyszy jego głos. Zamknęła oczy, usiłując rozpaczliwie uwierzyć we własne fantazje.

- Proszę cię, Boże, spraw, żeby został. Błagam... -szepnęła.

Potem odetchnęła głęboko i zapukała.

Nie było odpowiedzi.

Powoli, ostrożnie otworzyła drzwi.

To, co zobaczyła, odczuła jak policzek. Zachwiała się i oparła o framugę drzwi. Rozprysły się naiwne, dziecięce fantazje.

Mad Dog klęczał w rogu pokoju i kończył upychać swój dobytek w biały wytarty worek. Zaciągnął sznurek, wstał i powoli się odwrócił.

- Niespodzianka - powiedziała, próbując się uśmiechnąć, ale wiedziała, że zamiast żartobliwie, jej głos zabrzmiał żałośnie.

Mad Dog westchnął. Worek wyslizgnął mu się z dłoni i upadł na podłogę.

- Mariah...

Splotła dłonie, starając się opanować ich drżenie. W jego oczach dostrzegła taki sam ból jak ten, który sama odczuwała.

- Chciałeś odejść tak bez pożegnania?
- Nie wiem - odparł po krótkiej chwili.

Jej smutek i żal był wprost obezwładniający. Zaciśnęła dłonie w pięści.

- Nie powinnam była prosić cię, żebyś został.
- Dobrze, że to zrobiłaś. Tylko żałuję... - Odwrócił głowę. - Boże, jakże chciałbym móc powiedzieć tak.
- Ale nie możesz.
- Nie mogę.

Podniósł worek, zarzucił go na ramię i powoli do niej podszedł.

Patrzyła na niego, próbując odtworzyć w pamięci dawny wizerunek Mad Doga: uśmiechniętego wędrowca z oczami lśniącymi radością. Teraz widziała w nich tylko smutek. Gotowa była błagać go na klęczkach, zrobić wszystko, by tylko został. Nie mogła jednak się poruszyć, wymówić słowa.

- Nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie, Mariah - powiedział cicho, niemal szeptem. - Zaslubiłaś na kogoś, kto obieca kochać cię zawsze i dotrzyma obietnicy. Mężczyznę, który będzie pracował na tych polach od świtu do zmierzchu i nigdy nie usłyszysz z jego ust słowa skargi. Człowieka, który... potrafi żyć na małej farmie otoczonej drewnianym płotem.

Patrzyła na niego, wiedząc, że jej wzrok wyraża ból, bezgraniczną miłość i rezygnację.

- A może... z tobą...

Potrząsnął głową.

- Tylko ty sama możesz zmusić się do opuszczenia farmy, a nie jesteś na to gotowa, prawda?

Mariah odwróciła głowę.

- Nie masz się czego wstydzić. - Odsunął kosmyk włosów z jej mokrego od łez policzka. - Taka już jesteś i dlatego stałaś się kimś wyjątkowym. Ty nigdy z niczego nie zrezyg-

nujesz, niczego nie zapomnisz, nigdy nie potrafisz powiedzieć żegnaj. Ale ja nie tego oczekuję od kobiety. Mnie potrzebne są rozstania.

Odsunęła się od niego. Te słowa wstrząsnęły nią, zabrzmiały jak ostateczne pożegnanie.

- Wiem o tym, Matt. Myślę, że zawsze o tym wiedziałam.

- Nigdy cię nie okłamałem.

Zamknęła oczy. Nawet teraz, gdy złamał jej serce, nie potrafiła przestać go kochać, pragnąć go.

- Niewielka to dla mnie pociecha - powiedziała.

- Zostawiam ci moje artykuły. To jest wszystko, co mam.

Dotknął jej policzka i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Czy poczułabyś się lepiej, gdybym powiedział, że cię kocham?

Po raz pierwszy Mariah poczuła falę bezsilnej złości. Odruchowo uniosła rękę, żeby go odepchnąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Wytrzymała a jego spojrzenie i spokojnie odpowiedziała:

- Nie, Matt. To by mi na pewno nie pomogło.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł. Odszedł z jej życia.

Mad Dog oparł się plecami o wibrującą ścianę wagonu towarowego i podciągnął ku piersi zdrętwiałe nogi. Obok niego leżał nowy notatnik. Białe niezapisane kartki powiewały w przeciągu i zdawało się, że z niego kpią. Nie był w stanie napisać ani słowa. Nic go nie interesowało, nic go nie poruszało, niczym się nie przejmował. Czuł się wewnętrznie martwy.

Westchnął i objął rękami kolana, licząc na to, że w ten sposób ogrzeje się *choć trochę*. *Rezultat nie był wart wyniku*. *Mroźne* powietrze przenikało przez podniszczony mocno płaszcz.

Bezlitosna zima zaatakowała tego roku gwałtownie,

krywając ziemię lodowatą bielą, zamieniając puste wagony w mroźne pudła. Czuł się fatalnie. Był przemarznięty, głodny i zmęczony. Od tygodnia, od dnia kiedy opuścił Lonesome Creek, nie zjadł przyzwoitego posiłku. Znalezienie jakiegokolwiek pracy w ściętej mrozem Ameryce, w tych latach paniki, okazało się niemożliwe. Na dobroczynność też nie można było liczyć.

Przed laty, kiedy zaczął wędrować, tego rodzaju życie wydawało się romantyczną przygodą: ukrywanie się w pustych wagonach, przechytrzenie pracowników kolei, biwakowanie w dowolnie wybranym miejscu, boksowanie się z lokalnymi osiłkami na festynach we wszystkich okręgach pomiędzy Nowym Jorkiem a San Francisco. Wtedy czuł się wolny.

Teraz było inaczej. Jeśli kiedyś wydawało mu się, że tory prowadzi tam, gdzie chce, to teraz prowadziły donikąd. Życie utraciło cały romantyzm, nie miało celu. Składały się nań niekończące się godziny spędzane w zimnych wagonach, wiozących go z jednego niegościnnego miasteczka do drugiego.

Otarł czoło dłonią czarną od brudu i sadzy i skulił się pod ścianą. Zamknął oczy i próbował zasnąć. Bez skutku.

Po dłuższym czasie zaklął cicho i znów oparł się plecami o ścianę wagonu. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, co to znaczy za kimś tęsknić, tęsknić mocno, aż do bólu. Przeżył niegdyś śmierć matki, ale to było coś innego. Ze śmiercią bliskiej osoby po pewnym czasie można się pogodzić, po takiej stracie zostaje tylko ślad w pamięci.

Z Mariah było inaczej. Z każdym dniem coraz bardziej za nią tęsknił. Wiedział, że ona jest tam, na farmie, krząta się, gotuje, rozmawia. Żywa, oddychająca. Kiedy zamykał oczy, widział jej uśmiechniętą twarz; gdy dokuczał mu chłód, przypominał sobie jej ciepłe ciało; w otaczającej go ciszy słyszał jej śmiech.

Stała teraz prawdopodobnie przy kuchennym piecu i go-

towała kolację; smakowity zapach duszonego mięsa wypełniał kuchnię. Jake był razem z nią, siedział przy stole.

Chryste, słyszał niemal szczękanie sztućców, słyszał ich glosy.

Dom... Mariah... Jake. Oni są tam, w przytulnym domu, uśmiechnięci, życzliwi...

Przecież ja tego nie chcę, przekonywał się po raz setny od momentu, gdy opuścił farmę. Nie jestem człowiekiem, który szuka przytulnych miejsc, bezpieczeństwa. Kocham samotność. Zawsze chciałem robić to, na co mam ochotę, iść tam, gdzie mi się podoba. Zawsze kochałem takie życie. Swoboda potrzebna mi jest tak jak innym ludziom powietrze.

Tyle czasu minęło, a on ciągle nie mógł otrząsnąć się po tym rozstaniu. Wierzył jednak, że ten stan minie. Wkrótce, lada dzień, wspomnienia zaczną blednąć, wróci dawny spokój.

Lada dzień.

Podniósł notatnik, wyjął pióro i wpatrywał się w biały niezapisany papier. Bezmyślnie zaczął coś notować. Kiedy po chwili spojrzął na to, co napisał, poczuł chłodny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Na kartce było tylko jedno słowo.

Mariah.

Cisnął piórem w przeciwległą ścianę wagonu, usłyszał, jak o nią stuknęło, potem potoczyło się po podłodze.

Nie, nie mogę poddać się tym bezsensownym uczuciom, pomyślał. Muszę o niej zapomnieć. Wkrótce odzyskam równowagę, zacznę pisać artykuły, pić tequile, podrywać dziwki i będę się śmiał.

Lada dzień.

Minęły pełne trzy tygodnie, zanim Jake znalazł dość odwagi, by powiedzieć Mariah prawdę.

Jak każdego wieczoru, po kolacji, siedzieli na ganku. Na pociemniałym niebie zabłyśły już gwiazdy; ich światło odbijało się milionem błyszczących punktów na warstwie świeżo spadłego śniegu.

Jake zerknął na nią ukradkiem.

Siedziała pochylona do przodu, z dłońmi splecionymi na kolanach. Smutnym wzrokiem patrzyła na drogę prowadzącą ku miastu. Wiedział, że czeka na powrót Mad Doga.

- Myślę, że on cię kochał - powiedział cicho.

- I ja tak sądzę, Jake - odparła po długim milczeniu.

- Moja mama też go kochała - odezwał się po chwili, gdy udało mu się zebrać resztki odwagi.

- Co ty mówisz? - Zaskoczona odwróciła się do niego.

- Jestem jego synem. - Jake spróbował się uśmiechnąć.

Mariah na moment straciła oddech. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na chłopca.

~ Czy on wie o tym? - zapytała wreszcie.

- Powiedziałem mu to, kiedy opuszczał farmę. Prosił mnie, żebym z nim poszedł.

- To podobne do niego. - Uśmiechnęła się smutno - Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Ja... mnie się wydaje, że ty jesteś w tym samym stopniu moją matką co on ojcem - odpowiedział, patrząc na nią poważnie.

- Och, Jake... - szepnęła zbyt poruszona, by powiedzieć coś więcej.

- On wróci.

Potrząsnęła głową, potem grzbietem dłoni otarła łzy

- Nie, kochanie. On nie wróci.

- Możesz mi wierzyć, że nie mówię tego tak tylko, żeby cię pocieszyć. Myślę, że go nieźle poznałem. On wróci.

Uśmiechnęła się do niego, ale milczała. Chłopiec nie poddawał się jednak łatwo.

- On wróci - stwierdził zdecydowanie, starając się uwierzyć w te słowa. Dwa krótkie gwizdnięcia lokomotywy wyrwały Mad Doga z płytkiego snu. Przetarł oczy i odsunął się od zimnej ściany wagonu.

Budnymi palcami przyglądał równie brudne włosy, wstał i wyjrzał przez okienko na zewnątrz. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Krajobraz przypominał Teksas, Arizone albo Nowy Meksyk - mogło to być każde z dziesiątków miejsc, które odwiedził w ciągu ostatnich kilku tygodni. Dni i noce zaczęły się zlewać w jego świadomości w jeden mglisty obraz zaśnierzonych miasteczek i pustych wagonów towarowych.

Przemarzył do szpiku kości. Zatarł dłonie, chuchał w nie, usiłując stworzyć chociaż chwilowe złudzenie ciepła.

Jeszcze raz odezwał się gwizdek lokomotywy. Donośny dźwięk wisiał przez moment w mroźnym powietrzu. Zazgrzytały hamulce i pociąg zaczął zwalniać. W słabiej teraz przewietrzanym wagonie wyczuć można było duszącą woń końskiego nawozu i potu.

Mad Dog skrzywił się. Dotknął zarośniętych policzków, zmierzwionych włosów na brodzie. Marzył o kąpieli. Znow, niespodziewanie, pomyślał o Lonesome Creek.

Mariah.

Zdawało mu się, że słyszy jej imię, niesione łagodnym powiewem, i znow pamięcią wrócił do Mariah, Jake'a, farmy. To dziwne; wędrując, zawsze myślał o tym, dokąd idzie. Na każde nowe miasto patrzył jak na nierozpakowany świąteczny prezent, skarb czekający na odkrycie. Teraz było inaczej. Coraz częściej rozmyślał o tym, co zostawił za sobą, i w coraz większym stopniu to miejsce, ten czas stawały się dla niego takim nierozpakowanym prezentem. Westchnął ciężko, Nigdy dotąd nie oglądał się za siebie, nie miał tego zwyczaju,

Nie, nie, postąpiłem słusznie, przekonywał się. Wcześniej czy później zapomnę o Mariah. Zawsze zapomniałem o kobietach. To jest jeden z moich talentów.

Przypomniał sobie niespodziewanie którąś z rozmów z Mariah. Zirytowany wcisnął kapelusz na głowę i zarzucił worek na ramię. Podszedł do otwartych drzwi wagonu i wyskoczył z wolno już jadącego pociągu. Łądowanie nie było przyjemne. Poczł silny ból w kolanach.

- Do cholery! - zaklął, schylił się, *czekając*, aż ból minie, potem wyprostował się i rozejrzał.

Szybko zorientował się, że jest na przedmieściach Albuquerque.

Uśmiechnął się. Było to jedno z jego ulubionych miast. Wiedział, że znajdzie tu wiele barów i najładniejsze dziwki na całym Zachodzie.

To mi pomoże oprzytomnieć, pomyślał. Teraz wreszcie zacznę zapominać o jedynej kobiecie, którą pamiętam.

Ruszył w kierunku miasta ścieżką pokrytą cienką warstwą świeżo spadłego śniegu i wkrótce znalazł się na głównej ulicy miasta. Jak na

Albuquerque ruch wydawał mu się wyjątkowo mały, nie widać było Indian handlujących zazwyczaj na ulicach. Minał nową część miasta i wkrótce dotarł do starej dzielnicy. Przywitały go tu znajome hałasy i zapachy dolatujące z baru Tip 'Em Back. Zsunął kapelusz na tył głowy i pchnął prowadzące do wnętrza dwuskrzydłowe drzwi,

W pierwszej chwili nie widział prawie nic w gęstej chmurze tytoniowego dymu. Gdzieś z głębi baru dobiegał dźwięk pianina, z trudem przebijający się przez głośnie rozmowy, śmiechy, okrzyki.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, powitały go znajome zapachy, atakujące wszystkie jego zmysły, przypominające mu, że bardzo dawno nie odwiedzał tego miejsca. Człł ostrą

woń tytoniu, duszący zapach potu i brudnych ubrań, typowe dla dawno niewietrzonego pomieszczenia.

Sala zatłoczona była ludźmi, którzy nie pytają, jak się nazywasz ani skąd pochodzisz. W takich miejscach Mad Dog zawsze czuł się jak u siebie.

Cisnął worek w kąt sali i z rękami w kieszeniach podszedł do długiego dębowego baru. Zanim zdążył usiąść, rozległ się donośny męski głos.

- Jezu Chryste, to Mad Dog Stone wrócił zza grobu!

Mad Dog zobaczył stojącego za barem starego Freddy'ego Tomlinsona. Freddy uśmiechnął się, ukazując pełny garnitur pożółkłych zębów.

- Do diabła, Stone, już myślałem, że umarłeś.

- Powinieneś wiedzieć, Freddy, że tylko dobrzy ludzie umierają młodo - odparł Mad Dog, sadowiąc się na wysokim barowym stolku.

Freddy roześmiał się głośno, podtrzymując ręką wydatny brzuch.

- O tak, masz rację - powiedział i zaczął mokrą ścierką wycierać blat baru.

- Czekasz na zamówienie? - Mad Dog uśmiechnął się. -Barman powinien zawsze wiedzieć, czego potrzebuje jego stały klient.

Freddy odłożył ścierkę, odwrócił się, zdjął z półki butelkę tequili i kieliszek, potem postawił je przed Mad Dogiem i znów zajął się wycieraniem baru.

Mad Dog skrzywił się, patrząc na kieliszek. Czy szkło zawsze musi być brudne? Nigdy wcześniej o tym nie pomyślał; nie zwracał na to uwagi.

Zirytował go fakt, że teraz go to obchodzi. Co to ma za znaczenie, że na kieliszku jest trochę brudu czy kurzu? Kogo to obchodzi.

Wziął butelkę i napełnił kieliszek. Poczł ostry zapach

alkoholu. Jednym łykiem wypił zawartość kieliszka, potem napełnił go ponownie.

Teraz dopiero uważnie rozejrzał się po sali. Wszystko tu wydawało mu się znajome. Mężczyźni nachyleni nad brudnymi stolikami grający w pokera. Stojące obok nich umalowane kobiety, gotowe ofiarować swoje wdzięki każdemu, kto dobrze zapłaci. Karty ślizgały się po stole, brzęczały monety, mężczyźni przeklinali.

Jaki tu straszny hałas, pomyślał.

Zaskoczyła go ta myśl. Nigdy dotąd nie uważał, że bary są zbyt głośne. W porównaniu z nimi każde inne miejsce wydawało mu się nudne. Teraz jednak, popijając tequilę, zorientował się, że tęskni za spokojem, ciszą.

- Na Boga, Mariah, czy i to mi odebrałaś - mruknął do siebie, potrząsając głową.

- Coś podobnego! Kogo ja tu widzę? Mad Dog Stone! - rozległ się nagle piskliwy kobiecy głos.

Mad Dog skrzywił się i zerknął w stronę szerokich schodów. Martha... a może Matilda... przecisnęła się przez grupkę stojących tam prostytutek i ruszyła w stronę baru. Ostatnie parę kroków przebiegła i zatrzymała się obok niego. Na jej twarzy pojawił się dobrze wyćwiczony przymilny uśmiech, zamrugła mocno pomalowanymi rzęsami i przycisnęła dłoń do falującego obfitego biustu.

- Coś takiego! Zaczynałam podejrzewać, że już o mnie zapomniałeś - powiedziała.

Mad Dog przyglądał jej się przez chwilę. Spał z tą kobietą kilka razy i nawet był z niej całkiem zadowolony; wydawała mu się ładna i ponętna. Teraz jednak zobaczył ją taką, jaka była naprawdę: przedwcześnie postarzała kobieta, zniszczona rozpustnym życiem.

- Postawisz dziewczynie drinka? - zapytała, przyglądając wyblakłe blond włosy.

- Oczywiście. - Przesunął butelkę w jej stronę.
- O, nie, dziękuję. - Skrzywiła się. - Ten trunek przyprawia mnie o mdłości.

„Nie porównuj mnie z innymi kobietami” - przypomniał sobie nagle słowa usłyszane w całkiem innych okolicznościach.

Kobieta - Margaret...? - dotknęła jego ręki.

- Dawno cię nie widziałam, Mad Dog. Gdzie się ukrywałeś?

Wychylił kolejny kieliszek. Przez chwilę delektował się smakiem alkoholu, potem przełknął go i odparł;

- Nie ukrywałem się. Byłem po prostu... w domu, dokończył w myślach i tak go to zaskoczyło, że przez chwilę nie był w stanie nic powiedzieć.

- Po prostu gdzie?

Wzruszył ramionami. Nie miał żadnego domu, nie chciał nawet o tym myśleć. Do licha, przecież lubił życie wędrowca, kochał je.

- Nigdzie - powiedział. - A co u ciebie?

- Wszystko w porządku. - Przynęła się bliżej do niego i kolanem dotknęła jego uda.

Nie podnieciło go to. Pachniała potem i tanimi perfumami.

- Pójdiesz ze mną na górę? -zapytała szeptem. Nachyliła się ku niemu i oparła dłoń na jego udzie.

Niewiele brakowało, by bez zastanowienia powiedział tak, kiedy jednak spojrzał na jej umalowaną twarz i puste niebieskie oczy, wiedział, że nie może przystać na taką propozycję. Nie pragnął tej kobiety, zresztą i ona go nie pragnęła. Spędziliby ze sobą trochę czasu, udając, że czują to, czego naprawdę nie czują. Dawniej nie miało to dla Mad Doga znaczenia, podobała mu się nawet taka chłodna anonimowość, chwila rozrywki z kobietą, która niczego od niego nie oczekiwała i nic przejmowała się tym, że zapomniał jej imię.

Teraz jednak stał się kimś innym. Okres spędzony z Mariah

go odmienił. Poznał różnicę pomiędzy fizycznym zbliżeniem a miłością. Nie potrafił już zachowywać się tak jak kiedyś. Odwrócił głowę i wypił łyk tequili.

- Wybacz Mm...

- Millie - odpowiedziała mu. W jej głosie wyczuł żal, którego nigdy by się nie spodziewał.

- Wybacz, Millie. Może innym razem.

Nachyliła się nad nim, oparła łokieć o bar i spojrzała na niego.

- Znalazłeś sobie kobietę, Stone?

Nie mógł zdecydować się na odpowiedź. Millie napełniła sobie kieliszek, wypła łyk tequili i otarła usta rękawem.

- Skoro masz kobietę i dlatego nie chcesz pójść ze mną, to co, u diabła, robisz tu w wigilię Bożego Narodzenia.

Mad Dog uniósł głowę. Dopiero teraz zauważył stojącą w rogu sali za barem, niewielką choinkę. I muzyka. Pianista, wygrywał przecież takty kolędy „Cicha noc”.

- Nie wiedziałeś? - Millie uśmiechnęła się do niego.

Potrząsnął głową.

- Wesółych świąt, Mad Dog. - Poklepała go po ramieniu. - Wracam do swojej pracy.

Skinął jej głową na pożegnanie. Patrzył w lustro nad barem, widział swoją zarośniętą, zmęczoną twarz i zastanawiał się, co teraz robią Jake i Mariah. Wyobrażał sobie ustrojony dom, zdawało mu się, że czuje zapach świątecznych potraw, słyszy ich śmiechy, szelest papieru rozpakowywanych upominków.

Co ja tu, u diabła, robię, samotny, pijany, brudny, pomyślał. Przecież mam gdzie pójść, mam dom,

Napił się tequili prosto z butelki i wierzchem dłoni wytarł usta.

O czym ja rozmyślam? Przecież nie mogę tam wrócić.

Jake chciałby, żebym wrócił, przemknęło mu przez myśl.

ZAGUBIENI

- Boże... - westchnął.

Tęsknił za synem. Mógłby z nim zostać, patrzeć, jak dorasta, potem zakochuje się w jakiejś dziewczynie, ma własne dzieci. Jakże nęcąca była taka perspektywa.

No i jeszcze czekała tam Mariah. Kochał ją tak, jak nigdy nie kochał żadnej kobiety. Wiedział o tym już w momencie, kiedy ją opuszczał. Wtedy jednak łudził się, że o niej zapomni, myślał, że w trakcie wędrówki wspomnienia o niej wyblakną. Tak się jednak nie stało. Pamiętał o niej każdego dnia, w każdej chwili. Kiedy dotknął czegoś miękkiego, przypominał sobie jej ciało, gdy dotknął czegoś szorstkiego, przychodziły mu na myśli jej stroje. Patrząc w niebieskie oczy, widział brązowe.

Nie tak zwyczajnie brązowe, lecz bursztynowe.

Uśmiechnął się. Jak to możliwe, że byłem w stanie ją opuścić, zastanawiał się. Jak mogłem być taki głupi, tak niewiarygodnie ślepy.

Znał odpowiedź i właśnie to powstrzymywało go przed opuszczeniem baru i ruszeniem w drogę do Lonesome Creek. Wiedział, że ona go kocha, że wybaczyłaby mu wszystko, gdyby tylko wrócił- Tylko czy zdołałby tam zostać?

To mordercze pytanie przykuwało go do stołka przy barze. Nigdy z nikim nie związał się trwale, więc czy teraz potrafiłby to zrobić?

Gdybym wrócił, nie mógłbym ponownie odejść, pomyślał.

- Do diabła! -mruknął i sięgnął po butelkę. Nie wyobrażał sobie spokojnego, monotonnego życia na farmie, otoczonej tym idiotycznym drewnianym płotem. Każdego dnia wiedział by, gdzie kładzie się spać i gdzie się budzi.

Z Mariah przy boku.

Pociemniało mu w oczach na tę myśl. Podniósł do ust butelkę i wypił spory łyk.

Jeśli wrócę, nigdy już nie będę mógł odejść. Do diabła!



Mariah ze łzami w oczach patrzyła na pudło leżące na jej kolanach. Zdjęła pokrywkę i odłożyła na bok, potem odchyliła chroniące jego zawartość białe płótno.

Leżała przed nią suknia, tak jak ją starannie zapakowała przed rokiem, z wysokim koronkowym kołnierzykiem, zaskakująco białym na tle aksamitu w kolorze burgunda. Dotknęła delikatnej koronki. Suknia wydała jej się lekka, kobieca, zupełnie nieprzypominająca strojów, które nosiła *od* szesnastu lat. Rząd okrągłych perłowych guziczków biegł w dół, od kołnierzyka aż do talii, i zniknął pod białym plecionym paskiem.

Ogarnął ją smutek. Tę suknię dała matce przed rokiem w prezencie gwiazdkowym. Pamiętała, jak starannie ją wybierała. Przerzuciła dziesiątki stron katalogów, zanim znalazła właśnie tę. W ten prezent włożyła całe serce.

Ostrożnie wyjęła ją z pudełka. Tkanina lśniła w świetle lampy jak kieliszek wypełniony burgundem i łagodnymi falami spływała jej z kolan.

Odstawiła pudło i wstała. Przyłożyła suknię do siebie i przejrzała się w lustrze. Materiał koloru bordo kontrastował z jej mleczną cerą i ożywił barwę brązowych oczu.

„Nie tak zwyczajnie brązowych”.

Nieoczekiwanie pojawiły się wspomnienia. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze, widziała łzy w oczach, ale - ku własnemu zaskoczeniu - nie odczuwała zwykłego, dojmującego smutku, tylko cichy żal za tym, co mogło być.

Odszedł i nie wracał. Przez kilka minionych tygodni odsuwała od siebie tę myśl, nie chciała się z nią pogodzić. Teraz jednak, stojąc przed lustrem i patrząc sobie w oczy, nie mogła dłużej zaprzeczać oczywistym faktom.

Odszedł i nie wróci.

Co dziwne, na uświadomienie sobie tego faktu zareagowała inaczej niż zwykle. Powinna być zdruzgotana, zrozpaczona. Tak byłoby przed dwoma laty, ba, nawet przed dwoma miesiącami. Minione tygodnie sprawiły jednak, że w jakiś dziwny sposób wydorosła. Nadal cierpiała. Nadal za nim tęskniła -prawdopodobnie zawsze będzie tęsknić - ale teraz potrafiła pogodzić się ze stratą, żyć z brzemieniem przeszłości. Po rozstaniu ze Stephenem było inaczej, ale wtedy miała szesnaście lat, nie potrafiła spojrzeć prawdzie w oczy. Teraz była starsza, mądrzejsza i na tyle silna, by się nie poddać. Nie potrzebowała Mad Doga. Kochała go, tęskniła za nim, ale nie potrzebowała go.

Nauczył ją mówić żegnaj.

Odwróciła się od lustra, zrzuciła z siebie brązową suknię i włożyła nową, cudowną- świąteczny prezent ofiarowany przed rokiem matce. Zawiązała ciasno szeroki biały pasek. Obfite fałdy aksamitnej tkaniny opadały niemal do ziemi.

Zaczesała włosy do tyłu i przewiązała je różową wstążką, którą dostała od Jake'a. Uszczypnęła się w policzki, żeby nabrały kolorów, potem zbiegła na dół.

Powietrze w kuchni nasycone było świątecznymi zapachami - wonią szynki w galarecie, kompotu z jabłek, ciasta orzechowego, przypraw. Zerknęła na stół zastawiony przysmakami, potem poszła do salonu, by tam czekać na Jake'a.

Pokój udekorowany jemiolą oświetlały migocące świece. W rogu, na stoliku okrytym czerwonym obrusem, stała niewielka choinka obwieszona kolorowymi jabłuszkami, kandyzowanymi wiśniami, cukierkami. Płonące na niej świece odbijały się w okiennych szybach.

- Dobry wieczór, Mariah.

W drzwiach stał Jake. Miał na sobie spodnie Rassa, przerobione, tak by na niego pasowały, i śnieżnobiałą rozpiętą pod szyją koszulę. Krzywo zawiązany krawat zwisał mu spod kołnierzyka pod dziwnym kątem. Rude włosy zaczesał do tyłu, ale za uszami tworzyły splątany kłęb.

Na jego widok ścisnęło się jej serce. Sprawiał wrażenie niemal dorosłego, przystojnego mężczyzny, ale przeczył temu wyraz niepewności na twarzy, nieśmiałe oczekiwanie aprobaty. Zauważyła na jego policzkach ślady po brzytwie. Widocznie ogolił się po raz pierwszy.

- Jesteś bardzo przystojny - powiedziała.

- A ty wyglądasz ślicznie - odparł z promiennym uśmiechem.

Wzięła go za rękę i bez słowa podeszli do okna. Patrzyli w ciemność, czekali. Jake oparł głowę o jej ramię. Oboje pograżyli się we wspomnieniach. Dla nich obojga były to pierwsze święta Bożego Narodzenia spędzane bez rodziców.

W okiennych szybach odbijały się światła choinki, ale kiedy ich wzrok przywykł do ciemności, zobaczyli zarysy budynków gospodarczych farmy. Światło księżycy, przedzierające się poprzez bezlistne konary jabłoni, zamieniło zaśnieżone podwórze w puszyste jezioro obsypane diamentowym pyłem. Świat był zimny, nieruchomy.

- Nie wraca - powiedziała Mariah cicho, licząc na to, że wygłoszenie tych słów złagodzi ból, jaki w sobie kryją.

- Tak, wiem o tym. - Chłopiec westchnął.

- Cieszę się, że jesteś tu, Jake.

- Ja też się cieszę - odparł łamiącym się głosem.
- Mariah nie chciała dopuścić, by pograżyli się w narastającym z każdą chwilą smutku. Odchrząknęła i zmusiła się do uśmiechu.
- Czy nie uważasz, że nadeszła pora, aby zasiąść do stołu?
- Odwrócił się w jej stronę.
- Najpierw chciałbym pokazać ci prezent, jaki mam dla ciebie.
 - Masz dla mnie prezent? - Spojrzała w stronę choinki.
 - Nie tutaj. Chodź ze mną.
- Poprowadził ją przez oświetloną sień na tonący w mroku ganek, potem wziął ją za rękę i zeszli na podwórze oświetlone światłem księżycy w pełni. Mroźne powietrze sprawiło, że łzy napłynęły jej do oczu.
- Czy zauważyłaś, że coś się zmieniło?
- Mariah wyczuła niepokój w jego głosie. Uśmiechnęła się i rozejrzała.
- No... widzę, że stodoła stoi, chata dla pracowników wygląda tak jak zawsze, stos drewna opałowego nie zmniejszył się... O mój Boże, Jake...
 - Rozebrałem go.
- Ostrożnie, w śniegu sięgającym kostek, zrobiła krok do przodu, wpatrując się w miejsce, gdzie kończył się podjazd i odkąd pamiętała, stała brama. Drewniany płot razem z bramą i furką zniknął. Podjazd, drogę i leżące za nią pola pokrywała warstwa białego śniegu.
- Patrzyła na miejsce, gdzie kiedyś stał płot, oszołomiona falą sprzecznych uczuć: lęku, radości, ulgi.
- Nie chciałem, żebyś codziennie musiała patrzeć na ten płot - powiedział Jake.
- Jego pełne zrozumienia, proste słowa napęłniły Mariah ciepłem i radością, jakich dawno nie zaznała.
- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że można usunąć to ogrodzenie - powiedziała cicho.

- Pomyślałem sobie, że może, jeśli go tutaj nie będzie...

Spojrzała na niego i dostrzegła w zielonych oczach Jake'a nadzieję i lęk. Przez moment zobaczyła siebie taką, jaką on ją widział: trzydziestoczworoletnią starą pannę, tęskniącą za mężczyzną, który jej nie kocha, kobietę, która nie potrafi opuścić własnej farmy. Poczuli się zawstydzona. Łzy napłynęły jej do oczu. Odsunęła kosmyk włosów opadający na czoło Jake'a.

- Co pomyślałaś? - zapytała, nie odrywając dłoni od jego skroni.

- Pomyślałem, że może... jeśli nie będzie płotu, to któregoś dnia potrafisz wyjść poza farmę.

Wyjść poza farmę. Te słowa trafiły jej do serca. Patrzyła na pokryte śniegiem pola, rozciągające się daleko, aż do podnóża odległych wzgórz. Nie było płotu, który oddzielał ją od nich, nie było furtki, którą trzeba by otworzyć. Niczego, co przypominałoby długie dni pełne irracjonalnego, niemądrego lęku.

Spróbowała wyobrazić sobie, że opuszcza farmę, ale wtedy wrócił lęk. Pot wystąpił jej na czoło. Był to jednak inny rodzaj lęku, łagodniejszy, nie niosący ze sobą duszącego uczucia paniki.

- Kto wie? Może potrafię - powiedziała cicho, zdumiona, że w ogóle jest w stanie o tym mówić.

Gdzieś głęboko w sercu zrodziła się nadzieja. Po raz pierwszy od siedemnastu lat uwierzyła, że jest to możliwe. Nie znaczy to, że łatwe, ale możliwe. Świat nie przerażał jej już tak bardzo.

Pomyślała, że powinna ćwiczyć, każdego dnia próbować oddalić się od farmy o parę kroków dalej, uwierzyć w siebie i wtedy, niewykluczone, że potrafiłaby...

- Może - szepnęła i się uśmiechnęła.

- Kocham cię, Mariah. Wesółych świąt.

ZAGUBIENI

Patrzyła na niego oczami pełnymi łez. Wzięła go w ramiona i gorąco, czule uściskała.

- Ja też cię kocham, Jake. Wesołych świąt.

Mad Dog zobaczył w oddali zabudowania farmy i się zatrzymał. Przysadzisty budynek mieszkalny prezentował się okazale pośród bezkresnych pokrytych śniegiem pól, poprzercinanych tylko rzędami bezlistnych jabłoni o konarach udrapowanych białym puchem.

Po raz pierwszy od dnia, kiedy stąd odszedł, ogarnęło go uczucie ciepła. Uśmiech ożywił jego twarz. Był w domu. Potem powoli uśmiech zniknął z jego twarzy. Coś się tu zmieniło. Patrzył uważnie na dom, sad, stodołę. Wszystko wyglądało tak samo, ale wyczuwał jakąś różnicę. Zniknął płot.

Zrobiła to! Jezu Chryste, kazała rozebrać ten cholerny drewniany płot. Był z niej dumny. To najlepsze powitanie, jakie mógł sobie wyobrazić.

Podciągnął wyżej zwisający mu z ramienia worek i szybkim, sprężystym krokiem ruszył w stronę domu. Nie *mógł* się doczekać momentu spotkania z Mariah i synem, chwili, gdy znów znajdzie się razem z nimi, witany czule, serdecznie. - Mad Dog?

Obejrzał się. Obok domu dla pracowników stał Jake z naręczem drew na opał.

- Hej, chłopcze! Mówiłem ci, że wrócę.

Bierwiona wysunęły się z rąk Jake'a i upadły w śnieg u jego stóp. - „Może wrócę” - mruknął, patrząc na Mad Doga szeroko otwartymi oczami. - Powiedziałeś, że może wrócisz.

Mad Dog otworzył usta, żeby rzucić jakąś cierpką uwagę, ale się rozmyślił. Przebył długą drogę, żeby znów zobaczyć

tego chłopca, i nie chciał zepsuć chwili spotkania jakimś nierozważnym zdaniem.

- Tęskniłem za tobą- powiedział.
- Naprawdę? - zapytał z niedowierzaniem Jake.
- Tak. Sam jestem tym zaskoczony. - Rzucił worek na ziemię i wyciągnął ręce w jego stronę. - Chodź.

Jake powoli, brnąc w śniegu, podszedł do ojca, ale zatrzymał się o krok przed nim.

Mad Dog przez chwilę czuł się zawiedziony, opanował się jednak szybko. Miał ochotę uściskać syna, przytulić, ale nie zrobił tego. Wiedział, że musi działać powoli, rozważnie, by nie popełnić jakiegoś błędu.

Jake, stojący przed nim z opuszczonymi rękami, wydawał mu się wyjątkowo dziecinny i bezradny. Mad Dog domyślał się, co syn czuje w tym momencie, pamiętał, jak przed laty czekał na powrót ojca, z nadzieją i rozpaczą w sercu.

- Przykro mi, Jake - powiedział cicho.

Te słowa wydały mu się nieważne, tak mało znaczące, ale było to wszystko, co mógł mu ofiarować. Tylko te słowa i perspektywę wspólnej przyszłości i miłości.

Jake nie odpowiedział.

- Nie powinienem był cię opuścić. To wszystko stało się tak cholernie szybko... Nie chcę się usprawiedliwiać, ale naprawdę nie wiedziałem, co robić. Myślę, że bałem się odpowiedzialności.

- Co się stało, że zmieniłeś zdanie? - zapytał Jake z wahaniem.

- Jesteś moim synem - powiedział Mad Dog. - Nie wyobrażasz sobie nawet, co czuję, mówiąc te słowa. Gdy uświadomiłem to sobie, gdy zacząłem o tym myśleć, nie mogłem już być z dala od ciebie. - Odwrócił głowę i dokończył cichym gardłowym szeptem: - Boże, straciłem już tyle lat twojego życia i nie chciałbym stracić ani dnia więcej.

Krótki szloch wstrząsnął ciałem Jake'a. Chłopiec rzucił się w objęcia ojca. Mad Dog przytulił go do siebie w gorącym czułym uścisku.

- Tęskniłem za tobą- powiedział Jake, opierając głowę na ramieniu ojca.

Mad Dog odchylił głowę i spojrzał w jego załzawione oczy.

- Nie uważasz, że mógłbyś mówić do mnie tato?

- Przez całe życie na to czekałem - odparł Jake, uśmiechając się przez łzy.

- Szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej. - Mad Dog uświadomił sobie, jak bardzo żałuje, że tak długo nie wiedział o istnieniu syna. Uwierzył teraz, że zdoła się zmienić, że potrafi z nim zostać.

- Ja też żałuję, tato.

Tato. To słowo przyprawiło Mad Doga o niemal bolesny skurcz serca, szybko jednak opanował ten przypływ nieznanych mu uczuć.

- Pójdę przywitać się z Mariah - oznajmił. - Rozumiesz, chcę ją zaskoczyć i przekonać, że możemy stać się jedną rodziną.

- Mariah... zmieniła się - powiedział nieśmiało Jake.

- Zauważyłem to po tym, że zniknął płot. Boże, jak ja za nią tęskniłem.

Chłopiec przygryzł dolną wargę. Milczał przez chwilę, potem powiedział:

- Zostanę tutaj i zaczekam.

- Myślę, że to dobry pomysł. Poprzednim razem, jak ją zaskoczyłem, oberwałem kolbą strzelby w głowę.

- Nie wykluczyłbym, że teraz może być podobnie.

Mad Dog roześmiał się, rozbawiony żartem syna. Rzucił worek w stronę chaty dla pracowników i spojrzał na dom mieszkalny. Nie mógł się już doczekać spotkania z Mariah. Pragnął znów wziąć ją w objęcia, przytulić. Marzył o tym od momentu, gdy opuścił to miejsce.

~ Za chwilę się zobaczymy, chłopcze - powiedział, klepiąc Jake'a po ramieniu. - Ruszam w zaloty.

- Powodzenia, tato.
- Nie musisz życzyć mi powodzenia. Ja oczekuję miłości.

Uśmiechając się, Mad Dog ruszył przez zaśnieżone podwórze i po chwili znalazł się na ganku. Nacisnął klamkę drzwi wejściowych i wszedł do sieni.

Dom przywitał go jak zawsze ciepłem, spokojem, wygodą. Słyszał trzaskanie ognia na kominku w salonie, z kuchni docierał zapach gotującego się boczku.

Zamknął za sobą drzwi i poszedł w stronę kuchni. Mariah stała pochylona nad zlewem. Natychmiast zauważył, że nie jest ubrana na brązowo. Miała na sobie jasnoniebieską suknię w drobne żółte kwiatki. Na plecy opadał jej luźny warkocz, przewiązany różową wstążką.

Usłyszała widać jakiś szelest i odwróciła się.

Mad Dog oparł się niedbale o framugę drzwi i skrzyżował ręce na piersi.

- Witaj, kochanie - powiedział z uśmiechem.
- Matt... - szepnęła. Żółta gliniana miska wysunęła jej się z rąk i rozprysnęła na podłodze.
- Wróciłem.

Patrzyła na niego. Usta miała rozchylone, na policzkach pojawił się rumieniec. Przez sekundę jej wzrok był ciepły, przyjazny, potem twarz nabrała surowego wyrazu, który znał tak dobrze.

- Nie, nie wróciłeś.
 - Co takiego?
 - Nie wróciłeś. Po prostu znów przyszedłeś, Matt. - Wytarła ręce w ścierkę. - Jesteś tutaj, a to jest całkiem coś innego.
 - Ja wróciłem - powtórzył.
- Spróbowała się uśmiechnąć, ale jej spojrzenie było chłodne, nieufne.

ZAGUBIENI

- Jake ogromnie się ucieszy. Tęsknił za tobą. Twój pokój w chacie dla pracowników będzie jak zwykle gotowy w sobotę. Na razie możesz korzystać ze swojego śpiwora.

Ona oszalała, pomyślał. Rzucił jej najbardziej uwodzicielskie ze swoich spojrzeń, uśmiechnął się, zatknął kciuki za pasek spodni i ruszył w jej stronę.

- A co z tobą, kochanie. Czy też za mną tęskniłaś?

- Tęskniłam - powiedziała oschle. - Przez pewien czas.

Zatrzymał się zaskoczony.

- A potem przestałaś?

- Wydoroślałam. - Uśmiechnęła się. Patrzyła mu w oczy, lecz w jej spojrzeniu nie było nieufności i chłodu. Zastąpiła je szczerość. - Odmieniłeś mnie, Matt. Najpierw wdzierając się w moje życie, a potem opuszczając mnie. Zrozumiałam, że sama potrafię się o siebie troszczyć.

Mad Dog utracił całą pewność siebie. Spodziewał się, że Mariah rzuci mu się w ramiona, będzie go całować aż do utraty tchu. Setki razy tak właśnie wyobrażał sobie ich spotkanie i ponowne połączenie. Nie przyszło mu do głowy, że może wcale do tego nie dojść.

Czuł się coraz bardziej niepewnie. Westchnął i przyglądał sięgające do ramion włosy. Nie mógł pogodzić się z tym, że przybył tutaj tylko po to, żeby się dowiedzieć, że utracił jedyną kobietę, którą kochał.

Zwilżył językiem zaschłe wargi i spojrzał na nią. Tym razem nie było to uwodzicielskie spojrzenie; zawadiacki uśmiech zniknął mu z twarzy. Jego wzrok wyrażał ból, szczerość i nadzieję.

- Chcę jeszcze raz zmienić twoje życie, zostając tutaj - powiedział łagodnie.

- Bardzo proszę. Możesz zatrzymać się w chacie dla pracowników.

- Nic nie rozumiesz,

- Nie, to ty nie rozumiesz. Ty... - Głos jej się załamał. Łzy napłynęły do oczu. Odwróciła głowę. - Złamałeś mi serce... Nie chcę, żeby się to powtórzyło.

Mad Dog rozumiał jej ból. Żal i wstyd ścisnął mu serce tak mocno, że z trudem oddychał. Sięgnął do kieszeni i wyjął tani miedziany pierścionek, który kupił w Albuquerque. Żałował tylko, że nie jest złoty. Wyciągnął do niej rękę z pierścionkiem leżącym na dłoni.

- Kocham cię, Mariah, i pragnę się z tobą ożenić. Chcę, żebyśmy ty, Jake i ja stali się prawdziwą rodziną.

- Hm- mruknęła, nie patrząc ani na niego, ani na pierścionek.

- Ja... Ja wstąpiłem do redakcji „Lonesome Creek Ledger” i zostałem zatrudniony.

- Znalazłeś stałą pracę? - zapytała zaskoczona.

- Co tydzień mam napisać artykuł. Zarobek wystarczy na bieżące wydatki, a przy tym będę miał dość czasu, żeby zająć się sadem.

Splotła ręce na piersiach i znów odwróciła głowę. Mad Dog zauważył u niej moment słabości, wahania.

- Wyjdź za mnie - powtórzył.

Oddychała ciężko, walczyła ze sobą. Powoli odwróciła się w jego stronę i spojrzała mu w oczy.

- Nie. Nie mogę ci zaufać. Nie wierzę, że zostaniesz -szepnęła.

- Powiedz mi, że mnie nie kochasz, Mariah. Powiedz to, a natychmiast odejdę. Jeśli nie usłyszę tych słów, to będę tu tkwił przez sto lat i oświadczał się każdego ranka... dopóki mi nie zaufasz.

Sposób, w jaki wymówił jej imię -miętko, czule -sprawił, że ogarnęła ją fala wspomnień, budząc w niej uczucia, jakimi kiedyś go darzyła.

Dobry Boże, jakże za nim tęskniła.

ZAGUBIENI

Przytrzymała się zlewu, powstrzymując się, żeby do niego nie podbiec, ale żar jego spojrzenia, ciepło uśmiechu sprawiły, że poczuła się słaba, bezradna.

- Och Boże, Matt - westchnęła.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Nie mogła skłamać i powiedzieć mu, że go nie kocha. Te słowa nie przeszłyby jej przez usta. Kochała go przecież bardziej niż swoje życie, potrzebowała go równie rozpaczliwie jak powietrza, którym oddycha.

Podszedł bliżej, zatrzymał się tuż przed nią, ale jej nie dotknął. Patrzył tylko na nią wzrokiem wyrażającym bezgraniczną szczerość.

- Czy okłamałem cię kiedyś, Mariah?

- N...nie.

Dotknął jej policzka delikatnie, czule, *co* przyprawiło ją o drżenie.

- Zostanę - szepnęła i zobaczyła w jego oczach łzy.

Patrzyła na niego długo. Widziała cichą rozpacz i dojmujący smutek w jego spojrzeniu. Była zgubiona. Nie potrafiła go odepchnąć, powiedzieć, że go nie kocha, nawet gdyby jeszcze sto razy, tysiąc razy złamał jej serce. Dawno minęły już dni, kiedy musiała chronić się przed uczuciem do niego. Teraz była silniejsza, na tyle silna, by sięgnąć po to, czego pragnęła, by uwierzyć w niego, w siebie, w miłość. Uśmiechnęła się i zaczęła płakać.

- Och, Matt - szepnęła, wyciągając do niego ręce. - Dla czego tak długo nie wracałeś?

